

Parszywa Szesnastka



By Johnny and Trot



Parszywa Szesnastka

Jan 'Johnny' Przeklasa & Piotr 'Trot' Kastelik

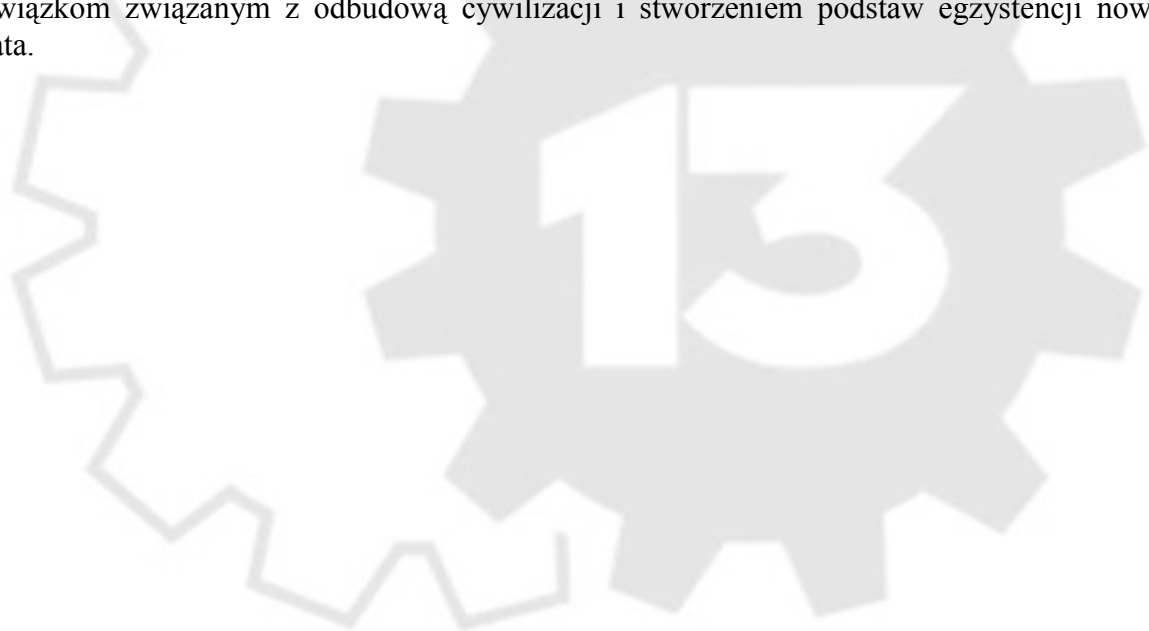


Dla wszystkich tych, którym Fallout
zabrał kawał życia, niezliczoną ilość
fajek i drugie tyle zimnego piwa ;)

I. Prolog

W niedalekim czasie po pokonaniu armii mutantów, której przewodził niszczycielski Mistrz, gdzieś kilkaset mil na wschód od obecnego Kryptopolis rozciągał się pas wypalonych ruin. Ruin miast, które niegdyś były dumą ludzkości. Pozostałości wypalone ogniem i promieniowaniem nie mogły być przyjemnym miejscem na spędzanie dnia, a tym bardziej nocy przyciągającej zgłodniałe pomyoty pustkowi.

W tym też miejscu u podnóży masywnej góry znajdowała się Krypta 16, w której życie toczyło się ostatnio dosyć szybko. Owa Krypta nie otworzyła się jak inne w swoim zakładanym terminie lecz (jak uznawano) w wyniku wadliwie działającego systemu podawała błędne lub nierealne odczyty, które ukazywały powierzchnię jako całkowicie niezdatną do zamieszkania. Wpływało to na kolejne przesunięcie terminu jej otwarcia o długie lata. Wielu mieszkańców Krypty dyskutowało nad tym czy otrzymywane pomiary są realne czy też jest to wina systemu, lecz nikt nie odważył się wyjść na powierzchnię. W krypcie trzymano się sztywno terminu w którym jej brama miała zostać awaryjnie otworzona w celach rozpoznania rzeczywistego stanu panującego na obszarach zewnętrznych. Każdy człowiek czuł, że jest potrzebny w krypcie i ma jeszcze przed sobą dużo do zrobienia by, gdy nadejdzie czas móc pełni oddać się nowym obowiązkom związanym z odbudową cywilizacji i stworzeniem podstaw egzystencji nowego świata.



1. Raiders on the storm

Mijał kolejny dzień kiedy to Morgan zamierzał dokończyć swoje planowane zajęcia w warsztacie w którym pracował nad elementami mającymi posłużyć w niedalekiej przyszłości do dodatkowego oświetlenia przyszłego obozowiska. Miał już 25 lat jak i ze 175cm wzrostu. Wspominając o dalszym wyglądzie muszę dodać, iż jego niebieskie oczy, gęste włosy do ramion i ognisty temperament były jego dopełnieniem. Patrząc natomiast w kierunku umiejętności... Znał się niezłe na mechanice, w końcu jest mechanikiem, ale był wprawiony w używaniu broni palnej i spędzał zwykle trochę czasu to na siłowni, to na strzelnicy po czym wracał do jedyne go słusznego jego zdaniem zajęcia w krypcie, jakim była praca w warsztacie przy parku maszyn. Wtem do jego ulubionego miejsca pobytu przyszedł główny mechanik i rzekł:

- Morgan rusz się obiboku i pomóż mi znieść z regału koła od Ciężarówki. Jak mamy opuścić to miejsce za 5 lat to musimy już teraz myśleć o budowie dodatkowego środka transportu. Morgan spojrzął na Mechanika upranego gdzieś jakimś smarem. Stał tak i dokazując wymachiwał w jego stronę kluczem francuskim. Widząc to młodszy mechanik pomyślał głośno:

- Niech to cholera weźmie (myślał o tym, iż odkąd zaczęto mobilizować personel do całkowitego opuszczenia Krypty, nie miał wiele do gadania a tym bardziej wolnego czasu).

- Mówiłeś coś Morgan czy to nieszczęsne rury wydały ten dźwięk?

- Już idę, idę, niechętnie sapnął Morgan uznając wyższy stopień mechanika.

- Czy nie możemy najpierw skończyć tej instalacji? To śmiało zajmie nam jeszcze z tydzień a bez niej gówno będzie widać.

- Widzisz, jest coś, co trzeba zrobić a góra chce to mieć od ręki. Wyobraź to sobie.

Tak więc zajęli się znoszeniem ciężkich kół używanych przez dziesięcotonowe militarne ciężarówki. Tak więc wszyscy żyli ostatnio w pośpiechu po to, aby w dniu, kiedy nastąpi planowane otwarcie wrót być w pełnej gotowości. Każdy miał czas na pracę i odpoczynek, Morgan miał też kilku kumpli z którymi chadzał się odprężyć po pracy do swego rodzaju pubu czy na strzelnicę, natomiast nigdy nie był przekonany co do tego komu może w pełni zaufać... Do czasu gdy spotkał osobę której zaczęło na nim zależeć, śliczną dziewczę o imieniu Patrycja zwana potocznie w kręgu facetów „Furią” od jej wybuchowego charakteru. „Twarda laska” mówili kumple Morgana, którzy mieli z nią do czynienia „lepiej uważaj z nią, niejednemu już nakopała po jajach” mówili nierzadko krzywiąc się, ale Morgan wiedział że jego charakter jest inny od reszty, zresztą tak jak i Partycji, która pracowała w ambulatorium. Tak wyszło że szybko przypadli sobie do gustu i spędzali ze sobą później sporo czasu.

- Dobra Morgan. Przerzucone, teraz mam robotę możesz skończyć i swoją skomentował starszy mechanik.

- Taa wcześniej jak za tydzień tego nie ujrzyście odpowiedział Morgan i ruszył z satysfakcją w stronę swojego stanowiska pracy.

Po drodze spojrzął jeszcze na stojący tu od zawsze masywny, opancerzony wóz przewozowy który wyglądał raczej jak ciągnik od armat artyleryjskich. Pomyślał „Przebijemy się przez każde pustkowie tym dziełem 21wieku” po czym odszedł do swojego zajęcia. Krypta liczyła około 465 osób, więc było z kim pogadać. Tutaj też się urodził, rodzina jednak pomarła w wyniku nieodwracalnej starości. Ciekawość owego osobnika nie miała granic, uważał on iż wyjście na zewnątrz będzie o tyle pasjonujące co niebezpieczne, kiedyś przy kumplach na strzelnicy stwierdził „w końcu zaczniemy budować nowy świat. Spadną na nas nowe wyzwania, no i cholera wie co zdołało urosnąć na powierzchni po wojnie, więc lepiej celujcie w głowę!” tak więc uważał iż umiejętności strzeleckie przydadzą się mu prędzej czy później. Morgan był

lubiany w swoim otoczeniu, zwykle spędzał czas z kumplami, żartował i rozbawiał osoby towarzyszące mu po pracy, ale miał też swoich osobistych wrogów czy osoby nie pałające doń zamiłowaniem, którym nie wahał się wyperswadować swoich myśli.

Czas przybrał na znaczeniu dla mieszkańców Krypty w momencie przekazania przez komputer analitycznych danych odnośnie planowanego otworzenia wrót z których Morgan z jednej strony cieszył się, lecz z drugiej był przygnieciony obowiązkami i pewnymi obawami co zastaną po wyjściu na powierzchnię. Czy promieniowanie faktycznie będzie uniemożliwiało zasiedlenie wyznaczonego obszaru? Czy trzeba będzie szukać lepszego miejsca na osiedlenie. A jak potoczą się losy ocalonych od wojny istnień? Pomyślał z uśmiechem.

- Byle nie zgubiła ich głupota, Ja... Patrycja... Musimy dać radę!

Morgan sporo rozmawiał z ludźmi pamiętającymi jeszcze dawne czasy, poznawał opowieści o starym świecie przekazywane z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, karmił jakby swoją ciekawość co do świata zewnętrznego, pragnął poznać jak najwięcej informacji by jak najlepiej się przygotować do tego co może tam zastać.. I tak dowiedział się przykładowo, jak w przytulnej krypcie ich poprzednicy przetrwali pierwsze uderzenia nuklearnej zagłady, usłyszał kilka starych, nagranych przez odbiornik radio-transmisji z pola bitwy, trochę starej muzyki, wszystko przebiegało tak szybko. Ludzie są zarówno najgorszymi jak i najlepszymi istotami jakie dane mu było poznać (w zakłębieniu myśli kotłuje się miłość i nienawiść) wywnioskował.

Dzień zaczynał się jak zwykle. Ovitz po podniesieniu się z łóżka i umyciu się, zabierał się za polerowanie swojej broni. W końcu jako strażnik chciał wyglądać lepiej niż jego kumple z warty. Po dokładnym wypolerowaniu Pancora Jackhammera ubierał swoją zbroję. Był to dobrze zszyty metalowy pancerz. Ovitz nie lubił swojego imienia, wydawało mu się prostackie, bo w końcu jak można kogoś nazwać Jerremy. Nie lubił też innych ludzi, zawsze twierdził że nie są mu potrzebni a wszystko to czego się nauczył będąc jednym ze strażników Krypty 16 w zupełności mu wystarczy...

Dochodziła już godzina 6:50. Ubierając się zauważył szare plamy na jednej ze ścian w swoim pokoju ale nie miał już czasu na zbytnie rozstrzyganie co to było, w końcu Krypta ma już za sobą kawał czasu, pomyślał po czym udał się na miejsce zbiórki. Wszedł ze swojego pokoju na długi korytarz, musiał przebić się przez 2 poziomy, a potem szedł jeszcze wzdłuż maszynowni, zatrzymał się na chwilę i popatrzył przez okno, ale zobaczył tylko jak dwóch ludzi, których widywał w swego rodzaju knajpie, przenosili opony do jakiejś maszyny która jego zdaniem okres swojej świetności przeżywała w czasach przedwojennej świetlanej przyszłości. Po dotarciu na miejsce zbiórki zobaczył swojego nieco zmartwionego kapitana. Kapitan był ubrany w Pancerz Wspomagany i tylko elitarni żołnierze takie nosili, zresztą w tej krypcie było ich tylko 5, z czego jeden nosił kapitan, pozostałe były nieużywane. Ovitz, pomimo swojego młodego wieku, miał bowiem zaledwie 23 lata, chciał zostać strażnikiem wysokiej rangi i odbudowywać świat który został zniszczony przez ludzi którzy niegdyś zamieszkiwali tą planetę którą zwali Ziemią. Teraz mogli ją nazywać jedynie wypalonymi przez wojnę pustkowiami. Jego kapitan był wysokim, dobrze zbudowanym człowiekiem, jednak pod względem wzrostu był nieco niższy od Jeremiego. Jeremey był dobrym strażnikiem jednak nigdy nie lubił robić tego, co mu zwykle kazali. Dlatego też nie ściął włosów gdy przyjmował się do straży, za co otrzymywał niejednokrotnie upomnienia, jednak jego umiejętności retoryczne jak i bojowe były na tyle wysokie, że poza upomnieniem nie ponosił żadnych konsekwencji. Przechodząc do dziennych obowiązków napotkał się na zebranie strażników którzy wyraźnie byli czymś zaintrygowani. Kapitan zaczął powoli mówić nieco podniesionym głosem:

- Jak Wam wiadomo, za niecałe 5 lat Krypta ma się otworzyć i wyjdziemy na powierzchnię. Musimy być do tego przygotowani najlepiej jak się da. Jednak od pewnego czasu odczyty z

naszej aparatury pomiarowej nie są pomyślne... Aparatura wariuje i może być to spowodowane czynnikami zarówno wewnętrznymi jak i zewnętrznymi. Nasi technicy nie są w stanie rozwiązać problemu od środka. Niestety nie możemy również wysłać żadnego zwiadu na zewnątrz dopóki komputer nie przeanalizuje wszelkich danych których nie może w obecnej chwili zebrać. Cóż, bezpieczeństwo jest najważniejsze więc jeśli komputer uznaje to za niebezpieczne, to w granicach rozsądku powinniśmy zachować ostrożność przy każdym opuszczeniu bramy. Do czasu gdy nie dostaniemy sygnału „zielone światło z dopiskiem Vault tech” nie możemy dokładniej działać. Niemniej jednak wymagam od Was aby nikt się o tym co Wam teraz mówiłem się nie dowiedział i informował mnie na bieżąco. Nasi specjaliści już zajmują się tą sprawą i wierzę że wiedzą co robią. Uniknijmy niepotrzebnej paniki.. Możliwe że odczyty są błędne, w końcu ten sprzęt nie jest nowy i coś mogło mu się, że tak powiem popierdolić pod tą blaszaną obudową pamiętającą czasy sprzed wojny.. A teraz proszę zająć swoje miejsca na posterunkach. ODMASZEROWAĆ!

Jerry, poszedł na wartę przy zbrojowni. Lubił to miejsce, zawsze gdy miał przerwę podziwiał pancerze bojowe, wyobrażał sobie jak w nim wygląda i jak walczy uzbrojony w najnowsze technologie przeciwko mutantom i degeneratom istniejącego świata. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna i nie taka różowa, jak w marzeniach.. Posiadał standardowe wyposażenie strażnika. Zawsze zastanawiał się dlaczego, w końcu na strzelnicy oddawał najlepsze strzały a w testach umysłowych zwykle miewał lepsze wyniki niż cała grupa... Nie chciał jednak dyskutować, wierzył że pewnego dnia kapitan go wyróżni i dostanie do ręki pancerz wspomagany i karabin obrotowy zamiast tej, jak to nazywał, broni która robi dużo huków i małe dziurki w obiektach. Czas na warcie niemiłosiernie się dłużył, podczas dzisiejszej dniówki przyszedł tylko ten mechanik Morgan z pozwoleniem wydania amunicji na strzelnicę.

- Będziesz dzisiaj w knajpie?? Zapytał mechanik.

- Jeśli tylko nie jebnę na łóżko ze zmęczenia to będę. Odpowiedział Ovitz po czym zamknął zbrojownię odcinając się od Morgana. Podczas przerwy zrobił coś co zawsze chciał zrobić, jednak nigdy nie miał na to odwagi. Wcześniej upewnił się czy drzwi są zamknięte i nikt przez przypadek nie nadchodzi. Podszedł do skrzyni z działkiem obrotowym i otworzywszy ją wyciągnął Volcano, karabin który seria pocisków był w stanie rozkruszyć mur. Karabin musiał trzymać obiema rękoma ponieważ jego waga była na tyle duża, że nie znał człowieka który mógłby go utrzymać jedną ręką. Sprawdził czy komora działka jest pusta, bo magazynkiem amunicji ciężko było to nazwać gdyż miejsce w którym znajdowały się naboje było wielkości 15 calowego wyświetlacza, po czym uruchomił karabin. Na czerwonym wyświetlaczu pojawiły się możliwe tryby użycia broni a także informacja o zerowym stanie amunicji. Wycelował w drzwi, karabin zaczął się rozkręcać wydając charakterystyczny szum i nieco grzać, ale lufy kręciły się nadal. Ovitz był pod wrażeniem mocy tego działa. W tym momencie wszedł kapitan.

- No, no, no Ovitz... Cóż za niesubordynacja... Użycie broni bez zezwolenia...

- Panie Kapitanie, przyznaję się do tego, proszę o wymierzenie mi odpowiedniej kary... Powiedział Ovitz gdyż wiedział, że dzięki wykorzystaniu swoich retorycznych umiejętności może liczyć na mniejszy wyrok.

- Nie chodzi mi o to... Pierwszy raz widzę, jak ktoś się tym w ogóle posługuje...

- Nie do końca rozumiem panie kapitanie...

- Czy... Chciałbyś to wypróbować na strzelnicy?

- Naprawdę? odpowiedział nieco zmieszany głosem Jerry.

- Nie kurwa, zgrywam się... To idziemy? zapytał kapitan uśmiechniętym głosem.

- Tak jest Panie Kapitanie! Odpowiedział również uśmiechnięty Ovitz.

Ruszyli długim korytarzem w stronę strzelnicy. Po drodze minęli jakąś miłą i sympatyczną

pielęgniarkę. Gdy doszli na miejsce kapitan załadował Volcano, kazał go uruchomić. Na ekraniku pojawiła się sympatyczna twarz sygnalizująca broń gotową do użytku a obok niej pojawiła się liczba amunicji która znajdowała się w komorze. Ovitz nigdy nie był jeszcze tak podniecony jak i zestresowany. Nie bał się tak nawet wtedy gdy przechodził test na strażnika.

- No to na co czekasz? cel przed Tobą nie będzie stał wiecznie... Odrzekł kapitan jednak tym razem zamiast papierowej tarczy stała przed nim makietą opancerzonego pojazdu.

Jerry wystrzelił serię a huk rozniósł się wszędzie.. Prawie z taką samą szybkością co łuski wydobywające się z karabinu. Po tym co jeszcze przed chwilą było makietą wykonaną z metalu, teraz przypominało mocno sponiewierane sitko a wykręcone w różne strony kawałki pancerza, kokpitu i innego wyposażenia potęgowały wrażenie destrukcji.

- WOOOOHA! Ma moc!

- A cóż Ty myślał... Że to standardowe wyposażenie?? No, nastrzelałeś się to teraz wracaj na wartę.

Ovitz razem z kapitanem brnęli w milczeniu do zbrojowni. W pewnej chwili Jerry zapytał.

- Skąd Pan wiedział że zabrałem sprzęt?

- Przy każdym karabinie, pancerzu, amunicji, czy czymkolwiek innym co tutaj mamy są nadajniki radiowe które pokazują aktualny stan.

- A po drugie to dlaczego taka kosiara leży tutaj?? przecież chyba nam nic nie grozi...

- Teoretycznie tak.. Widzisz, Krypta jest bezpiecznym schronieniem i nie powstało narzędzie które może przebić jej pancerz, jednak zawsze nadchodzi moment kiedy dom trzeba opuścić i zbudować nowy. Wtedy przydaje się ciężki sprzęt.

- Jak Pan myśli? Gdzie pójdziemy po otwarciu wrót za 5 lat?

- Nie wiem, ale raczej udamy się z delegacją do Krypty 8. Sądzę że powinna otworzyć się przed naszym przybyciem.. Koniec pytań, jesteś na służbie strażnika! Reszta zmiany minęła już bardzo szybko, Jerry przypominał sobie jak jeszcze chwile temu stał z najpotężniejszą bronią jaką kiedykolwiek widział na oczy. Po zmianie wrócił do swojego pokoju. Mógłby przysiąc że plamy które widział na swojej ścianie przed zmianą powiększyły się dwukrotnie. Nie miał jednak ani siły, ani ochoty dochodzić co też przecieka, dopóki nie zaczęło cuchnąć. W sporym uproszczeniu z wyglądu przypominało mu to grzyb atomowy i mogło sobie żyć na ścianie na niekorzyść właściciela. W sumie to przez myśl przeszedł mu nawet pomysł żeby powiesić na tym syfie kalendarz ale szybko przeminął.

Ściągnął pancerz. Pod pancerzem nie nosił niebieskiego stroju mieszkańca Krypty bowiem wydawał mu się brzydki, pedalski, a na dodatek cisnął go w jaja.. Zamiast niego nosił najzwyczajniejsze spodnie z jeansu z efektowną dziurą na kolanie oraz czarny podkoszulek z napisem jakiejś przedwojennej kapeli Guns n Roses. Wyciągnął skórzaną kurtkę i ruszył w stronę baru gdzie nie jeden raz upił się tak, że ledwo co był w stanie dotrzeć do własnego pokoju. W barze jak zwykle siedział mechanik Morgan i jacyś jego kumple. Pamiętał jak kiedyś ów mechanik zamienił z nim parę słów na temat noszonych w krypcie kurtek. Wygląd kurtki Morgana był jednak inny, jego kurtka była powlekana polimerowymi płytkami i widocznie nie przeszkadzała mu jej waga. Samoróbka pomyślał zaraz, jednak po oschłej wymianie informacji wrócili do swoich spraw. Za barem stał Mike, niezbyt wysoki, za to dobrze zbudowany facet z nienagannie przyciętą kocią bródką i włosami koloru czarnego.

- Hej Jerr... Ovitz znaczy się. Powiedział z uśmiechem barman.

- No cześć. Nalej mi bez zbędnego gadania to co zawsze, nie jestem w humorze na rozmowy.

- A kiedy byłeś człowiekiem?? przychodzisz tu od kilku lat a jedyne co o Tobie wiem to, to że jesteś strażnikiem i nazywasz się Ovitz...

- No i tyle Ci wystarczy. Przychodzę się tu napić a nie pogadać o życiu i śmierci... Szczerze

mówiąc to pierdolił mi Twoje zdanie, daj mi to cholerne piwo i odczep się ok. ??

- Dobra, wyluzuj, chciałem być miły.

- Ja też, dostane to piwo? Chce mi się pić po dzisiejszym dniu.

Mike podał Jerremu piwo. Pił je w spokoju. Kątem oka dostrzegł Jacka który kręcił się przy barze. Jack wkrótce rozbawił barmana tak, że obaj śmiali się z czegoś przez pewien czas. Ovitz nawet nie chciał wiedzieć co to było. Jack obróciwszy głowę dostrzegł wkrótce siedzącego w kącie strażnika. Oby się tylko nie przypierdolił, pomyślał...

- Cześć Ovitz!

- Cholera... Mruknął do siebie... No cześć.

- Co tam?? Jak po zmianie, znowu na piwku siedzimy?? Zapytał ciekawskim, wścibskim wręcz głosem.

- Nie siedzimy.. Tylko siedzę, to raz, zakłócasz moją egzystencjalną przestrzeń to dwa, a po trzecie przysiadasz się nieproszony...

Jack chciał coś odpowiedzieć ale w tym momencie na podłogę padł jeden z przebywającej w barze ekipy, dostając dziwnych drgawek... Spanikowani bywalcy baru od razu wezwali pomoc. Każdy chciał zobaczyć co pił Dongle, który teraz się już nawet nie ruszał tylko z jego ust wylewała się dziwna substancja.

- Otrułeś go!! Krzyknął ktoś z zebranych i rzucił się kierunku barmana ale Ovitz tylko złapał go za kombinezon i ruchem ręki sprowadził do parteru.

- Spokojnie, nie wiesz czy to on. W końcu wszyscy pijemy to samo piwo... Poczekajmy na ekspertyzę medyczną a do tego czasu... Jak się w ogóle nazywasz? L-L-L-Lukas, wyjął przewrócony mieszkaniec. Do tego czasu Lukas, będziesz siedział w areszcie za próbę morderstwa, próbę wszczęcia buntu i narażenie innych na niebezpieczeństwo... Jeśli się do wszystkiego ładnie przyznasz to może zamienią Ci wyrok na 10 lat konserwacji urządzeń Krypty.

- A-a-a-le ja t-t-tego nie umiem.

- Cóż, będziesz miał w takim razie przyspieszony kurs konserwatora.

Ovitz zabrał Lukasa do celi. Szli przez 3 poziomy, głównie przez miejsca spotkań mieszkańców. Miejsca te przypominały trochę obszary dawnych pałaców w których przyjmowało się gości. Były to duże przestronne pomieszczenia z wygodnymi meblami, jednak były one wykonane całkowicie z metalu. Po drodze mijali podobny przypadek, człowiek nagle dostał drgawek i padł na ziemię z pianą na ustach. Gdy doszli do celi Jerry zawołał do Kapitana ale ten go od razu uciszył.

- Nie teraz Ovitz, mamy poważny problem, kilku ludzi nagle umarło, jeden z podobnymi objawami ale żywy jest w ambulatorium.

- Przychodzę w podobnej sprawie, tylko podczas „ataku” trupa z baru ten chciał wszcząć bunt, zabić barmana i naraził na niebezpieczeństwo innych.

- Czy przyznajesz się do swoich czynów?? powiedział surowo kapitan.

- A-a-a-le ja tylko... to z-z-znaczy t-t-tak.

- Odprowadzić go do karceru, czekamy teraz tylko na decyzję nadzorcy, na wszelki wypadek bądź w pogotowiu Ovitz, nie wiadomo co się jeszcze może dzisiaj stać.

Gdy wrócił do swojego pokoju, śmierdziało już nie na żarty! Na szczęście to nie skażenie radioaktywne pomyślał.. zaczął ubierać pośpiesznie zbroję i przygotował też zapasową broń którą okazał się wysłużony czarny Glock. Postanowił czuwać (odpoczywając na jedno oko) przez resztę nocy. Czas upływał, jednak nie każdy mógł pozwolić sobie na spokojny sen.

Wczesnym rankiem(jak pokazywał elektroniczny zegar ścienny) Morgana obudziło energiczne pukanie do drzwi wejściowych jego kwatery. Zrywając się z łóżka sennie narzucił na

siebie kapotę i doszedł do drzwi z dziwnym przecuciem. Otworzył lecz nagle oślepiiony światłem bijącym z korytarza zasłonił ręką twarz.. Minęła chwila.

- Morgan! Morgan obudź się! Zawołała cierpkim głosem Patrycja, musimy pomówić.

- A tak, czemu by nie, wejdz.. Morgan spojrział na nią, była ubrana w roboczy kombinezon lekarski i trzymała w ręku torbę z medykamentami. Ładnie dziś wyglądasz sennie jeszcze wymamrotał, gdy wreszcie przejrzał w pełni na oczy.

- Dzieje się coś strasznego.. Zaczęła Patrycja z nigdy jak dotąd drżącym głosem. Słyszając jej słowa Morgan nagle oprzytomniał..

- Kochanie stało się coś?

- Idąc do pracy słyszałam krzyki.. I wierz mi, to nie były normalne krzyki. Były zniekształcone, podbiegłam do korytarza mieszkalnego bo z stamtąd dochodziły i zobaczyłam turlających się po ziemi, zwijających w bólu kilku ludzi. Żadnych doraźnych obrażeń, zero krwi na podłodze, krzyczeli żeby im pomóc ale wyglądało nie wiem dokładnie co mogło być przyczyną tego wszystkiego, wyglądało mi to na epidemię, dlatego ubraliśmy skafandry i przenieśliśmy ich do ambulatorium, znaleźliśmy pięciu, resztę stamtąd przenieśliśmy i poddajemy obserwacji..

- To faktycznie wygląda mi na jakąś nowa odmiana wirusa, czy czegoś zaraźliwego ocenił zwawo.

- Z wstępnych analiz jakie przeprowadziliśmy nie wynika wiele, musimy poczekać, wiesz martwię się o Ciebie, jeśli coś się wydarzy..

- Nic mi nie będzie, spokojnie przerwał Patrycji Morgan, wszystko się wyjaśni, zobaczysz Patris.

- Czułam, że coś jest w tych ludziach. Tak dziwnie się zachowywali, jakby coś wysssało ich energię życiową. To niemożliwe żeby coś zepsuło się w bazie, wysłaliśmy tam niedawno techników i nie stwierdzili naruszeń urządzeń czy struktur nośnych musimy poczekać na wyniki.. Muszę wracać do chorych, uważaj na siebie Morgan.. Masz, coś Ci przyniosłam, tak w razie czego (podaje polimerowe pudełko na którym widnieje obdarty czerwony krzyżyk).

- Dzięki, zobaczę, może czegoś się dowiem, ale tam w ambulatorium, Patris.. Cokolwiek by to było uważaj! Odchodząc zawołała obracając się w jego kierunku z uśmiechem, jakim tylko obdarzała Morgana

- Będę!

Mechanik usiadł przy biurku, położył na nim paczkę i zaczął przeglądać zawartość.. Dwa stimpacki, odtrutka, jakieś kolorowe prochy.. Aha to będzie rad-x, maseczka filtrująca, antidotum na jet, bandaże, woda utleniona, butelka gorzały.. Oho! to się może jednak na coś przydać! Z uśmiechem wycenił Morgan. Cóż, napije się z Patris kiedy wróci, może będziemy mieć lepsze wieści.. Morgan ubrał się jak należy i wychodząc skierował swe kroki do centrum informacyjnego. Już po chwili jego oczom ukazał się następujący widok.. Przy terminalach komputerowych klócili się trzej starsi mieszkańcy Krypty, zarządca centrum oraz jego asystent. Morgan spojrział na nich z zaciekawieniem i wsłuchał się w ożywioną wymianę argumentów. Cała reszta nie zdawała się przejmować jego obecnością i nieprzerwanie się klóciła:

- Musimy to ogłosić! rzekli starsi mieszkańcy Krypty.

- NIE macie żadnych dowodów, musimy czekać na ekspertyzę, poza tym cały obszar został odizolowany od reszty! Więc niema podstaw by wywoływać panikę! Nagle przekazano komunikat przez radio węzeł:

- Prosimy o zachowanie spokoju oraz pozostanie w swoich kwaterach dla własnego bezpieczeństwa, proszę nie zbliżać się do sektora trzeciego mieszkalnego. O co tutaj chodzi? Morgan zapytał klójącą się zgrają.. dało się słyszeć tylko coraz głośniejsze przekrzykiwanie typu

„więcej ludzi umrze!”, „musimy się z stąd wynosić!” oraz „pier*%#ę wasze zasady, otwierać Kryptę!”. Morgan prosił o spokój, upominał aż w końcu nie wytrzymał i krzykiem zadedykował „Zamknijcie wszyscy ryje! I powiedzcie o co chodzi!”.. Nastąpiła niezgrabna cisza. Wszyscy spojrzeli na Morgana z niemałym wyrzutem.

Mechanik znany był zresztą z podobnych wyskoków choć zwykle kończyło się na upomnieniach. W końcu jeden z nich powiedział

- Mamy skażenie.

- Jak kto? przecież jesteśmy w krypcie, osłania nas góra, jakie skażenie!?

Jakby to powiedzieć.. Z danych geologicznych jasno wynika iż pod górą było kiedyś wielkie ośmiomilionowe miasto..

- I co w związku z tym? Wtrącił się nieprzychylnie Morgan.

- To, że kiedyś skądś ludzkość musiała czerpać energię, a węglem by im się nie opłacało..

- Co usiłujecie mi powiedzieć?

- Mieliśmy nad głowami kiedyś nowej klasy wysoko wydajnościowy reaktor atomowy. Kiedy spadły bomby jego rdzeń prawdopodobnie stopił się i mimo, iż nie odczuliśmy skutków nawet po dłuższym czasie to stopiona plazma wszystko przeżarła i teraz dobiega się do nas niosąc skażenie.. Założę się, że przez to czujniki świrowały.

- Oczywiście personel centrum stanowczo zaprzeczył i stwierdził iż to nierealne gładzenie wcale nie trzyma się rzeczywistości, powody mogą być całkowicie odmienne oraz że nieupoważnieni nie mogą rozgłaszać bezpodstawnych niepotwierdzonych przez nikogo plotek do czasu wyjaśnienia sprawy i decyzji nadzorca.

- No to mamy przejebane.. Stwierdził pesymistycznie w duchu Morgan wiedząc, iż prawda zapewne leży gdzieś pośrodku po czym pobiegł pod ambulatorium. Po drodze spostrzegł Jerrego który również w pośpiechu gdzieś zmierzał i wcale by go to nie zdziwiło gdyby nie trzymał w ręku czarnej giwery. Kolejny komunikat z radiowęzła Krypty oznajmił

- Skażenie, proszę zgłosić się do ambulatorium, wydajemy leki, zebranie holl główny, godzina dwunasta”.

Mechanik czując, że zaczyna być gorąco stwierdził pod nosem:

- Przynajmniej biegnę w dobrym kierunku... Wspaniale, po prostu cudownie... A liczyłem na dobry dzień. Już wkrótce był przy lokacji do której usilnie starał się dotrzeć.

Sytuacja na korytarzach robiła się dramatyczne, ludzie przepychali się, przewracali, chodzili po sobie byle tylko dojść do ambulatorium jako pierwsi natomiast obok specjaliści w białych skafandrach zamykali szereg toreb na zwłoki które najwyraźniej nie były puste. Morgan spojrzął na drętwe torby. Pomyślał iż jest bezradny w obecnej sytuacji, co osobiście nie napawało go radością. Wtedy w pobliżu ujrzał Patrycję, która próbowała opanować tłum panujący przy bocznym skrzydle ambulatorium. Widać było, że rozmawia z kimś przez komunikator i rozpakowuje pobliskie paczki wydając zapasy panikującej ludności Krypty.

Tłum, który przybiegł z drugiej strony zablokował całkowicie korytarz i mechanik został zmuszony zostać do przemieszczenia się w kierunku holu głównego, czyli miejsca spotkania z nadzorcą. Ludzie zażywali wydawane środki gdy po chwili przybył nadzorca i rzekł do zebranego tłumu.

- Mamy krytyczną sytuację, musimy opuścić naszą Kryptę przez zaistniałą sytuację.. Nastąpiło skażenie i za kilkanaście godzin poziom promieniowania będzie przekraczał stokrotnie dopuszczalne normy w związku z czym zarządzam przyspieszone opuszczenie Krypty. Niech każdy zabierze najważniejsze rzeczy. Omijajcie sektory 3 i 4 . Oprócz tego zbrojownia wyda wam broń i amunicję. Zabierzcie żywność i najpotrzebniejsze rzeczy, zbiórka za godzinę przy parku maszyn.

Szkoda że mamy tylko jedną pomyślał Morgan, poza tym naszą pracę szlak trafił. Nie tracąc czasu Morgan zabrał ze swojej kwatery czarną, zręcznie podszytą kevlarem skórzaną kurtkę. Wolał lżejszy pancerz przy swoim ekwipunku. Oprócz odzienia wybrał plecak który został pośpiesznie wypełniony suchym prowiantem i wodą. Przyda się też kilka rzeczy takich jak przenośny zestaw narzędzi, jest i paczka od Patris.

- Dobra mam co trzeba, muszę jeszcze dojść do zbrojowni i wyjdę po Patris. Wzdłuż korytarza migąło czerwone światło alarmujące o zagrożeniu przy którym przemijali ewakuujący się ludzie.

Ovitz nie miał czasu by iść do ambulatorium, wiedział że to samo dostanie w kwatrze strażników. Gdy doszedł na miejsce zobaczył kilku martwych służbistów. Nie było na ich ciałach krwi ani jakichkolwiek innych oznak walki, wyglądali jakby coś wyssało ich energię a oni nie byli na tyle silni żeby się temu przeciwstawić. Ovitz wiedział jednak że tamtej nocy spali w sektorze trzecim. Jerry spojrzął na coś, co wyglądało jak jeden ze strażników. Jednak obiekt obserwacji całą twarz miał w dziwnych bąblach a ręce spuchnięte. Nie wydawał dźwięków podobnych do naturalnych oddźwięków człowieka... On zmutował...

- Z nami wszystkimi może się stać coś takiego jak z Kraftem. Powiedział kapitan pokazując na mutanta siedzącego w celi chronionej polem elektrycznym. Dlatego właśnie dostaniecie inne paczki niż mieszkańcy Krypty. W waszych paczkach znajdziecie oprócz żywności, lekarstw na mutację oraz promieniowanie, mentanol, oraz kilka butelek różnego rodzaju alkoholu. Przydziel bronie oraz pancerze odbędzie się według stopnia i stażu w służbie Krypty.

Kapitan porozdzielał pancerze i broń, na koniec podchodzi do Ovitz, który był trochę smutny że nie dostał w przydziale ani karabinu Volcano ani pancerza wspomaganego...

- Dla Ciebie zostało coś specjalnego na co zresztą zasłużyłeś. Zabrał Ovitz do swoich kwat. Były to duże rozległe pomieszczenia w których pełno było książek oraz holotaśm opisujących dawne życie oraz uzbrojenie. Na ścianach wisiały też wiernie odwzorowane repliki przedwojennej broni. Kapitan stanął przy ścianie i przyłożył oko do aparatu skanującego siatkówkę po czym otworzyło się pobliskie pomieszczenie.

- Myślałem, że będę tego używał, jednak jestem już stary i nie mam tak wprawnego oka jak kiedyś... Chcę abyś tego używał Ovitz i chcę byś przyniósł chwałę mnie jak i wszystkim strażnikom Krypty szesnastej.

Kapitan się odsunął a wtedy zza jego pleców wyłonił się Lśniący pancerz wspomagany, dokładnie taki jaki nosili komandosi za czasów wielkiej wojny oraz prawdziwe dzieło techników.. Działo obrotowe z możliwością zasilania małymi ogniwami energetycznymi jak i konwencjonalną amunicją. Jerry bez zbędnego gadania zamienił swój pancerz na to dzieło sztuki i techniki. Przy zakładaniu poczuł ukłucia, jednak pomyślał że to normalne bo w końcu ten pancerz nie był robiony dla niego. Zestaw był jednak zadziwiająco dobrze dopasowany a poza tym wyglądał w nim jak prawdziwy żołnierz - taki, którym zawsze chciał być. Zabrał do rąk działko, ale tym razem stwierdził że nie jest już takie ciężkie jak poprzednio, zdziwiony tym zapytał kapitana.

- To jakaś uboższa i lżejsza wersja?

- Nie, ta wersja jest najbogatsza i cięższa od tego co miałeś w rękach o jakieś 70 kilo... To że nie czujesz tak mocno tej wagi to zaleta pancerza, wspomaga Twoją siłę i wytrzymałość komputerowo dzięki stymulacji nerwowej, zapewne poczułeś ten ból przy zakładaniu. Ovitz pokiwał głową, właśnie, to była operacja stymulacji... Teraz pokonać Cię może jedynie stado mutantów albo inni ludzie w takich pancerzach... Aha, zapomniał bym. To że masz taki pancerz nie oznacza że jesteś niezniszczalny, poziom wytrzymałości pokazuje ten monitor. Kapitan nacisnął przycisk na lewej ręce i pokazał się ekranik informujący o 100% spójności pancerza.

Jesteśmy wszyscy podzieleni na 3 grupy, ja idę do tej pierwszej więc nie potrzebuję tego cuda, zresztą nie będę w nim w stanie wcisnąć się w fotel kierowcy mamy opancerzony transporter na chodzie. Ty jesteś w 3 grupie, i jesteście zdani tylko na siebie i broń którą dysponujecie. A teraz odmaszeruj. Spotkamy się na miejscu naszego NOWEGO domu, naszej nowej nadziei. Ku chwale strażników!

- Tak jest Panie Kapitanie! Odpowiedział Ovitiz po czym odmaszerował.

Gdy już Morgan doszedł do zbrojowni zobaczył oczekiwaną zresztą kolejkę lecz nie wydawała mu się zbyt długa gdyż ów ludzie pakowali się dość szybko. Dostrzegł w niej natomiast starszego mechanika następnie podszedł doń aby się poradzić.

- O, Morgan. Zdaje się, że naszą instalację szlak trafił, nie jesteśmy gotowi na tak gwałtowne opuszczenie Krypty ze wszystkim co tutaj mamy. Co prawda jest jeden pojazd ale zostanie on przydzielony pierwszej ekipie a z tego co mówił nadzorca to mają być utworzone trzy.

- Co zamierzają zrobić? Dokąd nas wysłać?

- Wiesz Morgan, to właściwe pytanie, sam chciałbym wiedzieć. Nadzorca teraz ustala szczegóły z planistami z centrum komputerowego, myślę że wkrótce się dowiemy.

- Dobra, czas się dozbroić.. Rzekł młodszy mechanik po czym zabrał ze zbrojowni nóż bojowy, kilka granatów zaczepnych oraz stary dobry Desert Eagle o pociskach rozrywających 50 cala wraz z zapasem amunicji na małą wojenkę. Starszy mechanik spojrzał jeszcze na Morgana..
Dodał:

- Czekaj przy parku maszyn, tam mają przydzielać do grup ruszających w świat zewnętrzny.

- Żaden problem odrzekł z stanowczo Morgan przeladowując gnata niczym macho. Dwadzieścia minut przed wyjściem z Krypty Morgan już w pełnej gotowości operacyjnej przemierzał jeszcze korytarze pierwszego poziomu, chciał dostać się do Patrycji by porozmawiać z nią przed całkowitym opuszczeniem Krypty, otworzył jej kwatere.. Lecz nikogo w niej nie było, na biurku leżał jednak list do Niego.. Bez namysłu złapał za kopertę, i przeczytał „Nie wiem czy jeszcze się zobaczymy przed opuszczeniem Krypty, nie mamy czasu na nic. Nadzorca przydzielił mnie wcześniej do pierwszej, zmechanizowanej grupy.. Może i Ciebie tam przydziela, w końcu jesteś mechanikiem.. Podobno przydziały do tej grupy istniały już od jakiegoś czasu ale ja dowiedziałam się dopiero przed chwilą, wiem że przekażą nam lepszy ekwipunek niż innym grupom, musi zależeć im na tym Pojeździe.. Wiedz, że cokolwiek by się nie działo, będziesz dla mnie.. (tutaj tusz został rozmazany, najwyraźniej płakała) Dalej pisało: Przyjdź do parku maszyn przed wyjazdem, będę czekać".

Morgan bez namysłu ruszył w miejsce ostatniego spotkania, sekwencja otwarcia wrót Krypty została zainicjowana, tłumy mieszkańców stały przy parku maszyn na którym widniały już przygotowane dwie przyczepy oraz wciąż sprawny ciągnik, wszystko to było obciążone różnego rodzaju przedmiotami. Morgan rozglądał się za Patris lecz nie dostrzegł jej nigdzie. Wtem do parku maszyn przybył nadzorca z radą..

- Słuchajcie wszyscy! Nasz przenośny system odbudowy uaktywni się do pracy dopiero za pięć lat, kiedy to komputer zezwoli mu na uaktywnienie. Zamkniemy szczelnie tę Kryptę. Ustawiliśmy komputery, więc wszystko będzie tu działać za 5 lat. Poziom skażenia na powierzchni nie jest niebezpieczny, niebezpieczeństwem jest natomiast dalsze przebywanie w krypcie. Naszym planem głównym jest odnalezienie miejsca w którym bylibyśmy bezpieczni. Utworzymy trzy grupy a każda będzie miała za zadanie dotrzeć na daną pozycję i przekazać przez radio raport o zastanym stanie rzeczy. Mamy tylko jeden pojazd dlatego grupa druga będzie musiała dotrzeć do lokacji, w której leży Krypta 15,(wskazuje na pobliskiej mapie punkty gdzie znajdują się Krypty). Grupa trzecia uda się w kierunku Krypty 13 natomiast pierwsza obierze za

cel odnalezienie Krypty 27, mamy wiarygodne informacje iż systemy krypt wciąż działają. Mamy zamiar zwrócić się do ocalonych z pobliskich krypt mieszkańców. Musicie odnaleźć miejsce w którym będziemy mogli się osiedlić.

Następnie nadzorca czytał przydziały do grup, i tak okazało się, że kapitan jedzie z sanitariuszką, naczelnym mechanikiem i kilkoma doskonale wyszkolonymi strażnikami. Ruszą transporterem dalej niż członkowie innych grup natomiast reszcie pozostaje dojść pieszo do celu. Wszystko się komplikuje w momencie gdy Morgan usłyszał swój przydział, którym ukazała się być grupa 2. Wkrótce usłyszał ryk silnika spalinowego oraz kłęby dymu, to grupa pierwsza ruszała w teren. Nagle zobaczył dobiegających do pojazdu ludzi w bojowych pancerzach.. No tak, nie możemy przecież pozwolić, by Patris zginęła przewinał myślami Morgan, zapewniony trwałością tego pancerza. Przyglądając się biegnącym wśród kłębow dymu uczestnikom grupy pierwszej dostrzegł wkrótce Patrycję. Widząc ją w pancerzu z torbami wypchanymi medykamentami wykrzyknął jej imię. Wyglądała teraz na bardzo zmęczoną jednak starała się sumiennie wypełnić powierzone jej zadania. Dostrzegła kątem oka Morgana, któremu widocznie chciała jeszcze coś powiedzieć, jednak została wepchnięta w transporter przez stojącego za nią żołnierza. Morgana ogarnął żal, iż nie udało się im porozmawiać przed wyjazdem. Teraz w głębi duszy czuł niepokój iż mimo podjętych środków nie będzie miał z nią kontaktu i jest to bardzo ryzykowna wyprawa.

Nadzorca przekazał dodatkowo plany zbiórki w punkcie pomiędzy Kryptami grup drugiej oraz trzeciej na wypadek całkowitego niepowodzenia. Grupa pierwsza musiała polegać na swoich karabinach, pancerzu i szybkości osiągniętej przez opancerzony pojazd transportowy lecz nie była liczna.. Jechali w końcu wybrani z najlepszych o sile 12 ludzi. Pozostałe grupy jak druga miała przewagę liczebną, jednak otrzymali wyposażenie i pancerze niższej klasy. Generalnie 50 lekko i średnio zbrojnych żołnierzy do której trafił Morgan wraz z czteroosobową grupą rozpoznania w której był Jackiem sprawiała wrażenie lepiej zabezpieczonej taktycznie. Patrząc w kierunku grupy trzeciej, z której składało się szesnastu elitarnych średnio zbrojnych wojowników pod dowództwem świeżo nominowanego lidera (którym niewątpliwie stał się Ovitza stojąc teraz dumnie w kompletnym pancerzu wspomaganym i godziwą armatą) możemy mówić o lepszym wyszkoleniu i śladowym aczkolwiek technicznie zaawansowanym sprzęcie bojowym. Cała reszta nie obeznanych w walce mieszkańców postanowiła zwyczajnie rozbić obóz i poczekać na wieści nieopodal swojej Krypty szesnastej w obstawie pozostałych żołnierzy w pancerzach wspomaganych. Jeszcze szereg instrukcji i dodatkowej analizy topograficznej po czym rozpoczął się wymarsz. Najpierw wyjechał transporter gąsienicowy podnosząc kłęby pyłu i spalin które pokryły wiwatujący tłum. W chwilę później wyruszyła kolumna 50 lekko i średnio zbrojnych żołnierzy, do której trafił Morgan wraz z czteroosobową grupą rozpoznania w której był Jack. Ostatnia grupa została żwawo wyprowadzona przez Ovitza, który wśród członków swojego zespołu dostrzegł znajomych strażników z którymi służył Krypcie przez lata.

Tak rozpoczęła się najważniejsza w dziejach Krypty szesnastej wyprawa, która miała zadecydować o dalszym losie ludzi pochodzących z niegdyś tętniącego życiem i rozsądkiem kraju. W kraju, w którym rozsądek został zatracony wraz z całym życiem i dobytkiem pokoleń.

2. Raz na wozie, raz pod wozem

Morgan podróżował ze swoją grupą w kierunku zachodnim. Po drodze oglądał wypalone pozostałości po dawnej cywilizacji i przy każdej możliwej sposobności podchodził jak najbliżej by przyjrzeć się wypalonym konstrukcjom pojazdów, które niegdyś były technologicznymi cudami zaawansowanego przemysłu. Wyobrażał sobie jak kiedyś mogły wyglądać.. Mechanik doceniał ich kształty i grację mimo iż obróciły się w strzępy pogniecione go rdzawego żelastwa skrywającego w sobie resztki tego co kiedyś było ludźmi. Te złomy zapewne nigdy już nie ruszą z miejsca swojego spoczynku. Przechodząc przez strzępy pobliskiego miasta, widział ulice zasypane gruzami szarych budynków z których farba zeszła już dawno temu, jak i pordzewiałe wystające zewsząd elementy zbrojeń konstrukcji, które wyglądały często jakby miały się zaraz zawalić. Wyobrażenia zachęcała Morgana, aby wszedł do jednego z nich i przeszukał pozostałości lecz rozsądek i zlecona misja były ważniejsze, zresztą i tak pewnie to co tutaj pozostało jest raczej bezwartościowe bądź pogrzebane pod gruzami jeśli jeszcze się nie spaliło. Grupa druga miała nieco utrudnione zadanie w przedostaniu się przez miasto gdyż ciągnęła za sobą przyczepę z zasobami i musiała od czasu do czasu zrobić postój na oczyszczenie drogi. Idąc przed siebie Mijając kolejne wraki samochodów Morgan rozmyślał.. Gdybym miał tutaj mały warsztat, może mógłbym złożyć jakieś samochody z tego co tutaj pozostało.. niektóre z nich nie wyglądają na całkowicie zniszczone. Przyznać trzeba, że niektóre były wręcz wbite w budynki co też zapewniło im niejako ochronę przed kwaśnym deszczem, który zwykł obracać je w rdzawie beużyteczne złomy. Gdy dochodzili do centrum zrujnowanego miasta oddział rozpoznawczy dał sygnał dowódcy iż widzą ruch na skanerach. Ten zatrzymał się i ruchem uniesionej ręki, nakazał zachować czujność. Morgan wyciągnął pistolet, zaparł się przy nadpalonym murku i obserwował zdegradowane otoczenie. Przed nimi widać było duży plac zasypany gruzem z otaczających go budynków przy których dodatkowo wały się wraki samochodów. Cała reszta wojowników skierowała broń w kierunku miejsca które obserwował dowódca, czekali, czekali aż w końcu zauważyli, jak daleko na rozerwanym piętrze starego budynku coś gwałtownie się poruszyło. Było jakieś trzysta metrów przed nimi lecz nie zamierzało walczyć. Zeskoczyło z czwartego piętra i pognało daleko przed siebie..

- Cholerne mutanty.. Wycedził Morgan, właśnie dlatego powinniśmy więcej strzelać do ruchomych celów na strzelnicy..

- Ruszamy! oznajmił dowódca, po czym doszli po trzech godzinach do rejonu miasta zewnętrznego, które wydawało się wyglądać jeszcze gorzej niż to co zobaczył do tej pory Morgan. Dowódca monitorując licznikiem Geigera pobliskie obszary uznał iż nie możemy zatrzymać się na tym obszarze zbyt długo, obszar był napromieniowany więc musimy obejść go bokiem. Morgan widząc coraz rzadsze ruiny budynków domyślał się że wychodzą na całkowite pustkowia, dalej widać było tylko pył, gdzieniegdzie widniały poprzewracane martwe drzewa mimo iż prawie wychodzili z tego co było miastem Morgan nadal odwracał wzrok w kierunku ruin. Było późne popołudnie, karawana brnęła w pyle kierując się starą podziurawioną mocno drogą, która według mapy przywódcy miała doprowadzić ich na właściwą ścieżkę. W końcu mijali jakiś wielki pojazd przypominający trochę ciężarówkę na gaśnicach z potężnym zderzakiem wyglądającym trochę jak zespawane szyny kolejowe, Morgan pomyślał że ta forteca musiała być zrobiona tuż po wojnie przez jakieś lokalne gangi.. Jej stan nie był nazbyt beznadziejny. Pewnie zabrakło jej paliwa pod postacią ogniw.. To potwierdziło jego przekonania iż można by założyć tutaj mały park maszyn, mając jednak trochę środków w tym co oczywiście a niezbyt realne sprawną stację benzynową. Zbliżał się wieczór, Morgan zobaczył po raz pierwszy

gwiazdy na niebie, wprawiło go to w zachwyt, pomyślał jeszcze o swojej dziewczynie która pewnie przedzierała się przez pustkowia w tej opancerzonej trumnie pędzącej po pustkowiach w nadziei na lepsze jutro. Dowódca nakazał rozbić obóz, gdyż było już całkiem ciemno. Wraz z Morganem w drugim zespole było jego dwóch barowych kumpli Hank oraz Jack, rozpoznali się dopiero przy rozbijaniu obozowiska i zaraz zaczęli się witać jak bracia. Hank miał może tyle wzrostu co Morgan ale był niemiłosiernie przypakowany natomiast Jack wyglądał jak każdy inny obywatel Krypty, chodził jednak zawsze uśmiechnięty i miał bardzo celne oko. Morgan spostrzegł zaraz iż Hank wybrał sobie na podróż do samoobrony nie lada zabawkę. Była nią stara przedwojenna konstrukcja dająca pomimo wieku piorunującego kopa.. Była nią amerykańska M60 pamiętające zapewne jeszcze czasy wojny wietnamskiej. Facet wyglądał z tą pukawką jak prawdziwy rambo i zresztą tak się prezentował. Opasany pasami starej amunicji dodał tylko:

- Co? ma się marnować w schronie? Natomiast Jack włożył stalowy pancerz i tłukł się w nim przez całe miasto, w rękę stare dobre m 16, do tego z chytrym uśmiechem dodał iż ma małą niespodziankę dla pierwszego bydlaka który mu się nawinie.. Zarówno Hank jak i Morgan spojrzeli na magazynek Jacka, po czym równo stwierdzili dum dum!

- Tak panowie.. Skoro konwencję Genewską mamy już za sobą to trzeba myśleć o swojej przyszłości, nieprawdaż? Jak zwykle Jack był szczery aż do bólu. A ty co tam dzierzysz Morgan? Noo pochwal się ..

- Cóż, zabrałem trochę narzędzi i pistolet, myślę że wystarczy.. Po czym wyciągnął srebrnego gnata z kabury i pokazał im zastosowaną amunicję...

- Ty to chyba chcesz tym świat rozpieprzyć.. Dodał uradowany Jack.

- Wystarczy by ścinać drzewa dodał na w pół śmiejąc się Morgan.

Nastała noc, strażę trzymały wartę natomiast reszta ekipy spała. Noc minęła spokojnie a ludzie zebrali obozowisko i ruszyli dalej. Po godzinie drogi doszli do stromego zejścia prowadzącego przez szeregi starych zabudowań jakiejś fabryki. Dowódca zatrzymał się przed nimi i spojrzął na pobliskie budynki..

- Musimy przejść tą drogą, po lewej mamy urwisko a po prawej stronie mamy tylko góry. Miejcie się na baczności, to dogodne miejsce na zasadzkę. Lider zebrał oddział zwiadowczy składający się z czterech osób, więc Jack doczekał się zadania. Reszta lekko zbrojnych w uwadze czekała na rozwój wydarzeń. Minęło jakieś 20 minut po czym z oddali wszyscy usłyszeli srogie serie karabinów maszynowych. Dowódca rozkazał ruszać naprzód w dwóch grupach, podchodząc coraz bliżej i rozglądając się na wszystkie strony ludzie trzymali się pobliskich murów schodząc coraz to niżej, aby tylko mieć jakąś osłonę przy zajmowanych pozycjach. Wtem, po donośnej eksplozji za plecami podchodzących ludzi, zawalił się pobliski silos. Szybko okazało się iż zaczyna się toczyć z obłądną prędkością po zboczach w kierunku zabudowań do których podchodzili. Morgan usłyszał tylko krzyk dowódcy

- Kryć się! po czym toczący się obiekt stał się śmiertelnym niebezpieczeństwem dla próbujących daremnie ukryć się wojowników. Obiekt wręcz zmieł większość uciekających lewą stroną na swej drodze po czym wbił się w masywną ścianę fabryki rozlewając nieznaną nikomu substancję. Wszędzie było pełno pyłu i trudno było cokolwiek zobaczyć.

- Zostaliśmy zaatakowani! darł się ktoś do słuchawki, zresztą krzyki ogarnęły całe pobojowisko.

Morgan miał to szczęście że szedł po drugiej stronie drogi choć masywny silos minął go o kilka metrów. Przestraszeni rozwojem sytuacji ludzie rozpieprzili się w różne strony. Morgan wszedł na podest pierwszego budynku z brzegu i zobaczył powracający z naprzeciwka oddział zwiadowczy, a raczej to co z niego zostało..

- Jack! Krzyknął Morgan przywołując go ręką, ale Jack biegł przed siebie jakby go sam szatan

gonił a zaraz za nim jeszcze jeden ze zwiadowców. Był już blisko miejsca, gdzie silos zmiażdżył część ekipy, gdy nagle z pobliskiej góry zaczęły staczać się na oszołomionych wojowników ciężkie kamienie po czym zostali ostrzelani z broni maszynowej. Nastąpiła rzeź, wszędzie słychać było strzały, błyski i opadający pył. Jack będący przy budynkach z prawej strony prawie dostał zrzuconym głazem. Chciał się dostać w miejsce z którego mógłby strzelić ale teren był trudny. Widział jak szatkujące piasek pociski rozrywają po drodze jego zespół mimo iż próbowali się osłaniać. Jednak grupa druga również otworzyła ogień i ktoś nawet trzasnął w górę, z której strzelano z granatnika m79 po czym przez chwilę nastąpił spokój. Grupa Ovitza zmierzała dosyć długo w wyznaczonym kierunku. Słyszeli w oddali donośne, huki i mnogie wystrzały. Echo które niesło się przez górzystą okolicę podpowiadało, że gdzieś tam rozpętało się piekło.

- Szeffie, nie powinniśmy im pomóc?

- Nie, nie wiemy co się tam dokładnie dzieje, zresztą dali by znać przez radio jakby potrzebowali naszej pomocy, może po prostu rozwalili paru mutków..

- A jeśli nie? Zapytał szeregowy Patch.

- Jeśli nie to mają pecha, my mamy swoją misję którą musimy wypełnić, każda niesubordynacja będzie karana śmiercią... Czy to jasne Patch? Warknął Ovitza

- Tak jest!

Jack wszedł ze swoim skrzydłowym na pobliski dach budynku po lewej, by mieć lepszy widok na przeciwnika. Morgan popatrzył przez chwilę w kierunku góry.. coś się tam zaczęło palić. Po chwili głuchy strzał z oddali rozpruł twarz zwiadowcy z którym Jack wyszedł na dach. Morgan widział jak dowódca zbiera ludzi zaczynają biec w kierunku ściany przy budynku na samym dole zakładu, z którego prowadzony był ostrzał snajpera. Jack zaczął wycofywać się, kiedy ponowny strzał snajpera trafił Hankę ostrzeliwującego na ślepo dany budynek ze swojej m60ki. Kula trafiła go prosto w pierś. Hank zalewając się krwią z tępym wzrokiem osunął się zza nikłej barykady na piasek. Jack widział co się stało i krzyknął nacierając coraz ostrzej:

- Ty draniu! zapłacisz mi za to!

Mechanik natomiast dobiegł do murku przy którym dowódca zgrupował niedobitki swoich ludzi i wszyscy ruszyli (na trzy) biegnąc w kierunku bramy. Morgan był o kilka kroków za nimi, gdy nastąpiła spora eksplozja i kolejny obstrzał przeciwnika. Wtedy to Morgan uświadomił sobie iż leżał na piasku, przywalony martwym ciałem dowódcy i resztkami swoich kolegów. Jedyne co odczuwał w takiej pozycji było przenikliwym piskiem w uszach, chwilowymi zawrotami głowy i ogólnym bólem całego ciała. Po chwili trwającej wieki, przez kłęby dymu widział nadbiegającego Jacka, który oddał kilka strzałów i pobiegł w kierunku owego budynku. Morgan powoli dochodząc do siebie pomyślał pewnie wyglądam jak pieprzone zwłoki.. Odepchnął od siebie zmasakrowanego dowódcę pocieszając się tym iż nadal ma czym. Spozstrzegł nieopodal swój pistolet leżący teraz w piasku, zabrał go i ruszył za Jackiem. W starym zardzewiałym budynku panował niewątpliwie smród rozkładu. Morgan dobiegł do Jacka który obłądnie spojrział na niego..

- Ty żyjesz?

- Sam się sobie dziwię.. Odrzekł żywo mechanik.

- Wykończmy tych drani, są na trzecim piętrze.. Stwierdził Jack.

- Dobra, chodź za mną.

Morgan bez namysłu wyszedł na 2 piętro i zauważył jak osobnik w czarnym stroju Beduina próbuje uciec bocznym wyjściem stojąc na czymś w rodzaju balkonu. Wymierzył w niego swoim Desert Eagle po czym został przezeń dostrzeżony. Było niestety za późno na jakąkolwiek refleksję. Padł strzał który pozbawił człowieka pustkowi serca, którego i tak pewnie nigdy nie

okazywał natomiast ciało jak walące się drzewo upadło w miejsce do którego zmierzało za życia. Niestety brakowało tylko dołu i grabarza. Jack pobiegł na piętro wyżej po czym po krótkiej wymianie argumentów, które najwyraźniej zacięły się nagle z jednej strony, rozsmarował kolejnego Beduina na ścianie. Nastąpiła chwilowa cisza. Już po chwili Morgan podszedł do okna bez szyby i dostrzegł uciekających w oddali przeciwników.

- Wyparliśmy ich...

- Więcej sprzeciwów nie słyszę odrzekł Jack.

Po przeczesaniu okolicy Morgan, Jack i pięciu ocalałych aczkolwiek gdzieś rannych z bitwy uznało, iż ludzie pustyni musieli napadać tutaj na swoje potencjalne ofiary, gdyż po rekonesansie zakamarki fabryk odsłoniły swoje mroczne tajemnice ukazując wyłożone ludzkimi kośćmi magazyny.

- Mam wiadomość, radio padło... Dowalił swoje Jack.

- Daj może naprawię, westchnął Morgan rozkładając stosik swoich wysłużonych narzędzi.

Po godzinie radio już odbierało, ale nie można było nadawać. Jack stwierdził że zatłukliśmy prawie dwudziestu, naszych padło więcej ale gdyby nie ten silos.. Szlak! Powinniśmy pochować swoich..

Dzień chylił się ku zachodowi gdy umęczeni uczestnicy wyprawy postanowili spędzić noc w budynku z którego jeszcze niedawno strzelał do nich snajper. Z budynku rozciągał się dobry widok na okolicę. Odpoczywano na zmiany obawiając się powrotu wyrzutków pustkowi ale przez resztę nocy panował względny spokój.. Czasem tylko jakiś pomiot nocy zawył w oddali, czyhając na porzucane ciała poległych. Nastąpiła noc.

Morgan zbudził się o brzasku z tęym, suchym wspomnieniem tego co wczoraj zaszło w tym miejscu. Przez myśl przeszły mu krzyki, strzały, rozlewająca się wszędzie krew.. Pomyślał, że programy ćwiczebne krypt nie przedstawiają wielu szczegółów, których wczoraj doświadczył.. Zamyślił się przez chwilę lecz spostrzegł swoich kompanów zwijających podręczną kuchnię i dyskutujących o czymś.

- Nie mamy dowódcy i została nas garstka.. Do tego szlak trafił mój oddział rozpoznawczy

- Ale nasz cel jest bliżej niż myśleliśmy podsumował bezpośrednio Jack. Kierując się mapą jakiś tydzień drogi na wschód i będziemy na miejscu.

- Brakuje mi ludzi i potrzebuje kogoś, kto mógłby obsługiwać licznik Geigera.. Morgan spojrział na postrzelone aczkolwiek działające radio, które zaczęło posepnie trzeszczeć, wtem przez szereg szumów przedarły się słowa

- Kod6! Szzsz zgłasza się grupa pierwsza! szzzszsz, dotarliśmy do szzzszzzz mamy problem, szzzsz stoimy szzzszzzzz, muszzsz naprawić szzzsz dojedziemy szzzsz szzzsekzsz zdobyty! Szz”.

- Cóż nie możemy nic zrobić.. Według planu mamy odezwać się dopiero, gdy dotrzemy do punktu B, będącego okolicami naszego celu. Zwijamy się stąd. Nasz cel jest niedaleko, oby Krypta spełniła swoje przeznaczenie. Jack, Morgan i reszta w pośpiechu opuściła zrujnowaną fabrykę która może doliczyć do swojej przeszłości kolejną masakrę. Opuszczając owe tereny ekipa dostrzegła potwornie wynaturzone psy, które kiedyś może dobrze prezentowały się na zdjęciach, lecz teraz wyglądały co najmniej jakby nażarły się uranu w okresie dorastania.

- Trzymajcie się razem, rzekł z pewnością przywództwa Jack.

Morgan nie mógł się nie zgodzić gdyż sama myśl o pozostaniu w tym miejscu nie była zbyt optymistyczna. Morgan dostrzegł w pobliżu złamany wpół, zardzewiały wrak śmigłowca. Sądząc po kształcie był to niegdyś śmigłowiec militarny, który najwyraźniej miał kiedyś problem przy lądowaniu. Morgan wyobrażał sobie jak wspaniałe osiągnięcia techniki pogrzebano w

nuklearnym ogniu ludzkiej zagłady. Miał ochotę zasiąść kiedyś za sterami jednej z tych maszyn, ale rzeczywistość była inna... Było już dawno po III wojnie światowej zwanej przez wielu apokalipsą. Ten świat był zniszczony, martwy i występowały w nim tylko nieliczne przebłyski czegoś co mogło by się jeszcze kiedyś na coś przydać po złożonych procesach renowacji.. A natura? Zanieczyszczone woda nie była jej pomocna natomiast skażenie odcisnęło swe piętno na niejednym kodzie genetycznym doprowadzając do przedziwnych mutacji. Morgan miał na głowie inne przemyślenia, dotyczyły się przekazu radiowego grupy zmechanizowanej. Wiadomość którą otrzymali pogłębiła w nim obawy.. Z jakiegoś powodu ich pojazd się zatrzymał.. Iż zapewne okres gwarancji miał już za sobą.. Kierowca raczej nie był pijany.. Może zwykła awaria.. Pomyślał, w końcu jest już dawno po gwarancji. Wiedział, że zagrożone było życie Patrycji chociaż nie mógł stwierdzić w jakim stopniu... Dowódca pierwszej grupy nie mówił o stratach tylko o zdobyciu czegoś.. Tak to jest gdy się przez tą cholerną mgłę wojny transmisja przedziera. I szli tak przez pewien czas, który wystarczył im by mogli zaspokoić swoją ciekawość do świata, który i tak nie wyglądał za dobrze. W miejscu gdzie okolica wyglądała jakby była wypalona całkowicie przez słońce ujrzeni kolejne szczątki zabudowań, lecz było tutaj coś jeszcze.. Drużyna zaobserwowała iż w kierunku pobliskiej góry ciągnie się zrujnowana, przysypana pyłem droga. Jack stwierdził z podekscytowaniem:

- Oto wielka chwila, jesteśmy w pobliżu Krypty! Gdzieś tutaj muszą być ludzie. Dalej pewnie tą drogą.. Idąc z towarzyszami w kierunku gór Morgan dostrzegł w końcu dziesiątki powywracanych wraków ciężarówek znajdujących się na drodze, która zdawała się jakby zwięzać. Rozglądając się uważnie na wszystkie strony i ciągle trzymając broń w gotowości doszli do czegoś w rodzaju tunelu. W pobliżu ściany obiektu widniała inskrypcja i oznaczenia identyfikujące obiekt jako Kryptę. Omijając wraki wszyscy doszli do bramy która była co prawda zamknięta ale i uszkodzona na tyle że można było precyzyjnie się do środka instalacji

- Jack, coś tu pustawo stwierdził Morgan, sądząc iż osadnicy powinni być gdzieś w pobliżu... Morgan zajrzał do środka, było ciemno ale ich wyposażenie przewidywało taką sytuację. Wszedł głębiej.. Po chwili oczekiwania ze środka dało się usłyszeć krzyk Mechanika.

- Wszystko jest zniszczone!!

Wszędzie widać było zdewastowane urządzenia elektryczne, przerdzewiałe panele sterowania, rozbite ekrany.. Totalna ruina i brak oznak jakiegokolwiek egzystencji zniechęcał dogłębnie uczestników wyprawy. Był to zresztą najgorszy z zakładanych przez dowództwo scenariuszy dla grupy drugiej, który wykluczył całkowicie ich dalsze plany związane z tym miejscem.. skoro jednak dowództwo miało wiarygodne informacje..

- To może powinniśmy tak dla pewności przeszukać Kryptę? Może jednak coś znajdziemy. Wszyscy popatrzyli po sobie i zgodnie skinęli głową, teraz schodząc szybem w dół nie było zbyt wiele widać.

Morgan odpalił zieloną świecę chemiczną i rzucił w dół szybu w nadziei, że zobaczy jak głęboko można zejść. Świeca zdawała się spadać w dół w szybkim tempie a światło oświetliło każdą ścianę aż w końcu uderzyła z echem o posadzkę. Jack spojrział w dół, wyglądało to na dwustu metrowy szyb w głąb samego piekła.

- Jasna cholera, trzymajcie się mocno chłopaki, ta przeklęta konstrukcja nie wygląda zbyt stabilnie. Rzeczywiście schodząc po drabince dało się wyczuć iż któreś z jej mocowań zostało naderwanych i konstrukcja nie spełnia wymogów bezpieczeństwa. Mimo wszystko zeszli ostrożnie drabiną szybu na najniższy poziom i zaobserwowali roztrzaskaną windę.

- Ciekawe czy ktoś się załapał na przejażdżkę gdy spadała.. Stwierdził ponuro Morgan ale po oględzinach sterta sprasowanych szczątków nie wyglądała zbyt ciekawie więc po prostu wszyscy ruszyli dalej. Oświetlając pomieszczenia podręcznymi latarkami Krypta przypominała raczej

technologiczny grobowiec którego nie da się naprawić, a którego przeznaczeniem było zapewne odnowienie zdewastowanego wojną świata zewnętrznego.. Teraz to miejsce nie wyróżniało się zbytnio od całej reszty napotykanego wszędzie złomu. Doszli w końcu do pomieszczenia z pękniętą ścianą z której wylewała się woda. Morgan rozejrzał się po pomieszczeniu, w kącie stały przerdzewiałe szafki i choć większość była otworzona, to Jack znalazł zamkniętą i pełen nadziei począł się do niej żwawo dobierać wytrychami.

Morgan z zaciekawieniem obserwował jak Jack rozpracowywał zamek i wspominał o skarbach drzemiących w miejscach takich jak to, wkrótce otworzył zamek i ruszył ciężko skrzypiące drzwiczki. Morgan spojrzał na sztywną minę Jacka, która nie była jednak usatysfakcjonowana ze znaleziska, którym okazała się być para potarganych gaci przeżartych na wylot przez mole i wybuchnął zawadiackim śmiechem.. Jack spojrzał na Morgana z wyrzutem ale nie wytrzymał wysokiej tonacji koślawego śmiechu mechanika i sam zaczął się głośno śmiać.

- Nie za wesoło wam tam? spytał jeden z towarzyszących. Już idziemy, idziemy, zresztą nikt nie chce tutaj zostać, nie Jack?

- Taa nie spieszo mi grzebać się żywcem w tej ruinie.

- Hej chłopaki! Tutaj!

- Co tam macie? Morgan wszedł do pomieszczenia wyglądającego na maszynownię i zobaczył nieopodal swych kompanów grzebiących w okablowaniu komputera przy grubo zasypanej kurzem porzecznej maszynie. - To mi wygląda na panel sterowania od generatora Watzz.. Wygląda jakby mógł działać, nasz spec od komputerów już przy nim pracuje i spróbuje go uruchomić, prawdopodobnie zasilanie.. Swoją drogą zauważyliście ile jest tutaj drzwi z elektromagnetycznym zamkiem? Może za nimi znajdziemy coś.. Technik nie zdążył jednak dokończyć zdania gdyż potężna eksplozja rozerwała generator na części które zostały rozrzucone po całym pomieszczeniu. Eksplozja była na tyle silna, że Morgan szybko znalazł się w niezamierzonej pozycji, leżąc w gęstej chmurze dymu i ognia. Leżąc zastanawiał się przez chwilę czy żyje.. Znowu wszędzie krew.. To już drugi raz pomyślał. Potem pamiętał już tylko jak nadbiegł Jack i wyciągnął go z pobojuwiska w którym zginęło wielu jego kompanów. Morgan spostrzegł teraz że krew którą wszędzie widział była jego własną a na dodatek z klaty wystaje mu teraz sporych wielkości porzeczka zębata.

Zajębiście.. wydusił z siebie i stracił przytomność.

Morgan śnił przez chwilę o unieruchomionym transporterze na pustyni atakowanym ze wszystkich stron przez setki bandytów których strzały rozrywały pancerze i ciała obłączonych. Wizja ukazała mu Patris stojącą pośród zwłok przyjaciół, przy bocznej ścianie pojazdu. Stała tam z karabinkiem szturmowym strzelając w zmutowany tłum który zbliżał się coraz bliżej, a jej ciało rozrywały pociski z każdym podejściem, aż w końcu osunęła się z martwym wyrazem twarzy w piasek.. Bardzo jasny piasek.. Wtedy też Morgan się obudził i zauważył że leży na powierzchni przy tunelu i patrzy na słońce. Obok stał Jack i jeszcze ktoś. Chciał wstać ale ból przeszył jego ciało. Usłyszał spokojny głos

- Lepiej się teraz nie ruszaj. Dopiero co wyjęliśmy z Ciebie to żelastwo. Musimy zostać tu na noc a rano zadecydujemy co zrobić dalej. Teraz odpoczywaj.. Morgan uznał fakt że żyje z pewną dozą entuzjazmu jak i to że tylko śnił. Chyba był zły na coś, lecz nurtowało go to, co się dzieje z grupą pierwszą i jego dziewczyną.. Nie mogąc znaleźć żadnej odpowiedzi spojrzał na bandażę. Jack stwierdził

- Nic ci nie będzie, mimo wszystko to rana powierzchowna. Kurtka zatrzymała część energii kinetycznej odłamków i w sumie dostałeś rykoszetem. Powiedzmy że miałeś szczęście.

- Taa kto miał to miał a do odpalenia tamtego generatora powinniście użyć sapera.

- Prądu już raczej nie będzie więc cokolwiek mogło by tu działać, już nie będzie. Dalsze

przeszukiwanie mija się z celem w tych ciemnościach. Pozostaje nam zebrać się i z rana ruszyć w kierunku miejsca zastępczego.. Tam też powinna dotrzeć grupa trzecia. Morgan z wysiłkiem wstał, spojrzął na wrota martwej Krypty i uznał że zasługuje na swoją nazwę w pełni.. Dostrzegł, że tylko Jack i jeszcze jeden Gość który ma jakieś oznaczenia medyczne pozostali przy życiu. Wszyscy trzej siedzieli teraz przy lekko radioaktywnym ognisku. Noc w tym miejscu przyprawia mnie o dreszcze, co mogło być przyczyną upadku tej Krypty? Wszystko zniszczone. Ani śladu osadników. Ta brama Krypty nie wyglądała na przypadkowo uszkodzoną.. Morgan jak myślisz? Może po prostu odeszli? Założyli osadę w lepszym miejscu?

- Nie wydaje mi się, żeby ktoś mógł naruszyć tak masywną bramę bezcelowo, ktoś się do nich dobrał. W końcu zapasy Krypty są sporym kąskiem dla każdego.. Ktoś kto użył dużych ładunków wybuchowych w kluczowych miejscach bramy na pewno wiedział co robi. To nie mogli być pospolici włamywacze, tylko kto do cholery ich wysadził?

- Myślicie że dobrały się do nich mutki? Oni nie mieli by zahamowań, tylko sprzęt musieli by mieć konkretny.

- Taa całkiem możliwe.. Miejmy nadzieję że nic się do nas nie przywlecze tej nocy.

Nastający świt okazał się dosyć chłodny i gdy Morgan przetarł oczy dostrzegł połowicznie przysypanego piaskiem kompana na którym żerował niewielki brunatny skorpion. W sumie nocą trochę wiało od strony pustyni.. pomyślał mechanik dobywając swego gnata, no i patrzcie co nam przyniosło.. Jack, choć przysypany i w trakcie spoczynku nie zdawał sobie sprawy z zaistniałej sytuacji. Mały intruz zamierzał sobie zrobić legowisko w jego ubraniu jednak rozdzierający powietrze huk rozpięrdolił na drobne kawałeczki jego zamiary. Jack z medykiem zerwali się na równe nogi oglądając się nerwowo na wszystkie strony.

- Do czego strzelasz?! z wyrzutem wybełkotał Jack.

- Cóż, zapytaj plamy na swoim wdzianku. Spojrzawszy na kombinezon dostrzegł resztki potencjalnego celu Morgana.

- Cholera dzięki, następnym razem użyj patyka. Tak właśnie rozpoczynał się dzień gdy rozkładając mapę cała trzyosobowa grupa postanowiła ruszyć do sektora rezerwowego, awaryjnego, w którym miały spotkać się grupy na wypadek komplikacji. Oczywiście radio nie nadawało się już do użytku, co świadczyło o jego wątpliwym stanie technicznym.

- Dobra pójdziemy teraz na zachód, tak jak zakładaliśmy. Może spotkamy kogoś z grupy trzeciej. Dobrze że mamy niedaleko. Może wybierzemy się później do Krypty trzynastej.. Czas pokaże. Lepiej żeby 13 działała.

Idąc przez krzaczaste pola dostrzegli w końcu małą, szarą farmę. Nie była zniszczona lecz dziwna aura promieniowała z jej strony. Podchodząc bliżej wszyscy poczuli smród rozkładu dochodzący z jej wnętrza, jakby sam szatan się zesrał.. Było to miejsce skrywające jakąś tajemnicę. Licznik Geigera nie wskazywał zagrożenia więc mimo wszystko postanowili wejść do środka i nieco pozwiedzać. Domek był w całości wykonany ze starego drewna, wewnątrz zaś było wypełnione prostymi meblami o klasycznych kształtach. Na pierwszy rzut oka nic godnego uwagi, może poza przenikliwym smrodem. Szybko postanowili się rozejrzeć, gdyż przebywanie w tym smrodzie nie należało w istocie do przyjemnych. Medyk poszedł do kuchni, Jack na piętro a Morgan do piwnicy. Domek wielkościowo nie był wielki więc każdy poszedł swoją drogą. Domek nie był wielki więc każdy poszedł swoją drogą. Mechanik schodząc po trzeszczących schodach przez wszechogarniający do smród, dostał zawrotów głowy i mało brakowało, aby się z nich stoczył. Wszechogarniający go mrok zmusił go do włączenia latarki. Poziom wygląda na pusty.. Pomyślał, zrobił parę kroków naprzód. Wszędzie walały się jakieś graty i przewracane beczki po ropie. Usłyszał znajomy głos.

- Przyjdź do mojego ambulatorium.. Morgan przez chwilę niepewności pomyślał, że to głosy

zza światów lecz opanował się przemierzając zimnym wzrokiem zasmrodzone pomieszczenie. Zdał sobie sprawę, że chyba powoli odchodzi od zmysłów. Przemierzając połowę pomieszczenia zauważył iż posadzka umazana jest brudną krwią i jakimś śluzem. Poszukując miejsca z którego mogłaby wypływać dostrzegł iż spływa przez popękana część sufitową.

- Pewnie śmierdzi tam jeszcze bardziej.. Cóż sprawdzmy. Usłyszał głośny huk. Lecz nie był to strzał, lecz coś jakby trzaśnięcie okna czy czegoś takiego.

- Zapewne Doktorek nieźle się bawi, znalazł sobie pewnie kolejne obiekty do bytowania.

Wychodząc na parter spotkał Jacka który prowizorycznie nałożył na twarz chustę, by przynajmniej w minimalnym stopniu powstrzymać smród, który najwyraźniej i jego nie oszczędzał.

- Wygląda na to że strych jest pusty, chodźmy sprawdzić co z naszym doktorkiem. Wchodząc do kuchni zauważyli, iż po podłodze rozpościera się bliżej niezidentyfikowana breja. Zauważywszy dwóch dziwnie znajomo wyglądających wisielców oraz kilku pociętych mieszkańców pustkowi w zaawansowanym stadium rozkładu, z których to wypływały gnijące substancje szybko uświadomili sobie że tych dwóch miało na sobie pozostałości kombinezonów Krypty z której wszyscy wyruszyli. Grupa trzecia.. niech to szlag! Spoglądając w dalszy zakątek kuchni zaniepokoiły ich szmery z pobliskiej lodówki obok której widniała najwyraźniej świeża krew, cuchnąca breja oraz broń medyka. Skinieniem głowy otoczyli podejrzany obiekt, który zaczął z siebie wydawać zdeformowane piskliwe dźwięki. Jack wymierzył w środek lodówki ze swojego m4 i nastawił go na serię. Morgan stwierdził bojowo

- Ja go wypłoszę a ty go rozwalisz.

Po czym najostrożniej jak tylko umiał podszedł do kuchennego obiektu i kopnął go z impetem w ściankę boczną czekając na reakcję. W tym momencie z nieludzkim piskiem rozwarły się drzwiczki obiektu, z którego rozpościerało się zbezczeszczone ciało doktora. Chyba jeszcze żył.. lecz jego stan wskazywał na to, iż został zainfekowany przez nieznaną im dotąd istotę. Mutant wbił w niego swoje kościste chwytaki i oplótł swoimi szpetnymi pozostałościami od pasa w górę tak, że z całości ledwo wystawała jego zboląła głowa. Początkowo gdy Morgan i zwiadowca ujrzeli, jaki straszny los spotkał ich kolegę zamarli a ich serca truchlejąc zaczęły bić szybciej. Adrenalina tak strzeliła im do głowy, że mechanik wycofując się strzelił kilka razy w ściankę boczną obiektu z którego wystawała teraz szpecąca sylwetka tego ścierwa. Ów ścierwo miało na szczęście ograniczone pole manewrowe w wyniku tego iż było niejako zintegrowane z miejscem swojego bytu. Jack dostrzegł iż w jego kierunku przemieszczają się kolczaste macki którymi najwyraźniej potwór chciał zainfekować i jego. Zanim jednak dotarły do stóp zwiadowcy, ten długą serią porozrywał drania na strzępy. Nastąpiła chwila ciszy. Wciąż jeszcze nie dowierzając w to, co zobaczyli nerwowo udali się do wyjścia.

- Co to do cholery było?! Wyglądało jak jakiś przerośnięty pasożyt..

- Ktokolwiek dobrał się do naszych grup, musiał wiedzieć o tej przeklętej zarazie. Może nawet sam ją tam jakoś umieścił. Budynek musi być ich meliną na okazjonalne przyjęcia.

- Usłyszałeś coś Jack?

- Tam na strychu, tylko huk a co?

- Usłyszałem ludzki głos, zanim wyszedłem na parter. Może to od smrodu a może ta zaraza miała jakieś zdolności telepatyczne czy psioniczne. Na szczęście wysłaliśmy ją do piekła. Zresztą odkąd wyszliśmy z Krypty wszystko na naszej drodze umiera.

- Oczywiście z punktu widzenia naszych ludzi wyprawa nie była zbyt pomyślna. Spalmy to przeklęte miejsce. Niech wiedzą że jak wejdą nam w drogę to spotka ich podobny los. Wytaczając beczkę z łatwopalnym olejem z piwniczki zaczęli rozlewać go po drewnianych ścianach farmy po czym podpalili.

- Ciekawe ilu drani przyjdzie nam jeszcze zabić?
- Jesteśmy tak daleko, że nie możemy się teraz wycofać Jack. Morgan westchnął.
- Sprawdź jak daleko jest ten punkt rezerwowy. Jeśli będziemy mieć szczęście to natkniemy się na kogoś z naszych. Jeśli nie to skierujemy się do miejsca domniemanej Krypty trzynastej.
- Pozostało nam jakieś trzydzieści godzin drogi stąd wykalkulował Jack kalkulując
- Obyśmy dożyli. Droga przebyta w skwerze promieni słonecznych dłużyła się niemiłosiernie. Mechanik pomyślał, że jeżeli wróci żywy do swoich ludzi i zostanie tam również żywą Patris, to poświęci jej więcej swojej uwagi i zrealizuje życiowe plany wiążące się z odbudową cywilizacji. Pomyślał przez chwilę, że może już leżeć martwa na piaskach pustkowi, ale nie dopuszczał tych myśli. Grupa pierwsza powinna dojechać do celu, a jeśli nawet ich pojazd ulegnie awarii to ten naczelny spec burak zaraz naprawi go nawet jakby mieli najechać na minę. Zresztą wszystko co może nas tutaj spotkać jest jakimś totalnym popieprzeniem. Mijając jakieś stopy beczek i myśląc nad losem Patris gwałtownie wyciągnął Deserta i strzelił w jedną z nich wyrwijąc dziurę wielkości piłki.
- Czemu strzełeś!? Zapytał nerwowo Jack nie znajdując przyczyny
- Wkurwiłem się! W każdym razie przydałoby się sprawne radio.. Jack trafnie uznał że chodzi o dziewczynę mechanika i dodał z lichym uśmiechem
- Grupa pierwsza powinna dać sobie radę, przynajmniej oni mogą się szybko przemieszczać a nawet jeśli coś stanęło by na ich drodze, to przy ich wyposażeniu i możliwościach obronnych zaraz zamieniło by się w pył.. Myślisz że po nas wrócą?
- Nie, nawet jeżeli powrócą do Krypty, to nadzorca nie zaryzykuje i nie przeznaczy większych środków na jakiegokolwiek akcje ratownicze chłodno osądził Morgan ciągnąc dalej.
- Jesteśmy zdani na samych siebie, musimy jak najszybciej powrócić z wiadomościami nawet jeżeli będą nieprzychylnie. Brnąc przez spalone słońcem pustkowie w końcu trafili na domniemany punkt asekuracyjny. Ich oczom ukazała się lokacja która olśniła wszystkich. - Jack, chyba mamy farta, myślę że to tutaj rozłożyli się mieszkańcy Krypty.. Wchodząc w szeregi zabudowań dostrzegli grupkę ludzi którzy dzierżyli w swoich rękach narzędzia robót polowych i noże. Szybko zorientowali się, że jest to reakcja obronna mieszkańców. Morgan i Jack odbezpieczyli broń i szli dalej nie zważając na coraz bliżej podchodzący tłum. W pewnym momencie stanęli naprzeciwko zgromadzonych ludzi. Wszyscy się zatrzymali i zaczęli spoglądać po sobie. Z tłumy wyszli przedstawiciele danego obszaru. Byli ubrani w kolorowe szaty, a podchodząc bliżej rzekli.
- Witamy w naszej osadzie, schowajcie swoją broń a nasi ludzie będą wiedzieć, że nie macie złych zamiarów. Jeżeli jednak nie usłuchacie to nie mogę gwarantować wam bezpieczeństwa.
- Dobra, przybywamy w pokoju i niech tak zostanie wycedził dyplomatycznie Jack.
- Pozwolicie, że zostaniemy w waszej osadzie na jakiś czas.. szukamy pewnych ludzi.. może dotarł do was ostatnio ktoś nowy?
- Jesteśmy ludźmi ceniącymi spokój i pozwalamy wam tutaj zostać. Nikt jednak tutaj nie dotarł. Przestrzegajcie naszych zasad a wszystko będzie dobrze.
- Jasna sprawa. Macie tutaj jakieś budynki zaopatrzeniowe? I tak grupa druga, a raczej to co z niej zostało czyli mechanik oraz dowódca grupy zwiadowczej dotarli do punktu zbiorczego. Postanowili poczekać pewien czas na ludzi z grupy trzeciej wypytujac przy okazji o możliwe miejsca w których mogli by się osiedlić ich ludzie, jednak żadna informacja nie spełniła ich oczekiwań. Miejskowa tawerna stała się teraz miejscem spoczynku wysłanników szesnastki oraz bardzo ruchliwym miejscem. W końcu każdy chciał pogadać z ludźmi pochodzącymi ze świata zewnętrznego.

Nikt z Krypty szesnastej nie miał lekko, świadczyć o tym może sam Ovitz ze składem, który ruszył na południowy zachód. Słońce które wisiało sobie gdzieś wysoko na czystym niebie oświetlało żołnierzy. Refleksy świetlne wprawiały każdego w prawie takie zdumienie jak widok świata zniszczonego wojną. Grupa trzecia postanowiła rozbić obozowisko w starej zrujnowanej szopie na pustkowiu koło jakiegoś pasma górskiego. Każdy ze strażników miał wydzielony dozór godzinowy. Ovitz rozmieścił najpierw 5 na warcie, która miała trwać przez 3 godziny. Sam usiadł przy czymś co w zamierzchłej przeszłości musiało być stołem jednak teraz położenie na nim kartki papieru spowodowałoby jego upadek i roztrzaskanie się do końca w stertę drzazg i trocin. Popatrzył na wykresy według których zamierzali się poruszać. Jeśli dobrze idziemy to w przeciągu tygodnia, może półtorej dotrzemy do Krypty 15, pomyślał Ovitz. W tym momencie usłyszał niespokojne krzyki. Uruchomił swoje działo typu Volcano. Na ekraniku znowu pojawiła się wesoła twarz informująca że w komorze na amunicję znajduje się teraz 3000 ładunków elektromagnetycznych. Ruszył w kierunku krzyków i zobaczył że jeden ze strażników rozrósł się nagle jakieś 2 razy rozrywając swój pancerz. Wojownicy starali się go powstrzymać ogniem ze swoich karabinów i czymkolwiek co mieli pod ręką. Potwór który jeszcze przed chwilą był ich kolegą z drużyny strażniczej szybko mutował, i zdawał się ewoluować. - Kurwa, zaczęło się.. Pomyślał Ovitz po czym zażył RadX. Wycelował karabinem w szeregowego Patcha który właśnie rozrywał w powietrzu jednego ze strażników i otworzył ogień. Po chwili krwią zalani byli już wszyscy dookoła. Na domiar złego zewsząd zaczęli wychodzić bandyci i ostrzeliwać oddział świeżego przywódcy.

- CAŁY OGIEN NA BANDYTÓW! Krzyknął Ovitz po czym zaczął podświetlać swoją bronią kolejnych napastników wysyłając w ich kierunku setki ołowianych argumentów. Broń wkrótce się przegrzała i musiała chwilę „odpocząć”. Ovitz sięgnął po Pancora Jackhammera którego trzymał na plecach w rezerwie i oddawał kolejne strzały w nadchodzących napastników. Przywódca został jednak trafiony pociskiem w plecy, który musiał być oddany z jakiejś broni wysokiego kalibru. Siła uderzenia rzuciła nim na ziemie chwilowo ogłuszając hukiem odbitego pocisku. Popatrzył na ekran na pancerzu jednak ten pokazywał 73% spójności. Nie ma się jeszcze czego bać, pomyślał Ovitz po czym zabrał Volcano i rzucił się w stronę napastnika krzycząc

- BĘDZIESZ SIĘ MUSIAŁ SPORO POSTARAĆ, NIE DAM CI TEJ SZANSY, GIŃ!!!! po czym wystrzelił serię pocisków w stronę postaci w dziwnym pancerzu z kości zwierząt. Postać ta trzymała w ręku domowej roboty karabin o długiej lufie, która prawdopodobnie była kiedyś elementem składanego rusztowania budowlanego. Po energetycznej serii oddanej w niedoszłego snajpera okazało się, że została po nim tylko garstka pyłu i kilka strzępów porzrzucanych wokół czegoś podobnego do butów. Po chwilowej przerywanej wymianie ognia bandytów zostało już tylko paru a część z nich uciekła. Reszta przeciwników ostatecznie zakończyła swój żywot na tym świecie z powodu przejedzenia się ołowiem. Strażników zostało teraz tylko 11 i ten wielki mutant który wydawał się rosnać w oczach.

- Byłeś dobrym szeregowym z dużym potencjałem ale niestety byłeś za słaby, powiedział Ovitz po czym wystrzelił w niego co najmniej 200 jednostek elektromagnetycznych. Mutant płonąć padł na ziemie, jeszcze chwile się ruszał ale to tylko ostatnie oznaki zmutowanego życia. Reszty dopełnił jeden celny strzał w głowę. Cóż, te cholerne pastuchy musiały przynieść ze sobą jakąś zarazę.. Przeszukując teren dookoła zabudowy znaleźli wejście po podziemi. Ovitz podzielił grupę na 2 podgrupy. Pierwsza, składała się z 5 ludzi i miała zostać przy trupie mutantu a jej zadaniem było bronić wejścia. Druga grupa z Ovitzem zeszła w głąb tuneli. Gdy znaleźli się już na dole zobaczyli prymitywnie wyposażoną jaskinię. Nagle z jakiegoś zakamarka wybiegł na nich dzikus jednak starszy szeregowy Draught wystrzelił do niego wyrwijąc mu w klatce piersiowej dziurę przez którą spokojnie mogła przelecieć kukulka.

- Kurwa, jak następnym razem będziesz chciał kogoś zabić to mnie uprzedź... Mógł nam dostarczyć informacji a tak to dupa, musimy wszystkiego szukać sami... Stone, Monowall i Freeze przeszukujecie przejście na południu, reszta idzie ze mną na północ. Jeśli coś wzbudzi Waszą czujność strzelacie 3 razy. Zrozumiano?

- Tak jest! Krzyknęli wszyscy razem po czym strażnicy rozeszli się w dwóch grupach na penetrację jaskini.

Jerry i reszta poszli na północ, po drodze nie zauważyli niczego innego oprócz płonących koksowników pełnych gazet pornograficznych i innego zbędnego dziadostwa. Dookoła wałało się mnóstwo pustych opakowań po jedzeniu, piwie i innych napojach co mogło dowodzić że odczyty z czujników Krypty zaiste były błędne. Nie było jednak czasu na wyciągnięcie dalszych wniosków. Poszli jeszcze kawałek dalej, padł strzał, na szczęście niecelny, ukruszyła się tylko ściana jaskini. Jeden z chłopaków odbezpieczył granat hukowy i rzucił w kierunku, z którego padł strzał. Odgłos wybuchającego granatu był tak ogromny że Jerry czuł że mu dźwięczy w głowie pomimo pancerza. Ruszyli, w głębi zobaczyli 3 rozgałęzienia które prowadziły do 3 komnat. W każdej z nich był jakiś człowiek. Wszyscy tam sporo ucierpieli po wybuchu ponieważ trzymali się za głowy leżąc na ziemi i wierzgali nogami na wszystkie strony.

- Związać ich, zabieramy ich na górę.

- A co jeśli nie będą chcieli mówić? Zapytał Snow.

- No to będzie ich bolało odpowiedział Ovitiz z szyderczym uśmiechem na twarzy.

Wyprowadzając więźniów zobaczyli Stonea, Monowalla i Freezea z podejrzanymi gardłami.

- Odbezpieczyć broń i przygotować cały ekwipunek jaki macie, ci matkojebcy za to zapłacą!

Jerry wyciągnął granat plazmowy i hukowy, odbezpieczył obydwa i rzucił przed siebie. Eksplozja zatrzęsa całą jaskinią lecz nikogo nie było widać. Nagle nóż wbił się w lewe ramię Ovitza.

- 66%, powiedział Ovitiz wyciągając nóż z ręki odwracając się w stronę napastnika, którym okazał się mężczyzna średniej postury.

- Ode mnie się niczego nie dowiesz, ale oni chętnie zawiążą z wami rozmowę.

Ovitiz chwycił jedną ręką napastnika za gardło, uniósł w powietrze i odwrócił się. Zobaczył co najmniej 10 uzbrojonych ludzi uśmiechających się drwiąco

- Widzę że zadbałście o komitet anty-powitalny, chciałem zaznaczyć że jeśli którykolwiek z was się ruszy, skończy jak wasz kolega, powiedział Jerry rozpruwając demonstracyjnie brzuch nożownika który ośmielił się go dźgnąć. Cięcie było dotkliwe a flaki wypadające z jego brzucha utworzyły estetyczny wzorek na coraz bardziej zakrwawionej skale. Ovitiz pomyślnie uruchomił swoje działko korzystając z chwili niepewności panującej w szeregach wroga. No więc który mam mi coś do powiedzenia?

- Puściecie naszych kapitanów a może darujemy wam życie... powiedział jeden z oprychów.

- Tak? Zabić tych trzech... po czym strzałami w głowy kapitanowie zostali pozbawieni resztki tego co nazywali życiem.

- Mam nadzieję że nie chodziło wam o nich, bo jeśli tak to teraz kolej na was. Powiedział Ovitiz który wycelował Volcano w grupę rabusiów.

- Zapłacisz nam za to!

- Ciekawe kto komu, odpowiedział Ovitiz wystrzelując 13 jednostek w jednego z chanów, przy czym już dwie jednostki gwarantują człowiekowi śmierć. Cóż, dla pewności. Teraz zostało was o jednego mniej, daję wam szansę ocalenia waszej marnej egzystencji.

Nie skończył jednak mówić ponieważ bandyci zaczęli uciekać w stronę drzwi z siatki, jednak ktoś musiał uszkodzić zamek przy zamykaniu ponieważ w żaden sposób nie chciały się otworzyć. Pobiegli więc przed siebie na kwatery mieszkalne. za nimi szedł Ovitiz z dwoma

strażnikami.

- No więc daję wam szansę, kto pierwszy zacznie mówić będzie żył. W tej chwili wszyscy zaczęli nagle mówić i wytworzył się hałas. Aby uciszyć resztę, Abi, jeden z ludzi którzy poszli z Jerrym zastrzelił losowo wybranego przez siebie człowieka.

- No, od razu zrobiło się ciszej i przyjemniej. Powiedział Ovitiz. No to który z was będzie mówił? Tylko po kolei bo kto się odezwie nieproszony podzieli los poprzednika.

Tym razem już było spokojniej i odbyło się bez rozlewu krwi. Ovitiz przeprowadził kilka rozmów z których dowiedział się że inne Krypty już dawno zostały otwarte, że na ziemi, zwanej teraz pustkowiami znajduje się sporo miast, kilka sobie nawet zaznaczył na mapie. Ludzie wcale nie wyginęli, prowadzą wojny z Niedobitkami Armii Mistrza, chociaż jest jedno miasto gdzie wszyscy żyją w pokoju i przyjaźni. To miejsce nazywało się Broken Hills i Ovitiz przysiągł sobie że nigdy tam nie pójdzie.

- Po owocnych rozmowach chciałem wam bardzo serdecznie podziękować i zostawić wam prezent. Niestety nadal musicie zostać związani. Nie mogę doprowadzić do tego żeby coś się stało z moim oddziałem który i tak już został mocno uszczuplony. Ale my tu gadu gadu a ja zapomniałem zostawić wam obiecane prezentu. Powiedział Ovitiz kładąc między bandytów posadzonych w kółko pęczek 4 granatów plazmowych ze zdalnym detonatorem.

- O-o-o-biecałeś ż-ż-ż-e n-n-n-as n-n-nie z-z-z-zabijesz. Powiedział jeden z rabusiów oblewając się potem.

- Cóż, kłamałem, przecież nie mogę pozwolić wam żyć po tym co zrobiliście moim ludziom... Ale mimo wszystko cieszę się że powiedzieliście mi to czego oczekiwałem, a teraz cóż, nie do zobaczenia.

Zaczęli wychodzić po drabinie na powierzchnię. Gdy już się znaleźli Jerry nacisnął przycisk i nastąpiła eksplozja.

Na powierzchni nie działo się nic nadzwyczajnego, no może poza tym że powoli zaczynało świtać. Strażnicy mieli okazję po raz pierwszy w życiu zobaczyć wschód słońca.

- Czy ktoś mnie słyszy? Zapytał Ovitiz przez radio, ale nie otrzymał odpowiedzi więc postanowił nadać komunikat. Ruszamy nadal na południe, jesteśmy na dobrej drodze do Krypty 15, ale z informacji które uzyskałem ta Krypta była otwarta jako jedna z pierwszych więc nie jestem pewny powodzenia misji.. Przekonamy się dopiero po dotarciu na miejsce. Ovitiz jeszcze przez chwilę nasłuchiwał radia ale nie doczekał się ani potwierdzenia ani nawet pustych trzasków. Grupa 3 w mocno uszczuplonym składzie ruszyła w kierunku południowym. Wszyscy byli mocno zmęczeni i raczej nie mieli nastroju ani na rozmowę ani dyskusję o zaistniałej sytuacji. Nagle w radiu odezwały się trzaski, jednak zniknęły tak szybko jak się pojawiły. Sytuacja grupy 3 nie wyglądała ciekawie. Szli przez pustynię, cokolwiek tu wcześniej było zostało wypalone przez atomowe słoneczko i nieprędko coś tu wyrośnie. Ovitza przez chwilę naszła myśl o wstąpieniu do Broken Hills w celu uzupełnienia zapasów i zgromadzenia większej ilości informacji jednak na samą myśl że miałby zaufać mutantom albo ghulom pomysł został odrzucony. W końcu odezwał się jeden z grupy.

- Jerry, co z nami? Czy skończymy tak jak reszta? Powiedział załamany głosem Res, człowiek który posturą przypominał mutantą jednak jego usposobienie do świata było pacyfistyczne a do strażników przyjął się dlatego, że po otwarciu Krypty chciał wstąpić do korpusu dyplomatycznego i szerzyć pokój w zrujnowanym wojną świecie

- Mam nadzieję że nie, jesteśmy strażnikami, zostaliśmy szkoleni do walki, musimy przetrwać, nie możemy przynieść hańby Kryptcie... Jednak w jego głosie nie było już tego entuzjazmu.

Ovitiz popatrzył na siebie i resztę, wszyscy byli umazani zaschniętą krwią która przyciągała

zmutowane owady, jego pancerz pokazywał 67% spójności, nie miał jak go zregenerować. Postanowił że będą szli jeszcze przez 3 godziny a potem zrobią postój. Szli w milczeniu, na ich drodze pojawiły się jakieś budynki. Wszyscy ruszyli ochoczo jednak po pewnym czasie to co wyglądało na zabudowania okazało się ruinami kolejnego przedwojennego miasta. Widać było w oddali wielki budynek, pełniący chyba bardzo reprezentacyjną funkcję. Na jego frontowej ścianie widniał napis „Krypta, na lepsze jutro”. Szli drogą która kiedyś prowadziła do miasta, gdy podeszli bliżej już nie było żadnych złudzeń. Miasto było totalnie opustoszałe, po zrujnowanych ulicach z których gdzieniegdzie wyrastały dziwnie wyglądające rośliny walały się powykrzywiane i skorodowane kawałki metalu. Z budynków tynk odpadał, w większości dało się ujrzeć już ich stalowe szkielety. Miasto przypominało jak wielka była ludzka myśl techniczna, z drugiej jednak strony pokazał jak ludzka głupota potrafi dokonać ogromnych zniszczeń które potrafią pokreślić wszystko.

- Szefie, nie chce być natarczywy ale może powinniśmy odpocząć? Zaproponował Revenga.

- Dobra, musimy tylko znaleźć odpowiednie miejsce, to że nikogo tu nie słyszymy nie oznacza że nikogo tu nie ma, takie miejsca są idealne na zasadzkę. Nie rozdzielamy się, każdy ma mieć oczy dookoła głowy, wchodzimy do małego budynku żeby było nas trudniej zaskoczyć.

Szli jeszcze przez pół godziny przez miasto oglądając zniszczone konstrukcje architektów oraz zdezelowane pojazdy ciężarowe jak i osobowe. Jeden z wieżowców wyglądał jakby się w niego wbiła jakaś maszyna latająca i faktycznie można się było dopatrzeć w dziury kawałków śmigieł i stateczników. Doszli wreszcie do małego, jednopiętrowego domku nieopodal budynku z szyldem reklamującym Vault Tech Industries.

- Tutaj się zatrzymamy na nocleg, ale musimy być uważni bo nie wiemy kto i kiedy może nas zaatakować.

Grupa weszła do budynku, był on w nawet niezłym stanie pomijając wszechobecny kurz i pył, brak prądu i wody oraz odór z okolic kibla. Domek był jednopiętrowy, nie posiadał piwnicy, w środku musiał być kiedyś urządzony klasycznym stylu. Przemawiało za tym proste meble, resztki firan w oknach oraz coś w stylu doniczki w których zapewne ktoś niegdyś hodował jakieś kwiatki, jednak teraz pozostało z tego już tylko pęknięte doniczki z resztkami spopielonej ziemi.

Ovitz poszedł zobaczyć co tak okropnie śmierdzi w kiblu. Zobaczył tam pękniętą muszlę – Kurwa, nawet sracz musieli rozjechać... co za wredne typy... Jak ja się teraz wysram? - Orzabinę prysznicową z której wystawały strzępy materiału. Podeszedł bliżej żeby się przyjrzeć, zobaczył jednak jakieś rozkładające się zwłoki na wpół zjedzone przez szczury. Szczęścia to Ty nie miałeś...

Wrócił do pokoju gdzie pozostali w spokoju spożywali zapasy oraz konserwowali broń. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Promienie wpadały do pokoju przez okno rozświetlając pomieszczenie.

- Dzielimy się na 2 grupy, każda zmiana trwa 4 godziny, wiem że to nie za wiele ale nie mamy ani czasu ani bezpiecznego schronienia żeby móc wypocząć dłużej, za to jak już dojdziemy do 15 to odpoczniemy tam za wszystkie czasy. I co najważniejsze, ja STAWIAM imprezę w knajpie! Powiedział z uśmiechem Ovitz wyciągając piwo ze swoich zapasów.

- Tak jest szefie!! odpowiedziała reszta Ovitzowi z uśmiechem na ustach podnosząc swoje piwo w górę w celu wzniesienia toastu.

Radość nie trwała jednak długo ponieważ Rev nagle się przewrócił na podłogę swoim wielkim cielskiem wznosząc w powietrze spore ilości kurzu. Wszyscy wpadli w panikę, Ovitz natychmiast podał mu RadX, RadAway, mentanty oraz wlał w niego trochę wódki.

- Nie wiem czy pomoże ale tylko tyle możemy zrobić.

Teraz na warcie było 3 ludzi, Ovitz tym razem znowu nie spał, siedział przy Rev, przyglądając

mu się uważnie czy przez przypadek nie zaczyna mutować, jednak ten tylko spokojnie leżał oddychając miarowo. Przyszła kolej na zmianę warty, Ovitz zajął miejsce naprzeciwko drzwi aby w razie czego skierować siłę swojego działka bezpośrednio na napastnika. Nasłuchiwali całą noc, nie było słycać niczego, chociaż w pewnym momencie wszyscy mogli by przysiąc że słyszeli odgłosy samochodu lecz po krótkiej chwili umilkło. Ovitz nadał swoją aktualną pozycję i sytuację przez radio jednak znowu nie doczekał się żadnego odzewu... cholerny złom, pomyślał, zawsze musi się spierdolić jak jest najbardziej potrzebny...

Nastał świt. Promienie wpadły przez drugie okno do pokoju, znowu rozświetlając przestrzeń. W tym momencie podniósł się Rev z narzekaniem że go boli głowa.

- Dziwisz się?? tak jebnąłeś o podłogę że aż się zakurzyło.
- Czuję się jakbym miał kaca...
- No swoje też dostałeś, Ovitz wlał w Ciebie butelkę taniej wódki.
- Co!?
- Spokojnie, wziął z Twoich zapasów obwieścił Plextor.

- Kurwa, pomóżcie mi się podnieść, musimy się ruszać powiedział Rev trzymając się za głowę.

Ovitz i reszta podniosła kumpla. Pozbierali się i wyruszyli z domku w którym spędzili noc. Po przejściu kilku ulic ich oczom ukazał się niesamowity widok. Był to duży bus koloru brudno rdzawego, który był postawiony na środku ulicy tak jakby ktoś go zaparkował poszedł tylko do sklepu po zapalki. W okolicy nie było widać jednak żywego ducha.

- To pewnie to słyszeliśmy w nocy, ciekawe czy działa? Stwierdził jeden z chłopaków.
- Umie to ktoś obsłużyć?? zapytał Plextor.
- Ma koła to ruszy, stwierdził z uśmiechem Ovitz po czym ruszył ochoczo w stronę busa.

Otworzył drzwi. Bus był w środku pusty. Położył Volcano na miejscu pasażera po czym usiadł na miejscu kierowcy, chciał uruchomić pojazd jednak pokazała się informacja o pustym zbiorniku na ogniwa. Po chwili namysłu i kombinowania z chłopakami użyli części ogniw z komory Volcano do zasilenia samochodu. Samo Volcano służyło teraz po przymocowaniu do korpusu busa jako działko do ochrony przed najeźdźcami. Ovitz jeszcze raz podjął próbę uruchomienia pojazdu, tym razem włączył się kokpit i poinformował że pojazd jest gotowy do trasy pomimo braków przeglądu i kilku innych pierdół.

- Jedzie ktoś? Zapytał ochoczo do chłopaków.

- Jasne!! krzyknęli wszyscy naraz po czym zapakowali się do nowego środka transportu, Ovitz nadał jeszcze tylko komunikat przez radio że odnaleźli sprawny pojazd i ruszają w drogę od Krypty 15.

Ruszyli z kopyta, wszyscy byli zadowoleni, pierwszy raz jechali bowiem pojazdem zasilanym ogniwami termojądrowymi które znali tylko ze zdjęć.

Podczas trasy były zmiany kierującego tak że wszyscy wypoczęli w miarę możliwości. Jednak podczas podróży ktoś zaczął na nimi jechać. Najpierw w oddali można było dostrzec mały punkcik, jednak z czasem coraz bardziej się przybliżał, na domiar złego Rev znowu dostał dziwnych ataków, tym razem jednak chłopaki już nie zdążyli go powstrzymać. I tak sporych już rozmiarów Rev powiększył się jeszcze bardziej, złapał Plextora za głowę i ścisnął ja jakby gumową piłeczkę. Ovitz odwrócił się błyskawicznie puszczając kierownicę, mierząc z glocka w głowę mutantą wystrzelił cały magazynek lecz to go rozjuszyło jeszcze bardziej. Ovitz natychmiast zatrzymał pojazd na środku pustkowi i zabrał Volcano. Snow i Abi nie mieli tyle szczęścia żeby wysiąść z pojazdu, ciągle powiększające się ciało Revenga miażdżyło powoli ich kości i wnętrzności, pozostałej 3 udało się wysiąść jednak stracili zapasy żywności. Na dodatek to co było małym punktem w lusterku okazało się być 2 razy większym busem pełnym

degeneratów którzy jechali za podstawionym jako zasadzkę busem.

- Celujemy pełnym ogniem! Dopóki Rev się nie wydestanie strzelajcie w bandytów!

W 4 otwarli ogień ciągly do pojazdu najeźdźców, jednak osoba prowadząca pojazd musiała być w tym naprawdę dobra ponieważ po mistrzowsku unikała ataków ciągle robiąc zwroty ciężkim pojazdem. Insertowi, Andiemu i Scrollowi skończyła się amunicja.

- Uciekajcie do najbliższej osady i sprowadźcie pomoc!

- A co z Tobą?!

- Dam sobie radę krzyknął Ovitz po czym machnął ręką jakby chciał ich odpędzić.

No to teraz się zabawimy powiedział do siebie Ovitz otwierając ogień do busa który się już zatrzymał jednak w tym momencie skończyła mu się amunicja

- Kurwa, akurat teraz?!

- Zrobił szybkie przeladowanie na amunicję konwencjonalną. Mutant zdążył się już wygrzebać z busa. Najeźdźcy byli już o krok od niego jednak Rev się zamachnął i odtrącił pierwszą falę ataku. Ovitz jednak nie patrzył na to przychylnie, wycelował w mutanta i wystrzelił serią pocisków kładąc go na ziemi. Na twarzy zmutowanego Revanga można było dostrzec łzy w oczach, teraz już martwych oczach. Ovitz został sam na polu bitwy, sam przeciwko hordzie przeciwników. Strzelał już właściwie na oślep, jedyne co chciał zrobić to przeżyć. Pociski wystrzeliwane przez przeciwników trafiały w jego ręce i nogi. W pewnym momencie pancierz pokazywał już tylko 10% spójności. Działko zaczęło już ciężać Ovitzowi. W końcu oberwał i wspomaganie pancierza się wyłączyło. dostał w rękę i nogę. Działko zaczęło już mocno ciężać poważnie rannemu Ovitzowi. W końcu przestało się kręcić z braku amunicji. Ovitz oberwał w drugą rękę po czym upadł na ziemię.

Obudził się w dużym drewnianym pomieszczeniu. Miał zabandażowane ręce, nogę i głowę. Nad jego łóżkiem pochylała z uśmiechem na ustach się śliczna młoda pielęgniarka.

- Dzień dobry.

- G-g-gdzie ja jestem? Rzekł jakby nieprzytomny Ovitz.

- Jesteś w Opactwie, znaleźliśmy Cię gdy szliśmy z karawaną, byłeś ciężko ranny, odrzekła łagodnym głosem pielęgniarka.

- C-c-co się stało? Gdzie są moi ludzie i mój ekwipunek? Zapytał Ovitz próbując się podnieść jednak jedyne co mógł zrobić to podnieść się na łokciach przez krótką chwilę.

- Przy Tobie znaleźliśmy tylko ciało mutanta i kilku innych ludzi którzy mieli powyrywane w sobie dziury większe niż ich głowy, jedyne co udało nam się zorientować z Twojego ekwipunku to spodnie, koszulka i kurtka, jeśli miałeś jakikolwiek sprzęt czy pieniądze to już ich nie było gdy Cię znaleźliśmy. Teraz śpij. Musisz wypocząć. Jak tylko odzyskasz siły staniesz przed radą którzy zadecydują jaki będzie Twój los.

W przeciągu tygodnia Ovitz mógł już samodzielnie się poruszać i wykonywać różne czynności. Nie było to to samo, co sprzed napadu ale zawsze można to było nazwać samodzielnością. Żałował tylko jednego, że teraz do kibla musiał chodzić sam a nie z piękną młodym pielęgniarką...

Gdy wyszedł pewnego razu na plac za katedrą, zobaczył wrak dużego busa którym się poruszał zanim rozpętało się piekło. Na busie można było dopatrzeć się śladów krwi i dziur po pociskach. O dziwo po włączeniu silnika pojazd był nadal na chodzie lecz ponownie brakowało ogniw do jego zasilania. Ovitz jeszcze raz przyglądał się rozerwanemu busowi. Stojąc przy wraku, jak przez mgłę zaczęły powracać wspomnienia. W pewnym momencie uświadomił sobie, że coś tu ukrył przed atakiem. Już po chwili znalazł swojego zręcznie ukrytego glocka i kilka magazynków amunicji. Nie za dużo ale zawsze może się przydać, pomyślał Ovitz po czym schował pistolet i magazynki do swoich spodni z wytartą dziurą na kolanie. Już chciał się

odwrócić gdy usłyszał głos za swoimi plecami

- Chyba nie zamierzasz nas tak po prostu opuścić bez słowa? Powiedział Przeor McFlurry który stał razem z kilkoma innymi wysoko postawionymi w mieście ludźmi.

- Nie, sprawdzałem tylko czy nie znajduję jakiś swoich rzeczy w tym busie o którym mi nie powiedzieliście.

- Nie myśleliśmy że będzie Cię interesował ten wrak, leżałeś niedaleko niego, zabraliśmy go też bo pomyśleliśmy że przyda się jako przyczepa.

- Tym busem jechaliśmy gdy nas napadnięto, szukałem czegokolwiek co może pomóc mi odnaleźć moich ludzi.

- Niedawno po tym, jak odnaleźliśmy Cię na pustkowiach nasi zwiadowcy donieśli nam o stosach trupów zawalających wręcz całą okolicę przy starych fabrykach. Okoliczne bandy stały się ostatnimi czasy zbyt niebezpieczne przez ciągły wzrost swojej liczebności i jakieś porozumienie z innymi ugrupowaniami. Ciężko było przeoczyć ich poruszenie, gdy rozwaliliście ich jedną z ich trzech głównych siedzib.

- To znaczy że tutaj jest ich sprzęt? Zapytał z lekką nadzieją i smutkiem jednocześnie Ovitz.

- Sprzęt został zabezpieczony w miejskich archiwach, jednak wejść mogą tam tylko obywatele miasta albo ludzie zasłużeni.

- Czy jest jakiś sposób żeby zostać obywatelem Przeorze McFlurry?

- Jedyne sposobem żeby zostać obywatelem to urodzenie się w tym mieście, ale możesz zostać zasłużonym członkiem społeczności, akurat mamy tutaj pewien problem z pompą wodną, a z tego co mówiłeś przez sen, to wynika że jesteś, a właściwie to byłeś mieszkańcem Krypty. Może znasz się na tego typu urządzeniach?

- Cóż, byłem strażnikiem a nie mechanikiem ale zawsze mogę rzucić okiem.

- Chodźmy więc. Powiedział Przeor pokazując ręką kierunek w którym mają się udać.

Szli między katedrą która spełniała jednocześnie funkcję ratusza. Był to solidnej konstrukcji drewniany budynek na wysokość mniej więcej dwóch pięter. Na placu przy okrągłej fontannie w kształcie ryby bawiła się mała gromadka dzieci których pilnowała kobieta ubrana w zaplamioną od jakiegoś jedzenia spódnice i lekko wymiętą jasno niebieską koszulę z kołnierzykiem. Na ich widok serdecznie się uśmiechnęła po czym zajęła się pilnowaniem dzieci. Sam plac był średniej wielkości, dookoła znajdowało się pięć jednopiętrowych, identycznie wyglądających domków co sprawiało wrażenie jakby całe miasto powstało według planów jednego i to w dodatku pijanego architekta gdyż domki wyglądały jakby były budowane pod skosem zamiast prosto. Zza krzywych budynków wyłaniały się budynek kliniki w której leczony był Ovitz oraz budynek archiwów miejskich. Oba budynki były połączeniem niejako domków przy rynku i katedry. Były bowiem zbudowane z dobrego drewna jednak albo czas, albo naćpany Jetem budowlaniec postawił krzywo ściany. Jednak na pierwszy rzut oka nie groził im upadek. Gdy doszli do drewnianej szopy, która była niewiele większa od zbrojowni w Krypcie Przeor otworzył drzwi. W środku znajdowały się 3 pompy wodne, z czego tylko jedna działała ale i tak jakby miała się za chwilę rozpaść, oraz kilka szafek narzędziowych i stół z jakimiś dziwnymi urządzeniami które Ovitz widział pierwszy raz na oczy.

- Od jakiegoś czasu nasza pompa wodna przestała działać i musieliśmy uruchomić inną pompę która swoje lata świetności już dawno ma za sobą i nie nadaża z pompowaniem wystarczającej ilości wody na potrzeby Opactwa. Chcielibyśmy żebyś ją naprawił. Czy możesz nam pomóc? Jeśli Ci się uda otrzymasz wgląd w nasze komputery, dostaniesz sprzęt który był przy ludziach których znaleźliśmy oraz kilka ogniów do uruchomienia tego wraka pojazdu.

- Postaram się ale nie chcę niczego obiecywać, jednak jako strażnik pomogę Wam. Przyjdę jak tylko uda mi się czegokolwiek dokonać w tej sprawie.

- Wierzymy że Ci się uda.

Jerry został teraz sam w szopie z trzema pompami wodnymi. Przez krótki czas przyglądał się pracy jedynej maszyny dającej mizerne oznaki życia, po czym zrzucił kurtkę aby jej nie upieprzyć smarem. Na dobrą sprawę odłożył pistolet i amunicję na stół. Otworzył kłapę, jednak płatanina kabli w różnych kolorach którą zobaczył niewiele mu mówiła. Postanowił zajrzeć jednak do maszyny którą obiecał naprawić. Po otwarciu kłapy ujrzał spalone przewody. Domyślił się że przyczyną uszkodzenia była pęknięta uszczelka której części można było znaleźć między przewodami. Podszedł do szafek narzędziowych. W środku znalazł paczkę makaronu, kilka kluczy, młotek oraz wibrator. Nie chciał nawet wiedzieć kto tu wcześniej urzędował. Pozostawił niepotrzebne mu rzeczy na swoim miejscu. Ze sobą wziął tylko zestaw narzędziowy. Zabrał się więc za wymontowanie potrzebnych części z trzeciej maszyny w której spalił się silnik. Z kablami poszło gładko, wystarczyło je tylko wyciąć i nie pomieszać kolorków. Trochę gorzej poszło mu z uszczelką. Przy jednym z zaczepów przejechał ręką po śrubie i krew trysnęła na starą pompę. Dobrze że nie miałem kurtki bo by się już do niczego nie nadawała, pomyślał Ovitiz po czym zrobił sobie prowizoryczny opatrunek i wyciągnął siłą uszczelkę o mało co jej nie rozrywając o śrubę na której rozwalił sobie rękę. Teraz przyszła kolej na trochę trudniejsze zadanie, musiał to wszystko zamontować w drugiej maszynie. O ile wcześniej mógł uszczelkę wyszarpać to teraz musiał ją idealnie dopasować aby nie powstały przecieki. Po kilku godzinach roboty, przynajmniej sześciu wiader wylanego potu i wypaleniu 2 paczek papierosów pompa była gotowa do uruchomienia. Ovitiz włączył przyciskiem maszynę, światło które padało z podwieszanej pod sufitem robotniczej lampy straciło lekko na blasku jednak pompa ruszyła i słychać było pompującą się wodę. Z okna szopy można było dostrzec jak woda leje się z nieczynnej dotąd fontanny. Ovitiz ubrał pośpiesznie swoją kurtkę, zabrał glocka z dodatkowymi magazynkami i pobiegł co sił w nogach do Przeora powiadomić go o powodzeniu w naprawie. Gdy dobiegał do rynku zobaczył go na progu swojego domu. Spotkali się w połowie drogi.

- Gratuluje przybyszu z Krypty, udało Ci się dokonać tego czego naszym technikom nie udało się w dwa miesiące

- Nie ma problemu Przeorze, do wymiany była pęknięta uszczelka i kilka kabli, potrzebuję tylko żeby ktoś opatrzył mi tą ranę, powstała przy wymianie uszczelki

- W zamian za Twoje zasługi otrzymasz to co Ci obiecałem, oczywiście Twoją ranę Ganja opatrzy jak tylko się do niej udasz. Niestety z Archiwum miejskiego będziesz mógł skorzystać dopiero rano

Oboje się sobie uklonili po czym McFlurry poszedł do swojego domku a Ovitiz do kliniki w celu opatrzenia rany. Gdy przyszedł na miejsce Ganja zabrała się za opatrzenie rany i zaczęła rozmowę

- Podobno uruchomiłeś pompę .

- Tak, zrobiłem to wreszcie...

- Co teraz będzie? Odejdiesz od nas?

- Odchodzę ponieważ takie jest moje przeznaczenie , wyruszyłem z mojego domu z konkretną misją, a przez ten napad jestem kilka dni w plecy.

- Nie będzie Ci żal odchodzić?

- Nigdy nie przywiązywałem się do ludzi, od zawsze wykonywałem tylko moje obowiązki... powiedział Ovitiz oschłym głosem ale w tym momencie przeszył jego rękę ból.

- Ups, przepraszam. Powiedziała Ganja z lekkim uśmiechem przechylając się w stronę Jerrego i pocałowała go w usta [tu opis niedostępny, jak chcesz to wejdź sobie na redtube, oglądnij coś i wklej sprawozdanie :P]. Resztę wieczoru spędzili leżąc w łóżku opowiadając o swoich planach na przyszłość. Po przebudzeniu się Ovitiz zobaczył że pielęgniarka jeszcze śpi ale jest w niego

wtulona z błogim uśmiechem. Jerry delikatnie ją obudził. Obdarowali się jeszcze kilkoma pocałunkami i pieszczotami po czym się ubrali i zrobili sobie tosty z mięsem z bramina.

Po wymianie czułości po śniadaniu Ovitz obiecał pielęgniarce że gdy tylko ukończy misję to wróci po nią i zabierze ją do nowego domu gdzie będzie mogła prowadzić profesjonalny szpital w sterylnych warunkach bez obaw że podczas jakiegoś zabiegu szczur odbije się od jej nóg przewracając stolik z narzędziami chirurgicznymi.

Wyszedł na plac centralny, słońce go trochę oślepiło. Nie przejął się tym zbytnio i ruszył w kierunku archiwów miejskich, po drodze spotkał Przeora.

- Witaj Przybyszu, mam nadzieję że się wyspałeś.

- Tak, jak nigdy. Stwierdził Ovitz z uśmiechem od ucha do ucha.

- W takim razie na pewno udajesz się do archiwów, na miejscu już ktoś będzie czekał kto udzieli Ci wszelkiego dostępu do danych i sprzętu

- A co do sprzętu to gdzie mogę nabyć trochę amunicji?

- Ty w tym mieście nie musisz czegokolwiek kupować, całe Opactwo jest Ci na tyle wdzięczne że wystarczy poprosić a dostaniesz.

- W takim razie dziękuję bardzo, prosiłbym o przygotowanie tego busa do podróży, mam przed sobą jeszcze daleką drogę, muszę dokończyć moją misję i dotrzeć do miejsca w którym mój lud będzie mógł się osiedlić

- Cóż, szczerze mówiąc to myślałem że zostaniesz z nami ale skoro nie możesz to w takim razie powiem odpowiednim osobom aby przygotowały dla Ciebie odpowiedni środek transportu a nie jakiś wrak który może się zatrzymać w każdym momencie.

- Dziękuję, to była prawdziwa przyjemność wam pomóc .

- Do zobaczenia Przybyszu.

Uścisnęli sobie ręce po czym ruszył dalej w stronę archiwów. Wszedł przez otwarte drzwi do przedsionka w którym siedział na wątpliwej jakości krześle gruby człowiek pełniący rolę portiera.

- Mówiono mi że się zjawisz przybyszu.

- Oto jestem, mogę wejść dalej?

- Zapraszamy, powiedział gruby portier wskazując ręką metalowe drzwi.

- Dziękuję. Powiedział Ovitz.

- Życzę miłego zwiedzania. Powiedział sztucznie miłym głosem portier.

Ovitz wszedł do kolejnego pomieszczenia i jego oczom ukazał się niesamowity widok, wszystko wyglądało prawie jak w rodzinnej krypcie. Wszędzie rozpoznawał znajome meble. W jednym momencie nawet zauważył urwaną tabliczkę z częściowo czytelnym napisem ****y**a 15** ale chyba nie chciał uwierzyć w to że Opactwo jest zbudowane na kradzieży. Ruszył do terminala komputerowego aby sprawdzić gdzie teraz znajduje się jego zbroja i Volcano. Uruchomił system. Na monitorze pojawiła mu się już dobrze znana buźka i logo systemu VaultTech. System zapytał o numer Krypty i nazwę mieszkańca. Ovitz pomyślał że największy dostęp będzie miał nadzorca, wpisał więc jego nazwisko i numer Krypty. Po zalogowaniu i wpisaniu kodów personalnych do których jednak miał dostęp wyskoczyła masa plików Nadzorca Krypty, Ovitz szukał długo opcji znajdowania urządzeń, musiał się przebić przez różne opcje ale w końcu mu się udało. Włączył lokalizowanie pancernia i Volcano. Swoje zguby znalazł w ruinach miasta w którym spędzili noc z ekipą. Wysłał zdalny sygnał dezaktywujący ekwipunek. Przynajmniej teraz są bezpieczne, pomyślał po czym naszała go ochota na posłuchanie muzyki ze swoich zbiorów. Zapomniał że jest na profilu Nadzorca i zamiast plików Guns N Roses, w katalogu Video znajdowały się zapisy koncertów kapeli Kruczy Krąg. Podczas ich ostatniego koncertu spadły bomby które zmieniły ten świat w pustkowiu. Po obejrzeniu klipu z zapisem oraz nadciągającej fali uderzeniowej, terminal

się zawiesił i wyłączył. Cholera, w domu też zawsze tak było... Jerry odszedł od terminala. Skierował się do gabloty ze sprzętem i dostrzegł tam stosy pancerzy. Otworzył gablotę w której znajdował się jeden w lepszym stanie. Ubrał pancerz i poczuł że wreszcie czuje się jak w domu. Skórzany pancerz leżał na nim zadziwiająco dobrze. Z przykrótkich rękawków zbroi wystawały czarne rękawy jego odzienia. W gablocie obok wisiały mocno przerysowane Pancory Jackhammer, m16, strzelby bojowe i szeregi innych karabinów. Ovitiz się miał lekkie obawy przy zabraniu broni w takim stanie lecz broń nadal dobrze leżała w ręku i była odpowiednio wyważona. Amunicji do strzelby nie było zbyt dużo lecz na pojedynczego mutanta spokojnie by wystarczyło. Zapakował naboje do kieszeni ukrytych w pancerzu. Po krótkich oględzinach sprzętu zdecydował się na wyjście z archiwów miejskich. Ku jego zdumieniu na placu przed wejściem czekał na niego Cadillac, prawdziwy, taki jak widział na zdjęciach. W sumie mógłby powiedzieć że jest nowy gdyby nie to że na karoserii swoje odbiła już rdza.

- Miło nam było Cię gościć Przybyszu z Krypty... Powiedział McFlurry.

- Dziękuję za wszystko co dla mnie zrobiliście, możecie być pewni że po ukończeniu mojej misji przyjadę do Was, przynajmniej aby zwrócić wóz. Powiedział z serdecznym uśmiechem Jerry.

- Zawsze będziesz tu mile widziany. W baku masz paliwa aby dotrzeć do Cienistych Piasków, są na południe stąd.

- Jeszcze raz dziękuję i do zobaczenia w niedalekiej przyszłości.

Ovitiz wsiadł do samochodu, ruszył z takim impetem że pył spod kół poleciał w stronę żegnających go ludzi. Wśród nich zabrakło jednak Ganji z którą przespał się poprzedniego wieczoru. Droga mijala gładko. Nawet skórzany pancerz nie uciskał mocno Jerrego. Nagle auto lekko podskoczyło. Jerry, po zatrzymaniu samochodu wyszedł zobaczyć co się stało. To na co najechał okazało się być czyhającym na ofiarę, ukrytym w piasku centaurem. Zmieszany centaur wyprostował się i teraz był wysoki na co najmniej dwa metry. Ovitiz ściągnął szybko Pancora z pleców i wystrzelił w centaura dwa naboje. Centaur wpadł w złość, zaczął biec w stronę Jerrego tak szybko jak tylko potrafił. Jerry trzymał go wystrzałami tak daleko jak tylko mógł. Jednym strzałem trafił go w język. Głowa centaura rozpadła się na drobniutkie kawałeczki. W tym momencie z piasku podniosło się jeszcze kilka innych centaurów. Ovitiz nie widząc szans w tym starciu pobiegł szybko do auta. Starał się go uruchomić. Stary samochód, pamiętający czasy wojny zakaszłał, jednak silnik się nie uruchomił. Ta sytuacja powtórzyła się jeszcze kilka razy. Dopiero za szóstym razem silnik zakaszłał po czym znów spod kół posypał się piach. Ovitiz ruszył. W tym momencie na tylną szybę padła ślina centaura topiąc ją wraz z częścią karoserii. Uff, Dobrze że już po wszystkim... Pomyślał Ovitiz. W tym momencie znowu poczuł jakby coś przejechał jednak tym razem nie przejmował się tym zbytnio tylko dodał gazu jadąc ciągle przed siebie. Po kilkunastu godzinach jazdy poczuł się zmęczony. Chciał się zatrzymać i chwilę odpocząć jednak przebyte doświadczenia przypominały mu że każda chwila odpoczynku może zakończyć się śmiercią. Jechał jeszcze jakiś czas aż w końcu zasnął za kierownicą. Śniło mu się jak razem z całą swoją drużyną osiągają cel Krypty 13. Rzeczywistość w której się znajdował była jednak zupełnie inna. Spał samotnie w samochodzie, jego drużyna była martwa, miał tylko nadzieję że innym się powiodło i dotarli do celu. Obudziło go słońce wpadające do pojazdu przez przednią szybę. Zobaczył że znajduje się w okolicy jakiegoś pasma górskiego którego nie ma na jego mapie. Ruszył więc na południe. Przynajmniej wydawało mu się że droga wiedzie na południe. Jerry przeglądął zawartość plecaka który znalazł w samochodzie. Znajdowało się w nim sporo butelek piwa i wódki oraz dwie butelki wody oczyszczonej. W radiu leciała akurat stacja Galaxy ale przeplatała się z transmisjami Enklawy. Chyba jestem już blisko skoro słychać Enklawę. Wypił kilka piw i posilił się suszonym mięsem bramina. Dalej droga szła już spokojnie.

Na horyzoncie nie było widać nic godnego uwagi. Po kolejnych kilku godzinach jazdy w oddali ujrzał coś co wydało mu się ziemią obiecaną. W oddali było widać kilka budynków które z pewnością nie były ruinami ponieważ z ich kominów wydobywał się gęsty brunatny dym. Docisnął trochę gazu otwierając kolejne piwo. W pewnym momencie auto się zadławiło i zatrzymało. Ovitiz spojrzął na wskaźnik paliwa, ten wskazywał pusty bak. Szlak, że też wcześniej nie popatrzyłem na licznik... Spakował resztę zapasów które mu zostały, wysiadł z samochodu i ruszył na piechotę w stronę budynków w oddali. W pewnym momencie zrobiło mu się słabo. Myślał o odpoczynku jednak myśl że cel misji jest tak blisko nie dawał mu spokoju. Szedł dalej, palące słońce dawało się we znaki. W Pewnym momencie chciał nawet ściągnąć pancierz ale nie mógł sobie pozwolić na ryzyko. Szlak by to trafił... Zostało mi ostatnie piwo... Przeklął Ovitiz w myślach, po czym otworzył butelkę wódki. Szedł nadal w upalnym skwarze przez spaloną martwą okolicę. Pot spływał z niego tak mocno, że zaczął się zastanawiać czy jakby wskoczył do rzeki (gdyby była czysta) to efekt byłby podobny. W końcu budynki wydawały się już bliskie na wyciągnięcie ręki. Ovitiz wziął jeszcze łyk wódki. W tym momencie padł na ziemię. Obudził się w nocy, był przysypany piaskiem a w rękę trzymał pustą butelkę. Ogarniał go okropny ból głowy. Podniósł się z ziemi, otrzepał z pyłu który miał właściwie wszędzie. Niedaleko już widniały światła pobliskiej wioski. Miał nadzieję że to właśnie są cieniste piaski do których miał iść gdyby jego misja nie szła zgodnie z planem. Droga wydawała mu się koszmarem, ból głowy stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Jerry zdecydował się otworzyć ostatnią butelkę piwa. Łyk od razu poprawił jego samopoczucie. Ruszył szybszym krokiem. Potknął się kilka razy po drodze jednak nie zważał na to, twierdził że póki trzyma się na nogach to może iść. Był już bardzo blisko miasta. Słońce zaczęło wychodzić znad horyzontu. Nagle wybiegł do pół żywego z przepicia i ze zmęczenia Ovitiza chłopiec, zapytał go o imię po czym uciekł w stronę miasta tak szybko jak się tylko pojawił. To była dla niego nadzieja że cel jego misji jest już bardzo blisko. Szedł jeszcze może ze dwie godziny po czym dotarł do miasta. Ovitiz złapał się jednego budynku. W tym momencie podszedł do niego wysoki, dobrze zbudowany człowiek z krótko przystrzyżonymi włosami w widocznych spod koszuli którą nosił bicepsami i powiedział.

- Witaj Ovitiz, co Cię sprowadza do Cienistych piasków?
- To tutaj? To naprawdę Cieniste piaski?
- Tak, znajdujesz się w Cienistych piaskach, miasta na południowy zachód od Kryptopolis.
- Miałem się tutaj spotkać z innymi ludźmi na wypadek niepowodzenia ich misji. Czy nie przybył tutaj ostatnio ktoś oprócz mnie?
- Przybyli tu pewni ludzie. Nasi goście to mechanik o imieniu Morgan i jego kompan Jack.
- Czy mogę się z nim zobaczyć? Zapytał z nadzieją w głosie Ovitiz.
- Owszem, przebywają w lokalnej gospodzie, jeśli tylko chcesz możesz do nich przyjść w każdej chwili. Musisz jednak pamiętać, że w tym mieście używanie broni jest zakazane więc jeśli chcesz mieć broń przy sobie to albo złóż ją do mojego depozytu albo zabezpiecz ją i schowaj.
- Dobrze, zaprowadźcie mnie nich...

3. Daleka droga do domu

Burmistrz prowadził prawie nieprzytomnego Ovitza do tawerny, gdzie niedługo wcześniej przybyli Jack i Morgan. Po drodze mijali grupę robotników którzy stawiali szyld nad domem na którym widniał napis - "Rancho Westina". Oprócz tego widzieli grupę młodzieży której wyraźnie przewodziła najstarsza dziewczyna. To moja córka Tandi, powiedział Burmistrz. Szli może jeszcze ze dwie minuty i doszli do tawerny. Weszli do środka. Wnętrze prezentowało się obskurnie,

wątpliwej jakości krzesła stały przy podniszczonych stołach, ale nie to było najważniejsze. Jerry po wejściu zobaczył człowieka w znajomej kurtce z kompanem, -Morgan! Jack! Dobrze Was widzieć żywych! Powiedział nagle ożywiony Ovitiz

- No, no, no... kogo my tu mamy... Strażnik Jerremy Ovitiz we własnej osobie... powiedział nieco ironicznym głosem Jack

- Daj mu spokój mendo, nie widzisz że wygląda jakby go mutanty zwróciły... wtrącił się Morgan

- Opowiadajcie co się stało, dlaczego jesteście tylko w dwójkę, co z resztą, dlaczego nie jesteście w 15??

- W sumie o to samo możemy zapytać Ciebie Ovitiz, ale na rozmowę przyjdzie czas. Teraz usiądź i napij się czegoś bo widzę że ledwo żyjesz... powiedział Morgan lekko się uśmiechając. Usiadł z nimi przy barze, starsza kobieta stojąca przy barze podała mu piwo wyciągnięte z małej skrytki służące widocznie za lodówkę ponieważ napój który mu podała był nawet zimny. Morgan, Jack i Jerry siedzieli jeszcze przez jakiś czas po czym poszli do wspólnego pokoju, który wyglądał nieco ascetycznie. W pokoju było tylko jedno łóżko, jakaś półka z pękniętym lustrem i okno w którym brakowało szyby ale zamiast niej dla pocieszenia widniał spory kawał blachy falistej służący jako zasłona chroniąca przed zimnem. Opowiedzieli sobie historie które ich spotkały. Długo jeszcze siedzieli w milczeniu. Jack zapytał

- Co teraz zrobimy?

- Musimy wrócić, nie mamy innego wyjścia, takie były założenia misji... odpowiedział Ovitiz

- Jeśli coś miało się nie udać to najpierw punkt wspólny a potem powrót z informacjami – dopowiedział Morgan

- Ovitiz, masz sprawne radio w samochodzie?

- Teraz pewnie już nie, skończyło mi się paliwo...

- Coś damy radę załatwić, możliwe że uda mi się naprawić nasze uszkodzone radio i nawiążemy kontakt z grupą pierwszą?

- Rób co chcesz, na razie muszę wypocząć bo noc w piaskach pustyni nie należała do najprzyjemniejszych...

- Dobra, to Ty śpij a my idziemy się rozejrzeć za jakimś doładowaniem do bryki.

Jerry, ściągnął pancierz, położył się na łóżku i zasnął, tymczasem Morgan i Jack ruszyli w drogę po cienistych piaskach w poszukiwaniu paliwa. Wychodząc z baru natknęli się na jakiegoś małego przyjaznego człowieka ubranego w skórzany pancierz z którym czas zrobił swoje jednak zignorowali jego osobę i ruszyli na dziedziniec. Nagle ktoś rzucił butelką i Jack dostał w ramię, odwrócili się i zobaczyli jak ów brzydki człowiek z baru za nimi wyszedł i krzyknął.

- Co jest brudasy? Nie umiecie nawet powiedzieć dzień dobry do Mezzmo?

- O co mu kurwa chodzi? Zapytał nieco poirytowanym głosem Jack Morgana.

- Nie wiem, ale prosi się najwidoczniej o wpierdol... odparł Morgan.

- Może jednak damy mu szansę przeprosić? Zapytał lekko rozbawiony Jack.

- Co jest popierdółki? Język wam urwało? Krzyknął Mezzmo do Jacka i Morgana.

- Chyba trochę nerwowo jesteś, ale możesz nas przeprosić i się spokojnie rozejdziemy. Stwierdził pogodnym głosem Morgan, ludzie przypatrujący się sytuacji zaczęli nieco odchodzić jakby się czegoś obawiali.

- Ja, w tym mieście, nikogo nie przepaszam! Wycedził przez zęby Mezzmo wyraźnie akcentując każde wypowiedziane słowo.

- No to chyba będziesz musiał dostać po ryju a potem nas przeprosić... roześmiał się Jack.

Mezzmo rzucił się na Morgana, ten jednak podciął mu nogę, tak że napastnik padł na ziemię podnosząc pył z dziedzińca.

- Zapłacisz mi za to! wycedził napastnik do Morgana.

- Ciekawe kto komu! Drwiącym śmiechem odparł mechanik Mezzmo chwycił łopatę która stała nieopodal, zamachnął się jednak cios został zatrzymany częściowo na kurtce Mechanika. Nieco oszołomiony tym faktem napastnik stracił na chwilę orientację, ten moment Morgan wykorzystał na zadanie ciosu. zamachnął się jednak dostał zaraz z buta po ryju, tak że ten odwrócił się w pół i upuścił łopatę, którą teraz podniósł Morgan.

- Masz jeszcze coś ciekawego do powiedzenia?, chętnie się pośmiejemy z kumplem.

- Nie ciesz się tak, bo jeszcze możesz źle skończyć... powiedział Mezzmo rzucając piachem w twarz Morgana, następnie chciał go uderzyć jednak mechanikowi udało się sparować cios. Podniósł głowę, otrzepał się z piachu, odrzucił łopatę w kierunku Jacka. Ten ją podniósł i oparł się na niej. Jeden z mieszkańców zapytał się Jacka dlaczego nie pomoże swojemu kompanowi jednak ten stwierdził że Morgan był już niejedną raz w gorszych sytuacjach i prosił o zachowanie ciszy...

Mechanik sparował jeszcze kilka ciosów po czym sam zadał jeden celny cios w przepone i szczękę agresywnego buraka.

Gość z baru upadł na ziemię a z jego ust wyleciało trochę posoki.

A nie mówiłem, powiedział Jack do wcześniejszego rozmówcy. Morgan otrzepał się do końca z pyłu i podszedł do Jacka, jednak w tym momencie przyszedł do niego burmistrz Cienistych piasków.

- Widzę że i bez broni jesteście niebezpieczni, cóż, nie możemy Wam nakazać zostawienia rąk w depozycie przecież, ale musicie wiedzieć że takie sytuacje są tutaj karane więzieniem, cenimy sobie tutaj spokój, nie tolerujemy przemocy. Jednak ten przypadek był nieco, powiedzmy to sobie trudno. Mezzmo pewnego dnia spotkał mnie na pustkowiu gdy wracałem cudem ocalony z karawany z którą udałem się w drogę na której zostałem napadnięty przez chanów. Na początku był bardzo miły i wszyscy go lubili, był pracowity, jednak nagle coś się zmieniło. Zaczął przesiadywać całymi dniami w barze i robić burdy za byle co. Tym razem nie zastosujemy wobec Was żadnej kary, jednak miejcie się na baczności i pamiętajcie o tym że tutaj każdy mieszkaniec ma oczy dookoła głowy i wie o wszystkim, co ma tu miejsce.

- Nie będziemy sprawiać już kłopotów, on się po prostu na nas rzucił. Musieliśmy się bronić.

- Wiem, dlatego właśnie nie poniesiecie kary... coś jeszcze mogę dla Was zrobić?? Zapytał burmistrz nieco znudzonym tonem.

- Właściwie to tak, potrzebujemy paliwa do naszego pojazdu który został trochę za miastem.

- To zależy jakiego paliwa? Niestety nie możemy Wam dać ogniów energetycznych bo póki co zasilane jest nimi miasto, dopóki nie zostanie naprawiona elektrownia, ale na Rancho Westina jest człowiek który pędzi świetny bimber więc możliwe że to się Wam na coś przyda.

- Dziękujemy, z pewnością skorzystamy z porad. A tak swoją drogą to jestem mechanikiem więc może mógłbym rzucić okiem na tą elektrownię?

- Nie będzie problemów, elektrownia znajduje się za barem w którym się zatrzymaliście. A

teraz muszę iść, mam kilka ważnych spraw do załatwienia.

Jack i Morgan ruszyli utwardzoną ulicą w kierunku elektrowni. Na miejscu zobaczyli robota naprawczego który majstrował coś przy elektronice. Na ich widok przyjaźnie wydał z siebie kilka dźwięków po czym znowu zabrał się do rozpoznania usterki elektrowni. Jack podszedł do terminala, uruchomił program diagnostyczny jednak z informacji które pojawiały się na ekranie terminala elektrowni niewiele wiedział więc zawołał Morgana żeby to sprawdził.

- Długo Ci to zajmie? Zapytał Jack lekko zniecierpliwionym głosem.

- Nom... a czemu pytasz? Odpowiedział mechanik nie podnosząc głowy sprzed monitora.

- Bo może w tym czasie poszedłbym się zaopatrzyć w trochę tego bimberku o którym mówił burmistrz. Powiedział z nieukrywaną radością na twarzy Jack.

- Dobra, w razie czego, jakby mnie tutaj nie było to będę czekał w pokoju. Tylko się nie schlej jak świnia tym razem.

- Dobra, dobra, już ja umiem o sobie zadbać. Powiedział Jack odchodząc i machając ręką na pożegnanie.

Jack szedł jakieś 10 minut ulicami które wyglądały jakby dopiero co były naniesione zanim dotarł do posiadłości Westina. Przed drzwiami jego domu stał człowiek z długimi, brązowymi włosami które luźno spływały na jego jeansową kurtkę, ubrany był w czarny podkoszulek oraz czarne spodnie z wyprawianej skóry bramina.

- Pan Westin teraz nie ma czasu, przyjdź jak będziesz miał jakąś konkretną sprawę.

- Burmistrz mi powiedział że jest tutaj człowiek.. który pędzi znakomity bimer.

- Znowu ktoś idzie do tego pijaka? Widzisz ten garaż koło zagrody z łajnem braminów? Jack przytaknął głową. No to właśnie on tam mieszka.

- Dzięki. Powiedział Jack obracając się w kierunku budy z której ulatniał się zapach alkoholu.

- Ty nie dziękuj tylko idź stąd zanim się zdenerwuję i będę musiał Ci wytłumaczyć że tutaj, w posiadłości Pana Westina nie obowiązują zasady Cienistych Piasków... złowieszco wyjaśnił mężczyzna z wystającym z kurtki gnatem - skoro tutaj nie obowiązują zasady, to nie będziesz miał nic przeciwko jeśli i ja wyciągnę małe co nieco? Zapytał ironicznie Jack wyciągając swój karabin demonstracyjnie ładując do niego amunicję odłamkową.

- Eee... no więc... yyy... nie... właściwie to przypomniałem sobie że mam coś ważnego do zrobienia, przyjdę później... dużo później... powiedział ze zmieszana miną strażnik po czym zniknął gdzieś za rogiem posiadłości.

Jack z uśmiechem na twarzy ruszył w kierunku wspomnianego garażu. Po dotarciu na miejsce chciał zapukać w drzwi ale te otwały się samoczynnie.

- Witaj, nieczęsto widza tuta gości. Powiedział przygarbiony mężczyzna w średnim wieku.

- Cześć, słyszałem że robisz tutaj świetny bimer, podobno najlepszy w całej okolicy.

- Ano prawdo, prawdo! Robiem bimer a co, chceta?

- Potrzebowałbym trochę Twojego specyfiku.

- Aaa chceta bimer, wot przeca musita zapłać ot filozofija moja...

- Ile? Zapytał lekko poirytowanym głosem Jack?

- To chceta bimer to wim! Ale ila tego chceta? Im więcej tymże taniej u mienia. Uśmiechnął się człowiek, w jego uśmiechu brakowało jednak sporej części uzębienia bynajmniej nie przez używanie ich jako otwieracza do piwa.

- Jakieś 50 litrów, ile byś chciał i na kiedy mógłbyś nam to dać?

- Ot tak mnoga ilości tożem nie słyszał, ale ja mienia swego dobytku zapas więc na za tydzień dostanieta te 50 litrów fajn alkohol.

- A ile byś za to chciał?

- Ja widzu.. może waluta ale jest jedna rzecz ja niemogu zrobić, zapewno poznałeś ty holerny

gbur Rant?, On zrobić mi brzydka rzecz. Oj brzydka! tera się śmieje i mi dokuczać... Zrób tak żeby przestał siem głupio uśmiechać i prosił.. prosić o przebaczenie, niechajże klęczy i on prosi, to mię wystarcza.

Jack tylko się uśmiechnął, po czym wyszedł. Pod drzwiami znowu stał strażnik, odpalał sobie papierosa od srebrnej zapalniczki. Na widok Jacka chyba trochę się speszył bo przypalił sobie papierosa na środku, jednak starał się robić jak najlepsze wrażenie.

- Szukam Ranta, wiesz gdzie go znajdę? Zapytał Jack spluwając pod nogi strażnika.

- Jjja, jestem Rant, czegożesz znowu tu chcesz? Odpowiedział strażnik.

- No to bardzo dobrze się składa bo bimbrownik mówił że jesteś dla niego niemiły, to prawda?

- On jest zwykłym gnojarem, czego on ode mnie oczekuje? Szacunku? Drwiąco odpowiedział Rant.

- Właśnie tego i jednego magicznego słowa jakim jest przepraszam... Pójdiesz go teraz ładnie przeprosić czy będziemy musieli rozmawiać inaczej?

-Skoro chcesz rozmawiać inaczej to nie ma problemu. Powiedział Rant po czym wyciągnął broń. Już chciał wystrzelić kiedy usłyszał głos za plecami.

- Wystarczy! Powiedział mocno podniesionym głosem, młody mężczyzna, ubrany w błękitny, gustowny strój wyjściowy.

- Przepraszam Panie Westin, ten szmaciarz mnie sprowokował. Powiedział Rant pokazując głową na Jacka.

- Za tego szmaciarza to powinienem ci odstrzelić jaja śmieciu! Syknął Jack.

- O co tu poszło? Zapytał ostro Westin.

Jack z Rantem przebijali się słowami jednak Westin uderzył kapeluszem Ranta i swoją wersję opowiedział Jack.

- Czy to prawda, co mówi ten przybysz? Zapytał mocno już zdenerwowany Westin.

- Tak, odpowiedział ze spuszczoną głową strażnik.

- To teraz pójdiesz i ładnie przeprosisz Boba, tylko bez gadania!

- A co ze mną? Zapytał Jack?

- Dziękuję Ci za wyjaśnienie tej sprawy, od jakiegoś czasu Rant zrobił się nieznośny dla współpracowników, nie wiem jak mogę Ci okazać wdzięczność.

- Najlepszym sposobem okazywania wdzięczności są pieniądze i prezenty, dam Ci możliwość wyboru.. powiedział pewnym siebie tonem Jack.

- Zuchwały z Ciebie człowiek.. dobrze, czego chcesz?

- Potrzebujemy paliwa na dotarcie do Krypty 16.

- Gdzie jest ta Krypta?

- Nieopodal Kryptopolis.

- Dobrze, dostaniesz paliwo ale będziesz musiał oddać to w Kryptopolis w Radzie Miasta. Powiedział Westin pokazując Jackowi walizkę na szyfr cyfrowy która była oplecioną jakimiś metalicznymi szeregami kabli w nierównomiernych odstępach i zapieczętowaną woskową pieczęcią. To musiało być coś bardzo cennego.. Coś po czym zmieniają się niejako losy pustkowi i choć przypominało nieco bombę, Jack stwierdził że niż w rzeczywistości nie jest.

- To Cię będzie ekstra kosztowało, za miastem stoi nasz wóz, na jutro rano ma stać przed gospodą, zatankowany do pełna, do tego chce kilka kartonów papierosów i te 50 litrów obiecanego bimbrowa też ma być ładnie zapakowane, jeśli rano się obudzę i nie zobaczę naszego wozu przed barem to wywalę to w cholere.

- Zuchwały jesteś, ale nie mam innego wyjścia, muszę się zgodzić. Tylko nie nawal bo wtedy znajdziemy cię w każdym miejscu tego pustkowie!

- Na mnie możesz liczyć, swoją drogą masz może jakieś fajki i ogień? Akurat mi się

skończyły. Powiedział uśmiechnięty od ucha do ucha Jack.

Westin rzucił mu całą paczkę papierosów i srebrną zapalniczkę z wygrawerowanym logo KrypTech, Jack wyciągnął jednego papierosa, wsadził demonstracyjnie do ust po czym odpalił go i wyszedł z posiadłości kierując się w stronę elektrowni w którą Morgan starał się naprawić. Gdy zaszedł na miejsce zobaczył, że mechanik nadal siedzi z twarzą wlepioną w wyświetlacz jednak tym razem już jest z czegoś najwyraźniej zadowolony.

- Jak tam szwedrowanie sprzętu? Zawołał Jack z zaciekawieniem na twarzy.

- Zdaje się że wiem, co się tu stało. Tobie się coś udało? Zapytał Morgan.

- Na jutro rano mamy samochód, pełny bak, trochę bimbru i zapas fajek na co najmniej dwa dni. Powiedział triumfalnym głosem Jack.

- Jak Ci się to udało? Zapytał mechanik nie dowierzając temu co usłyszał.

- Ma się te swoje dojsčia i talenty. Powiedział Jack wykonując kilka ruchów mające na celu pokazanie jego muskulatury.

- Dobra, nie wnikam tak już jest na tym świecie że jesteśmy górą nie? Odrzekł usatysfakcjonowany tą nowiną Morgan - musimy jeszcze tą teczkę zawieść do Rady Miasta w Kryptopolis, nie pytaj mnie co tam jest sam dobrze nie wiem i lepiej się zbierajmy bo na zewnątrz jest już prawie całkiem ciemno.

- Morgan spojrział na zegar na terminalu wskazujący 20:47 – o cholera, ale się zagapiłem, dobra, przekaże tylko raport TOTO i się zbieramy do naszej Śpiącej Królowny

- Kto to do cholery jest TOTO? Zapytał zdziwionym głosem Jack nie widząc nikogo w elektrowni w której znajdował się potężny generator i terminal komputerowy - TOTO jest robotem naprawczym, możesz mi wierzyć lub nie ale niekiedy jest się lepiej dogadać z nim niż z Tobą stwierdził rozbawiony Morgan po czym oboje wybuchnęli śmiechem

Mechanik jeszcze tylko przesłał raporty kontrolne z prawdopodobnym rozwiązaniem usterki do robota naprawczego po czym wyszli na ciemną ulicę którą oświetlała tylko jedna mała żarówka ze sprawnej latarni ulicznej. Szli przez chwile w milczeniu. Wkrótce weszli do baru w którym było już zaskakująco cicho i pusto jak na tą porę. Morgan zapytał kobiety za barem czy Ovitz schodził już na dół ale odpowiedziała że jeszcze nie. Zabrali więc kilka piw i śmiałym krokiem ruszyli na górę do swojego pokoju w którym po ciężkiej podróży i na ciężkim kacu odpoczywał teraz Jerry. Weszli do pokoju, Ovitz nadal spał, światło w pokoju było tak niskiej mocy że mogli zaledwie zobaczyć gdzie kto stoi aby przez przypadek na siebie nie wpaść. Nagle żarówka rozbłysła taką mocą jakby była podłączona do reaktora atomowego.

- Co się kurwa dzieje? Zerwał się Ovitz z łóżka jak oparzony.

- Zdaje się, że nasz majster naprawił elektrownie. Stwierdził Jack z uśmiechem podając Ovitzowi butelkę piwa i papierosa.

- Dzięki, tego mi było trzeba, łeb mnie tak napierdala że mam ochotę go sobie odciąć -chcesz? Zapytał Jack Morgana wyciągając paczkę papierosów w jego stronę.

- Dzięki, wolę soczek, stwierdził Morgan po czym otworzył butelkę piwa i wypił połowę na raz.

- Nie to nie, więcej zostanie dla nas, no nie Ovitz.

- No ba. Odpowiedział rozpromienionym głosem Jerry wznosząc butelkę z piwem do góry.

Pili jakiś czas opowiadając sobie różne historie ze swoich wypraw. Nagle Morgan stwierdził że skoro rano mają jechać do rodzinnej Krypty to przynajmniej powinni trochę odpocząć, Ovitz odpowiedział, że jechał po butelce wódki i kilku piwach i nic złego się nie stało. Mimo wszystko położyli się spać na kilka godzin. Po obudzeniu Jack wyrzwał przez okno upewnić się czy ich pojazd stoi przed knajpą – stał, oparty o niego czekał Rant. Jack obudził Morgana i Ovitz. Kompani ubrali się pośpiesznie, Ovitz poprawił pancerz, mocowanie Pancora i Glocka, Morgan i Jack sprawdzili broń i zapas amunicji po czym opuścili pokój zamykając za sobą drzwi. Przeszli

przez sale barową, pożegnali się z straszą osobą prowadzącą gospodę po czym udali się w kierunku samochodu.

- Cześć Rant! Powiedział szyderczo Jack- co Cię tu sprowadza o tak wczesnej porze?
- Bardzo śmieszne, kiedyś się odgryzę za to co mi zrobiłeś!
- W samochodzie wszystko tak jak mówiłem że ma być?
- Tak, bimber zapakowany, bak do pełna i masz trochę zapasów.
- Zajebicie, to teraz możesz mi dać jeszcze fajkę bo mi się akurat skończyły.
- Kurwa, człowieku, masz pół samochodu fajek!
- I chuj? Dasz mi tą fajkę czy mam przestać prosić?
- Trzymaj i się odpierdol ode mnie!
- Te, a dla mojego kumpla? Zapytał ironicznie Jack chcąc doprowadzić strażnika Ranta do wściekłości.

- Trzymaj i się odpierdol! Jesteś jak wrzód na dupie! Jak Cię tylko zobaczę na niestrzeżonym terenie to zrobię Ci z dupy wylotówkę na Nowe Reno! Krzyknął Rant, po czym rzucił paczkę papierosów Jackowi pod nogi.

- Zawsze się przyda – powiedział Jack z nieukrywaną satysfakcją – a teraz zabieramy się do auta i wracamy do domu.

- A Twoja nagroda za naprawę elektrowni? Zapytał Ovitz Mechanika.
- W diabły, wolę być szybko w domu.

Ovitz usiadł na miejscu kierowcy, Jack zapakował się do przodu, Morganowi upadł magazynek z amunicją gdy przechodził na tył pojazdu. Schylił po niego i zobaczył w okolicy nadkola jakieś czerwone światełko. Sięgnął po nóż, delikatnie wyciągnął urządzenie ze światełkiem które okazało się pół profesjonalną bombą. Sprawdził jeszcze pozostałe części samochodu jednak te były w porządku i mogli rozpocząć jazdę. Morgan pokazał swoje znalezisko chłopakom w samochodzie. Ovitz zabrał bombę do ręki, rozpędził się w stronę idącego Ranta, jak był już obok niego zwolnił trochę i zawołał

- Hej! Mam coś dla Ciebie, chyba zostawiłeś to u nas w samochodzie! Krzyknął do niego, rzucił mu bombę na której światełko już bardzo szybko migало i dodał gazu tak mocno jak to tylko było możliwe. Za sobą widzieli tylko eksplozję a z pyłu nadleciał rozpędzony eksplozją łep zdziwionego Ranta, który wbił się w piasek.

- Kolejną zakałą spotkało to na co zasługiwała. Dobrze że nie ubrudził pojazdu.. Rzekł troskliwie Morgan.

- Ale widzieliście jak ładnie buciki po nim zostały? Zapytał rozweselony faktem wybuchu bomby Jack.

- Jak długo walczyłem to czegoś takiego nie udało mi się zobaczyć, więc WYPIJMY ZA TO! Powiedział Ovitz wyciągając piwo z zapasów.

Wszyscy sięgnęli po piwo. Jechali w spokoju słuchając stacji Galaxy, leciała tam muzyka podobna do tej jaka była w szafach grających w rodzinnej krypcie, Jack z Morganem bawili się świetnie, chlali, śpiewali stare pieśni ku pochwalę piwa, tylko Ovitz siedział cicho, sącząc kolejne trunki. Po drodze co jakiś czas mijali zrujnowane miasta, pojedyncze budynki, czasem przedwojenne znaki drogowe informujące w jakim jadą kierunku lub niedziałającą już sygnalizację świetlną. Każdy był już zniecierpliwiony i chcieli jak najszybciej zjawić się w domu, pomimo tego, że ich misje się nie powiodły i tylko oni pozostali przy życiu. Nie wiedzieli co powie im nadzorca. Mimo wszystko chcieli żyć, pragnienie życia zabijało w nich każdy lęk i wszystkie inne uczucia, szczególnie teraz kiedy dom był zaledwie kilka dni drogi przed nimi. Ovitz był już zmęczony, za kierownicą usiadł więc Morgan, a Jerry usiadł na jego miejscu z tyłu gdzie mógł na chwilę się przespać i zregenerować siły przed dalszą drogą. Morgan jechał

spokojnie, bez szaleństw. Zastanawiał się nad tym, czy jeszcze zobaczy swoją umiłowaną Patris, którą w śnie rozerwały pociski oraz nad drogą którą mieli przebyć gdyż nie chciał marnować paliwa. W pewnym momencie musiał jednak zatrzymać się na przymusowy postój przez brak paliwa. Mechanik stanął na chwilę przed samochodem, pomyślał nad mieszanką paliwa, sięgnął po bimber który dostali od Westina. Dolał do baku, wsiadł do krążownika szos, chciał uruchomić silnik. Auto jęczało, dusiło się, silnik musiał najwidoczniej poczekać chwilę na odpowiedni moment rozgrzania się alkoholu bo w pewnym momencie się uruchomił, z rury wydechowej buchnęły kłęby duszącego dymu i poszedł ogień. Auto wyrwało się do przodu osiągając dużo większą prędkość niż na konwencjonalnym paliwie. Po kilku godzinach Morgan również się zmęczył i musiał się zamienić z Jackiem. Jack usiadł na fotelu kierowcy, docisnął gaz, auto wyrwało do przodu. Morgan z Ovitzem widząc szaleńczą jazdę swojego kompana aż zapięli pasy bezpieczeństwa. Jechali jeszcze ze dwie godziny kiedy ujrzeli znajome ruiny które widniały w okolicy ich rodzinnej Krypty. Zbliżał się już zmrok jednak w okolicy nie było nigdzie żadnych świateł. Pomyśleli że to zasadzka więc postanowili że tę noc spędzą w samochodzie i udadzą się do Krypty z samego rana aby ustalić co się dzieje, jednak na wszelki wypadek podzielili noc na warty, aby w razie czego zawiadomić kompanów i albo przygotować się do ucieczki albo walki. Noc minęła spokojnie, znajdowali się w okolicach ruin jednak przez całą noc było cicho i pusto jak na cmentarzu. W okolicy nie było żywego ducha, nie widzieli nawet jednego przeblysku światła z kierunku rodzinnej Krypty. Gdy nastał świt Morgan obudził Jacka i Ovitz.

- Ruszamy, trzeba koniecznie sprawdzić co się tam dzieje.

- Czas najwyższy, oby to była zwykła awaria, bo nie po to przebyłem taką drogę żeby... w tym momencie coś uderzyło w samochód. Rozejrzeli się dookoła i zauważyli że to grupa mutantów w strzępach ubrań ludzaco podobnych do ubrań jakie nosili mieszkańcy Krypty rzuca w nich różnymi przedmiotami.

- No to się teraz zabawimy! Krzyknął Ovitz łapiąc butelkę domowej roboty, mocnego alkoholu i robiąc z niej koktajl Mołotowa podczas gdy Morgan odbezpieczał granat bojowy a Jack słał seriami w atakujących. Kije i kamienie nie wystarczyły by dorwać zbrojną ekipę. Butelki trafiały w nieprzyjaciół podgrzewając ich ogniem z 80% bimbrowa a granat przyczynił się do tego iż cała impreza się nieco rozerwała. Mutanty jeszcze chwile atakowały po czym uciekło z nich życie.

- Nie ma już czego przy nich szukać... Rzekł Jack.

- Nie do końca, możemy zobaczyć jakieś znajome rzeczy albo przynajmniej ich strzępy... Zapropował Ovitz.

- Wahali się jeszcze chwilę po czym podeszli jednak do częściowo zwęglonych ciał mutantów, teraz już nie mieli żadnych złudzeń, strzępy ubrań jakie na sobie mieli były strojem mieszkańców Krypty. Przy jednym z mutantów był plik kluczy i identyfikator Nadzorcy.

- No to mamy przejebane... Stwierdził bez ogródek Ovitz.

- Ciekawy jestem, co się tutaj stało...

- Jak na mój gust to skażenie sięgnęło maksymalnego poziomu.. (tutaj Morgan załamał głos) Z resztą mogło stać się to samo, miejmy się na baczności. Wsiadając do samochodu ruszyli powoli w stronę Krypty. Gdy dojechali na miejsce zauważyli poszarpane resztki namiotów w których powinni oczekiwać na nich cywilni mieszkańcy Krypty, którzy nie zostali przydzieleni do żadnej z grup. Zażyjmy coś na promieniowanie bo się tu skęcimy.. Stwierdził Morgan oglądając wariującą skalę na liczniku Geigera. Zbliżając się do Krypty, musieli jeszcze tylko iść kawałek pod niewysoką, skalistą górę. Wkrótce weszli przez drewniane drzwi w skalny korytarz a po kilku minutach marszu ujrzeli bardzo duże i masywne drzwi w kształcie koła zębatego z cyfrą 16 i wyrytym napisem „JEŚLI KOMU ZALEŻY NA WŁASNYM ŻYCIU NIECH OMIJA TE

DRZWI Z DALEKA”. Obok drzwi znajdował się terminal, niestety na jego kokpicie nie wyświetlały się żadne informacje a z jego obudowy widniały rozerwane kable.

- Kurwa, teraz to już na pewno się nie dowiemy co się stało... Powiedział zdenerwowany Jack po czym wystrzelił w kierunku drzwi a kula utkwiała w bramie.

- Dziwne, to miał być twardy pancerz a tymczasem uległ zwykłemu uzbrojeniu. Odrzekł zaszokowany Ovitz.

- To Wy zajmijcie się tymi drzwiami a ja sprawdzę czy terminal można zmusić jeszcze do życia oznajmił Ovitz nurkując w kablach.

- A skąd się znasz tak nagle na elektronice? Zapytał śledząc ruchy Jerrego Morgan.

- Mówiłem Ci wcześniej że w Opactwie była podobna sytuacja.

- Tak, ale to była elektryka a nie elektronika i tam miałeś narzędzia a tutaj?

Zobaczę, dobra?

- Jak tam sobie chcesz, tylko niczego Nie Spierdol.

- Przekonamy się jeszcze jak z palnością tego żelastwa, podsumował Jack.

- Ocipiałeś?! Chcesz przy okazji i mnie podpalić jak będę robił przy tym jebanym terminalu? Krzyknął Jerry wyłaniając się z między kabli.

- Pomysł nie jest głupi hehehe... Zaśmiał się ironicznie Jack po czym żwawo ruszył do pojazdu po palnik. Gdy już się zbliżał do drewnianych drzwi, które prowadziły na zewnątrz usłyszał dziwny szelest.

- Panowie! Mamy towarzystwo! Krzyknął do Jerrego i Morgana którzy zebrali się tak szybko jak mogli ładując broń w biegu. Gdy stali już w trójkę przed drzwiami Jack z wykopu wyłamał drzwi. Przed nimi roztaczał się teraz widok na zniszczone miasto, ruiny budynków a ich stalowe, zgruchotane konstrukcje potęgowały wrażenie zniszczenia jakiego dokonała niegdyś fala uderzeniowa. Oprócz owego obszaru przed nimi znajdowały się trzy dziwne postacie, które wyglądały jak ludzie, z tym że ich skóra była mocno poparzona a gdzieś dało się dostrzec odstające z ciała mięso. Jack wyciągnął broń i chciał wystrzelić gdy jedna z postaci, ubrana w potargany garnitur i staromodny kapelusz się odezwała.

- Nie strzelajcie, nie obawiajcie się nas, przychodzimy w pokoju.. Odezwał się poparzony elegant

- Dlaczego mamy wam wierzyć? Krzyknął Jack nie opuszczając broni.

- Daj im może dojść do słowa i opuść tą broń... Powiedział Ovitz opuszczając Pancora jednak trzymał go cały czas w pogotowiu.

- Dziękuję, jestem Dietrich Segarra, a to moi przyjaciele Max Pearl – wskazał na nieco niższego od siebie, ubranego w wytarte spodnie i koszulkę na ramiączkach, któremu skóra z głowy zeszła już całkowicie – oraz Edward Label – był z nich zdecydowanie najwyższy, nosił ubranie w wojskowe barwy i pozostałości po długich włosach na przypieczonej skórze, jednak jego cechą charakterystyczną był brak nosa i uszów.

- No dobra, ja jestem Ovitz, to jest Jack a tamten to Morgan ale co z tego? Powiedział cynicznym głosem, najwyraźniej był już znudzony niezapowiedzianymi gośćmi.

- Przybywamy prosić Was o pomoc, jesteśmy ghulami i nie mamy możliwości uzyskania gdziekolwiek pomocy medycznej

- No dobra, ale jaki to ma związek z nami?

- Nikt z obecnie żyjących ludzi nie wie gdzie znajdowała się ta starożytna Krypta, skoro trafiliście do niej bez problemu to znaczy że jesteście jej mieszkańcami.

- Czekaj, jak to starożytna? Jak to nikt z obecnych? To skąd wy wiecie że ona tu jest? Zapytał z wielkim niedowierzaniem Jack

- My ghule, byliśmy kiedyś ludźmi, jeszcze w czasach kiedy bomby spadły na ziemię.

Mieliśmy tyle szczęścia, chociaż z drugiej strony nieszczęścia, że po uderzeniu bomb nie zginęliśmy tylko zostaliśmy poparzeni przez radiację. Każdy z nas ma grubo ponad 300 lat, chcieliśmy się dostać do Krypty jednak brakło już miejsc, musieliśmy tutaj zostać.

- No dobrze, to dlaczego nie odezwaliście się po wszystkim do ocalałych i nie nawiązaliście kontaktu z rządem w celu pomocy?

- Chcieliśmy, ale nikt nam nie chciał pomóc, wszyscy się bali że wkrótce zmutujemy i będziemy sprawiać problemy, a my potrzebowaliśmy tylko leków na poparzenia.

- Dobra, a jaką mamy pewność że nas nie zaatakujecie? Zapytał spokojniejszym głosem Ovitz.

- Gdybyśmy chcieli to zrobić to już bylibyście martwi. Jak widzicie, możemy żyć bez różnych narządów i wcale na tym nie cierpimy.

- Skoro wiecie co się dzieje tutaj w okolicy to może powiecie nam co się stało z ludźmi którzy stąd pochodzili?

- Jakiś czas temu, widzieliśmy niejaką mobilizację. Ludzie którzy przebywali w środku wyszli i rozbili namioty, wkrótce jednak zaczęli się między sobą zabijać, niektórzy z nich zmutowali, nie wiemy dlaczego.

- A co możecie powiedzieć nam o tej elektrowni która znajduje się nieopodal?

- Ta stara elektrownia Posejdon 7 to obecnie nasz dom. Od kiedy się tam osiedliliśmy, jakiś czas po pierwszych uderzeniach, znaleźliśmy ją opuszczoną ale była poważnie uszkodzona. W końcu zorientowaliśmy się iż jej systemy doprowadzania paliwa, zbiorniki i masa innych rzeczy uległa rozszczelnieniu a ona sama została zalana radioaktywnym paliwem.

- Nie staraliście się tego naprawić?

- Staraliśmy się, zginęło tam wielu naszych, między innymi nasz mechanik, który konstruował dla nas rzeczy pozwalające nam żyć oraz lekarz który starał się odwrócić proces przez który jesteśmy tak poparzeni.

- A dlaczego przychodzicie tylko w trójkę? Skąd mamy wiedzieć że to nie jest pułapka?

- Jest nam potrzebna pomoc, nie szukamy wrogów tylko sprzymierzeńców.

- Dobra, pomożemy wam jeśli pomożecie nam otworzyć nasze drzwi... Wtrącił Morgan.

Ghule ruszyły w stronę drzwi do Krypty, ten w koszulce na ramiączkach zabrał się od razu do terminala, jakąś chwilę w nim grzebał po czym poprosił o jakieś źródło ognia, Jack podał mu swoją zapalniczkę jednak na wstępie zaznaczył że jest ona do zwrotu. Dwóch pozostałych ghuli oraz Jack, Morgan i Jerry przyglądali się co się stanie, aż w końcu rozbłysnęły diody kontrolne na terminalu który w końcu się uruchomił. Pojawiła się prośba o identyfikator w celu otwarcia wrót.

- Macie może kartę dostępu? Zapytał ghul w garniturze.

- Mamy, powiedział Ovitz po czym podszedł do terminala i uruchomił mechanizm otwarcia wrót. Powiedzcie co wam jest potrzebne a przyniesiemy to.

- Nie ma mowy! Obiecaliście nam pomoc gdy tylko pomożemy wam otworzyć te drzwi! Krzyknął jeden z ghuli.

- Dobra, Max wchodzi z nami, reszta czeka tutaj na jego przyjście, pasuje? Powiedział mocno podniesionym głosem Morgan odbezpieczając swojego Deserta.

- Nie chcemy kłopotów, chcemy tylko pomocy medycznej... Jeszcze raz podkreślił Dietrich.

Jack, Max, Ovitz i Morgan weszli do Krypty, za nimi drzwi się zamknęły. Przypomniały im się chwile, jak zostali podzieleni na grupy i wyruszyli z nadzieją na odnalezienie nowego domu. Rzeczywistość wyglądała jednak zupełnie inaczej, znajdowali się teraz w śmiertelnej pułapce, w której teraz wszystko było niedbale porzucone. Morgan zapytał z niesmakiem.

- A gdzie jest ten ghul?

- Kurwa, wiedziałem że coś się tu święci! Krzyknął Jack przygotowując Karabin do strzału.

- Nie rozdzielamy się, nie mógł uciec daleko, systemy wind są niesprawne więc jest gdzieś blisko.

Morgan z Jackiem przytaknęli po czym ruszyli w zwartym szyku przed siebie, doszli do wspólnej jadalni, nagle padł strzał

- Jeśli myśleliście że zostawicie bogactwa tego miejsca tylko dla siebie to się grubo myliliście gładkoscórki! Krzyknął ghul którego wprowadzili do środka. Wszyscy natychmiast schowali się za metalową szafką.

- Wiedziałem że takim jak wy nie można ufać! Ryknął Jack po czym wstał i oddał soczystą serię strzałów ze swojej szturmówki w stronę lady, za którą chował się nieprzyjaciel. Zakazana konwencją Genewską amunicja sprawiła iż w mgnieniu oka lada wyglądała jak mocno sponiewierane sitko. Kule trafiły ghula w obie ręce, jednak nie zrobiło to na nim większego wrażenia i mimo kilku okazałych dziurek w ciele kontynuował swoje natarcie.

- Jak tylko moi przyjaciele wejdą, zostaniecie zjedzeni żywcem!

- Aż tak mi się nie śpieszy do śmierci! Krzyknął Ovitz, wyskoczył zza kanapy po czym rzucił się na ghula oddając w jego stronę cztery strzały z Pancora. Jeden trafił go w szczękę pozbawiając zuchwy, dwa kolejne w rękę pozbawiając dłoni a ostatni w kolano co znacznie ograniczyło jego mobilność. Ovitz natomiast został postrzelony w rękę jednak kula przeszła na wylot.

Stał teraz nad mocno zniszczonym Maxem, popatrzył mu w oczy, po czym zdeptał jego pozostałości twarzy. Jack i Morgan doszli do niego, wszyscy przygotowali broń po czym zaczęli strzelać robiąc z ghula siekę, która nie będzie w stanie powstać ponownie.

- No to kolejne ścierwo zaoszczędzone dla świata, teraz musimy iść do ambulatorium bo się zaraz tutaj wykrwawię. Prochy też się przydadzą, zwłaszcza na promieniowanie, swoją drogą to ciekawe co zostało na pokładzie.. Po wszystkich anty rad uratuje nam dupy.. Podsumował Jack.

Ruszyli do komputera w celu przywrócenia zasilania w całej krypcie, użyli karty należącej wcześniej do Nadzorcy. Nagle wszystkie światła w krypcie rozbłysły, z szafy grającej dobiegły ich dźwięki znanej piosenki Franka Sinatry „Fly me to the moon”, z daleka można było usłyszeć odgłos ruszającej windy. Nagle z głośników radiowęzła Krypty odezwał się głos: „uwaga, krytyczny poziom skażenia! Prosimy o niezwłoczną ewakuację z Krypty!” Taa nie ma to jak w domu dodał Morgan. poszli w stronę windy. Gdy już doszli do miejsca ich oczom ukazał się straszny widok. W kabinie windy leżał barman Mike, jego ciało było w stanie rozkładu, okropny fetor rozniósł się w całym szybie windy i zaczęło się wydobywać poza nie -biedny Mike, zawsze lał dobre piwo... Powiedział smutnym głosem Jack a reszta mu przytaknęła

Postanowili że przy wyjściu zabiorą jego zwłoki i zrobią mu pogrzeb. Ruszyli do pokoju nadzorcy, włączyli kamery które miały wgląd na poziomy oraz otoczenie Krypty. Zobaczyli jak spora grupa ghuli zaczyna szturmować bramę, na szczęście jeszcze nie tkniętą. Ovitz uaktywnił polecenie włączenia systemów obronnych Krypty po czym ze ścian jaskini wyłonił się promień lasera w kształcie drobniutkiej siateczki który palił wszystko co napotkał na swojej drodze. Wszystkie ghule które się tam znajdowały były już tylko marnym wspomnieniem. No to teraz musimy odtworzyć ostatnie sytuacje które miały tutaj miejsce powiedział Ovitz po czym uruchomił zapiski Nadzorcy. Na ekranie pojawiła się jego twarz a z głośników dołączonych do terminala zaczął płynąć dobrze im już znany głos: „Od momentu wyjazdu grup ratunkowych dzieje się tutaj coraz gorzej, mutacje wśród mieszkańców nasilają się pomimo podjętych środków. Nie mamy wystarczającej ilości leków aby im zapobiec lub przynajmniej opóźnić jej rozwój. Na nasze żądania pomocy nikt nie odpowiedział. Jedyne co trzyma nas przy życiu to myśl, że jednej z grup uda się wypełnić powierzona misję”. Kolejny wpis był nieco inny, a sam nadzorca wyglądał na mocno zmęczonego: „odbieramy sygnały od grupy drugiej, jej skład,

wiemy że wpadli w zasadzkę i ponieśli ciężkie straty. Niestety nie odpowiadają na nasze sygnały, oby przyczyną był tylko sprzęt. Niepowodzeniem okazała się próba nawiązania kontaktu z grupą trzecią, nie odebraliśmy od nich żadnych sygnałów. „Niech Najwyższe dobro ma ich w swojej opiece”. Z przekazanych komunikatów wiemy iż grupa pierwsza natrafiła na obszar na którym musiała mieć kiedyś jakaś katastrofa.. nie wiem jak to powiedzieć, na miejscu zobaczyli wielki, czarny trochę eliptyczny obiekt, którego ciemne ramiona sięgały na jakieś 200 metrów wwyż, ma chyba z kilometr długości a z relacji zdanych przez dowódcę może będzie nadawał się do zamieszkania. Musimy jednak czekać na ich postępy, gdyż jego ciężkie wrota pozostają nadal zamknięte i połowicznie wystają z ziemi dlatego też musimy czekać na postępy, być może natrafiliśmy na jeden z naszych przedwojennych statków badawczych, namiary sektora 2a93. W bazie danych znajdował się jeszcze tylko jeden wpis, uruchomili go, jednak na początku nie poznali kto w ogóle przemawia, twarz była rozciągnięta a głos mocno zniekształcony: „Sytuacja jest tragiczna, nie mamy już żadnych leków, nie możemy też użyć G.E.C.K.a ponieważ poziom radiacji jest zbyt wysoki i obawiam się że to możemy zmarnować jedyną szansę na odbudowanie życia, ludzie zaczynają się zabijać, narasta wszechobecna anarchia, dobrze że dostęp do Krypty jest chroniony hasłem, nie wiem ile jeszcze uda nam się przeżyć, z jednej strony jesteśmy ofiarami mutacji, z drugiej atakują nas dziwne istoty które na początku chciały pomocy medycznej, gdy odmówiliśmy zaczęły się dziać straszne rzeczy. Jeśli ktokolwiek odczyta tą wiadomość błagam, zniszczcie wszystko co się tutaj znajduje, to miejsce nie może wpaść w ręce tym kreaturom! Jestem dumny że mogłem prowadzić ten lud, co prawda nie takiego końca oczekiwałem, nikt nie zna swojego przeznaczenia.” Tutaj wpis się kończył. Morgan, Ovitz i Jack stali jak wmurowani przed monitorem i z niedowierzaniem na siebie patrzyli.

Jeszcze chwile nie wiedzieli co mają powiedzieć, w końcu Jack zaczął.

- Nie myśl tak od razu że Cię lubię ale lepiej Ci to zatamować, bo zachłapiesz podłogę.

- Kurwa, moja koszulka, masz rację, chodźmy.

Ruszyli długim korytarzem przez drugi poziom mieszkalny, weszli do ambulatorium. W środku zastali tylko puste szafki na lekarstwa, stół zabiegowy i wywrócony stolik na którym były przybory używane podczas operacji.

- Tutaj raczej nie mamy czego szukać... Stwierdził smutnym głosem Morgan, widząc fartuch w którym zwykle chodziła Patrycja, przypominając sobie chwile jakie spędzili razem.

- Chodźmy do mojej kwatery, może nikt nie ruszył drzwi... Powiedział Ovitz.

- Obyś się nie mylił, bo nadal krwawisz... Ustalił oschle Jack.

Ruszyli przed siebie, szli kilka minut aż doszli do drzwi kwatery Ovitz. Widoczne były na nich próby włamania przez wyważenie drzwi, jednak zamek który otwiera się dopiero po zeskanowaniu siatkówki oka zdał egzamin przed włamaniem tudzież był nadal sprawny i skanowanie oka Ovitz zakończyło się sukcesem. Drzwi się otworzyły pomimo lekkich problemów z powodu wygięcia które musiało powstać podczas nieudanej próby włamania.

Weszli do środka, całość została dokładnie w takim stanie jak w momencie kiedy wychodził na zbiórkę przed podzieleniem na grupy, może poza plamami na suficie na których pojawił się teraz malowniczy grzyb. Na ziemi leżało kilka pustych butelek po piwie, szafa była w pół otwarta, z niej wystawały jeszcze dwie skórzane kurtki, kilka par spodni a w rogu szafy leżała cała sterta identycznych koszulek. W powietrzu czuć było tylko stare, nie prane od dawien dawna skarpety których swąd zagryzł wręcz odór wilgoci. W sumie to Ovitz przez chwile zastanawiał się czy nie byłoby lepiej jakby wrócił odór tego czegoś ze ściany który przy jego skarpetach był jak słodki zefirek.

- Więc to jest moja kwatera... - Rzekł Ovitz, rzucając się na łóżko w którym zawsze sypiał za czasów gdy jeszcze mieszkał w Kryptcie, zakrwawiając je trochę.

- To gdzie masz te zapasy? Zapytał Jack.

- Otwórz szafę, w jej prawym dolnym rogu znajdziesz małe zagłębienie, wyciągnij z niego kluczyk, następnie spod łóżka wyciągnij blaszane pudełko, w nim będzie karta magnetyczna, teraz przystaw ją do ściany po prawej stronie szafy.

Nagle otwarła się skrytka w której wcześniej trzymał glocka. Znajdowało się tam kilka super stimpaków, mentanty i psycho.

- Skąd masz tyle TAKICH rzeczy? Zapytał z niedowierzaniem tego co zobaczył Jack.

- W końcu jestem strażnikiem! Powiedział z uśmiechem Ovitza.

Morgan wziął super stimpaki do ręki, ostrzegł Ovitza że może teraz poczuć lekki ból a potem może się mu zrobić na chwilę słabo, ten pokiwał głową że jest gotowy. Morgan przyłożył stimpaka w miejsce gdzie Ovitza dostał kulkę, Jerrego przeszył mocny ból w lewej ręce ale rana wydała się dużo mniejsza, sytuacja powtórzyła się jeszcze kilka razy aż rana zupełnie zniknęła.

- Dobra chłopaki, dzięki, czuje się naprawdę nieźl... Ovitza padł na łóżko.

- Mówiłem że może mu się zrobić słabo...

Po krótkiej chwili Jerry odzyskał przytomność, rozejrzał się po pokoju, dostrzegł jak Jack z Morganem rozmawiają o czymś i się uśmiechają pod nosem.

- Widzę że nasza śpiąca królewna się już obudziła... Parsknął śmiechem Jack.

- Po raz pierwszy się cieszę że widzę Twoją parszywą mordę Jackie... Odgryzł się Jerry wiedząc że ten nie lubi jak się tak do niego mówi

- Dobra wynośmy się stąd, mamy jeszcze kilka rzeczy do zrobienia, poza tym nie wiemy jak duże jest tutaj skażenie a nie mamy więcej leków.

Wyszli z kwatery Ovitza, ruszyli w kierunku windy by dostać się na trzeci poziom na którym znajdowała się zbrojownia. Drzwi do niej również były zablokowane, jednak tym razem nie zareagowały na siatkówkę Ovitza. Morgan przyłożył kartę Nadzorcy do skanera, drzwi powoli się rozsunęły. Weszli do środka, pomieszczenia były nietknięte, wszystko leżało w takim samym miejscu jak w momencie kiedy opuszczał to miejsce po służbie.

- Cholera Jack, tutaj są najlepsze bajery którymi można zdobywać ten świat.

- To co, podbijamy? Stwierdził ze śmiechem zwiadowca.. Tylko spójrz na to cacko Morgan, istny cud myśli technicznej: T51 B waży luzem w cholere, widziałem na filmach jak nasi w tym walczyli z komuchami.. To jest pancerz na każdą okazję. Na ścianie istotnie wisały pancerze wspomagane które niezwłocznie ubrali. Na podłogach i półkach leżało kilka zestawów naprawczych, w skrzyniach był stos broni i amunicji oraz różnego rodzaju granatów które pośpiesznie pakowali. Ovitza podszedł do jednej ze skrzyń i wyciągnął z niej Volcano. Rozglądając się też za amunicją, załadował tyle ile był tylko w stanie zmieścić do komory i do czegoś w rodzaju plecaka który był wbudowany w pancerz. Jack z Morganem zaopatrzyli się w ciężkie karabiny szturmowe. Morgan wyciągnął dodatkowo z zabezpieczonej szafki miotacz płomieni a Jack dobył raketnicę godną rambo. Pośpiesznie opuścili zbrojownię i poszli w kierunku maszynowni gdzie pracował Morgan. Po dotarciu na miejsce, mechanik odnalazł narzędzia które mogły mu się przydać oraz elektroniczny wytrych. Ruszyli do wyjścia. Gdy doszli na miejsce, Ovitza wyłączył zasilanie centralne i zostawił tylko podtrzymanie systemów obronnych. Po otwarciu wrót Krypty czekał na nich mały komitet powitalny, na miejscu spopielenych wcześniej ghuli pojawiła się kolejna mała armia tych popromiennych istot. Działo laserowe zamieszczone naprzeciwko bramy wejściowej uruchomiło się zaraz po tym jak pierwszy ghul rzucił się do przodu, przechodząc przez bramę. Wiązka lasera niszczyła wszelkie organizmy które stanęły na jej drodze, cała armia ghuli została potraktowana laserowym sitkiem, które doprowadziło do niemałego burdelu na posadzce.

- No to chyba mamy drogę wolną! Powiedział pełnym nadziei głosem Jack po czym do tunelu

który prowadził do wrót pojawiali się kolejni ghule niszczeni przez śmiertelny promień. W końcu ataki ustały. Morgan, Jack i Ovitz wyszli przez wrota które się zamknęły dosyć szybkim tempie.

Ruszyli do samochodu, na wszelki wypadek Jack rzucił granat przed siebie, eksplozja zdmuchnęła drewniane drzwi. Droga przed nimi była całkowicie wolna.

Szli ostrożnie obawiając się odwetu. Spodziewany atak jednak nastąpił przy samym wyjściu z Krypty, Morgan błyskawicznie dostrzegł pojedynczego przeciwnika pędzącego z pistoletem 9mm w swoim kierunku widocznie ghule straciły nadzieję na dostanie się do Krypty postanowiły zadowolnić się zdobyczami wojennymi, jednak nie tak łatwo przewyciężyć pancierz T51 B i oddane strzały mimo iż dochodziły do pancerza Mechanika, były odbijane.

– Użyj lepszej amunicji koleś krzyknął Morgan do strzelającego z kilku metrów ghula którego uderzył z rozpędu kolbą swojego karabinu wyłamując mu prawą rękę i przewracając na ziemię. Oszołomiony przeciwnik sięgnął jeszcze po nóż który był najwyraźniej jego ostatnią deską ratunku lecz kopniak zasadzony w jego głowę spowodował nieodwracalną utratę twarzy. Jack Zaskoczony bojowymi zaletami pancerza był zdumiony że zbrojownia zachowała ich aż tyle ale z drugiej strony mutujący mieszkańcy Krypty nie byli w stanie ich nosić więc kto się przejmie.. Zwróciwszy swe kroki do samochodu, dokładnie sprawdzili czy tym razem nie ma tam żadnych niespodzianek które mogły by spowolnić ich drogę do Kryptopolis, jednak przy aucie nie znaleźli niczego co wskazywałoby na jakąkolwiek ingerencję. Padł strzał, Ovitz dostał w głowę, lekko oszołomiony spojrzał na ekran spójności, ten pokazywał 91%, uruchomił działko w strzelił sporą serią w kierunku głazu z okolic którego padł strzał. Nastąpiła cisza. Prawdopodobnie złapał, co miał złapać dodał Jack. Czas się odpromieniować.. weźcie anty rad rzekł Morgan. Już wkrótce poziom promieniowania zaczął spadać i wszyscy byli w lepszych nastrojach. Wsiadli wszyscy do samochodu, co prawda narzekali że w pancerzu siedzi się zdecydowanie mniej wygodnie niż w zwykłym ubraniu ale nie mieli innego wyjścia. Ich dom został zniszczony, ludzie z którymi się przyjaźnili nie żyją, kilka razy jednego dnia próbowano ich zabić.

Morgan uruchomił silnik, jeszcze raz spojrzeli na drzwi rodzinnej Krypty z wielką cyfrą 16 i wrytym napisem że w środku nie ma nic oprócz śmierci po czym odjechali tak szybko jak tylko się dało w stronę Kryptopolis aby oddać teczkę którą powierzył Jackowi Westin.

4. Krypta na Wieki!

Nie znali dokładnej trasy lecz wiedzieli jakim kierunkiem mają się udać. Jechali znowu w milczeniu które od czasu do czasu były przerywane jęknięciami niezadowolenia gdy na częstotliwość radia Galaxy wchodziły transmisje propagandowego radia Enklawy. Każdy był smutny ponieważ obarczał się winą. Gdyby na czas wypełnili misję to być może nie miałyby miejsca wydarzenia z Krypty. Jechali dzień drogi w zupełnym milczeniu, kontaktując się tylko w sytuacji zmiany kierowcy. Na ich drodze stanął nawet jakiś obślizgły gekon jednak zakończył swój żywot na przednim zderzaku. W końcu na horyzoncie zobaczyli jakieś zabudowania.

- Czyżbyśmy mieli fart i jesteśmy na miejscu? Zapytał zasnętym głosem Jack.

- Możliwe, ciekawe co nas tym razem dobieje... W sumie nic gorszego już nas spotkać nie może więc po co zaprzętać sobie tym głowę? Oddamy teczkę, pójdziemy do knajpy, wypijemy trochę a jak będą chcieli żebyśmy uregulowali rachunek to ich rozstrzelamy, proste... Powiedział cynicznym głosem Ovitza.

- No może nie tak do końca proste, patrzcie co mamy na bramie... Z daleka można już było dostrzec wieżyczki strażnicze z ciężkimi karabinami które miały strzec bezpieczeństwa miasta przed najeźdźcami, oraz sporo uzbrojonych strażników.

- No dobra, to mój plan z barem poszedł się jebać, ale zawsze można ich pożegnać serią na pożegnanie.

- Tylko po co to komu? To że my mamy przejebane nie oznacza że inni muszą mieć... Wtrącił Jack co kompletnie zbiło Ovitza z tropu, burząc jego dotychczasowe przekonania o zamiłowaniu Jacka do wszelkiego rodzaju bijatyk i starć zbrojnych. Morgan gdy to usłyszał zatrzymał samochód aby się upewnić czy się nie przesłyszał.

- No co? Nie musimy przecież niszczyć wszystkiego co stanie nam na drodze, jakbyście nie zauważyli, to gdziekolwiek się nie pojawimy zaraz pojawia się śmierć zbierając swoje żniwo...

Po tych słowach Jack wyszedł z samochodu z butelką bimbrową, oparł się o bagażnik i aż podskoczył ze strachu, alarmując swoim krzykiem pozostałych, którzy od razu zaczęli wysiadać z samochodu jednak w pancerzach wspomaganym było to nieco utrudnione.

- Co się stało? Krzyknął Morgan, ale Jack tylko pokazał palcem do przodu. Jerry i Ovitza podnieśli głowy w kierunku który wskazał im Jack i zobaczyli tam ogromną chmurę modliszek.

- Nie mów że boisz się robactwa? Zapytał ironicznie Ovitza po czym wyciągnął kawałek mięsa bramina z bagażnika i rzucił szkodnikom na pożarcie. Gdy już wszystkie oblaży swoją pierwszą zdobycz, szybko zdobyły i kolejną, która okazała się granatem Morgana jednak już bez zawleczeni.

- Nie poznaję Cię Jack, zawsze byłeś inny, kiedyś nie przestraszyła by Cię grupka owadów.. Skomentował dosadnie Ovitza.

- Odpierdol się, nic nie rozumiesz!

- No to może nas oświecisz? Powiedział mechanik opierając się jedną ręką o dach samochodu.

- To wszystko jest nie tak jak miało być, stoimy tutaj, na środku pustkowi, przy starym samochodzie, nasz dom już nie istnieje, ludzie których znaliśmy nie żyją, los grupy pierwszej nadal nieznany – tutaj Morgan głośno przełknął ślinę:

- Możliwe że oni są już wspomnieniem..

- Błąkamy się teraz bez celu po tej jebanej pustyni, bawiąc się w pierdolonych listonoszy! O to mi kurwa chodzi... Dodał na samym końcu głosem pełnym smutku i żalu Jack, a po jego słowach nastąpiła niezręczna cisza. Tylko mechanik stwierdził żeby się już zbierali. Dokończą zadanie i wrócą do jakiejś sprawnej Krypty, zabierając spotkanych ludzi którzy będą chcieli

rozpocząć nowe życie z daleka od głodu, bólu i przemocy. Wsiedli wszyscy do samochodu. Tym razem Ovitiz tym usiadł za kierownicą. Jechali jeszcze piętnaście minut, dojechali do bram miasta po czym podszedł do nich strażnik. Był to średniego wzrostu człowiek, ogolony na łyso w pancerzu skórzanym i strzelbą bojową.

- Witamy na Podmurzu, informuje że znajdujecie się teraz w zewnętrznej części miasta Kryptopolis, powstałego przy użyciu Generatora Ekosystemu Cudownej Krainy, zaraz po opuszczeniu Krypty nr 8 z pierwszym obywatelem Lynnette na czele!

- On się uczył chyba tego tekstu na pamięć? Powiedział Jack po chłopaków po czym roześmiali się jak za starych dobrych czasów.

- Przyjechaliśmy zanieść coś do rady miasta. Powiedział Ovitiz.

- Niestety nie możecie tego tam zanieść, do miasta wewnętrznego po godzinie 18:00 mają wstęp tylko mieszkańcy, poza tym nie każdy może sobie tak po prostu wejść do rady i zostawić co mu się podoba.

- Mówiłeś, że po 18:00 mogą wchodzić tylko obywatele, a do 18:00 to jak to jest?

- Cóż, po uzyskaniu przepustki możecie wejść do środka i podziwiać wspaniałości miasta które stworzyliśmy!

- Dobra, a może powiedz mi gdzie możemy zatrzymać się na nocleg?

- Zaraz za budynkiem informacji turystycznej jest budynek z blachy, to bar w którym możecie się napić, zjeść i zatrzymać na noc.

- A dlaczego nie możemy wejść do centrum? Zapytał Jack zdenerwowanym głosem.

- Ponieważ wstęp mają tylko obywatele, powiedział strażnik prostując się i opierając się na swojej strzelbie. Jack powoli zaczął wychodzić z samochodu, odbezpieczył karabin.

- Może jednak z...

- Ocipiałeś?! Wrzasnął Morgan, zostaniemy w barze.

- A to na wszelki wypadek... Dokończył Jack, wchodząc z powrotem do samochodu.

- Kryptopolis na wieki! Krzyknął strażnik po czym stanął z powrotem na swoim miejscu.

Ovitiz ponownie uruchomił pojazd i ruszyli w stronę baru który wskazał im strażnik. Dojechali po niecałej minucie na miejsce. Wsiadając z samochodu ruszyli w stronę baru uklepanego z blachy falistej.

- Całkiem przyjazna okolica gdyby nie liczyć tego idioty przy bramie.. Powiedział Ovitiz z uśmiechem na twarzy

- W sumie mógłbym się tutaj (westchnął cicho) gdyby tylko Patris.. gdybał Morgan wspominając dawne czasy i patrząc na widoczne z daleka bramy Krypty z której wywodzi się ludność tego miasta.

- Eee tam... Mi się tutaj nie podoba... Wszystko takie... Dziwne, w sumie niepodobne do niczego... Chyba już wolałbym życie w takim miejscu jak Cieniste piaski, tam przynajmniej można było się zabawić a nie to co tutaj... Stwierdził obojętnym głosem Jack.

Weszli do baru. Wszyscy zgromadzeni byli trochę zdziwieni widokiem trzech ludzi ubranych w niemal lśniące pancerze wspomagane z potężnym orężem u boku, ale nikt nie powiedział ani słowa. I gdy tak wszyscy siedzieli wmurowani, nagle jeden stolik całkowicie opustoszał więc tymczasowi listonosze mogli sobie gdzie usiąść. Natychmiast zjawił się przy nich wąsaty barman, który wyglądał na mniej więcej 40 lat, był drobnej postury ale dysponował za to bardzo potężnym głosem.

- Witam, nazywam się Schogotten, jestem właścicielem tego miejsca, w czym mogę służyć?

- Poszukujemy miejsca noclegowego, z samego rana musimy udać się do rady miasta.

- Nie często miewamy tutaj takich gości, zaraz powiem mojemu synowi Cassidemu aby przygotował dla Was najlepszy pokój jaki tutaj mamy.

- Dzięki, tak przy okazji, napijemy się z chęcią dobrego piwa.
- Już się robi! powiedział barman uśmiechając się od ucha do ucha zacierając ręce.

Barman zawołał swojego syna, prawie natychmiast przybiegł mały dzieciak w splamionym ubraniu.

I kawałkiem gałęzi który miał być najwyraźniej pistoletem. Barman złapał dziecko za ramię, powiedział mu coś na ucho po czym dzieciak zniknął tak szybko jak tylko się pojawił.

Siadając na cherlawym krześle Morgan widział jak zasiada obok niego Ovitz, odkładając broń na plecy, oraz Jack, który wypierdolił gdzieś do tyłu łamiąc krzesło, pobliski stół oraz najwyraźniej budżet barmana na najbliższe tygodnie swoją opancerzoną dupą. Morgan z Ovitzem zaczęli się śmiać a ofiara tandety wstając nie kryła zdziwienia.

- chyba wszystko zepsułem.. Rzekł podekscytowany Jack.

- Oto Wasze zamówienie. Powiedział barman podchodząc do stolika z 3 piwami na błyszczącej tacy.

- Dzięki, a gdzie będziemy mieć pokój? Zapytał mechanik otwierając sobie butelkę kciukiem i rzucając barmanowi garść powojennej waluty za którą z pewnością właściciel byłby w stanie pokryć wszelkie straty wraz z nadwyżką.

- Jak tylko mój syn skończy go przygotowywać, to niezwłocznie Was o tym poinformuję. Do tego czasu korzystajcie z dobrodziejstw mojego baru. Barman serdecznie się uśmiechnął oddając pokłon należyty niegdyś królom i odszedł za bar czyścić szkło.

- Nawet całkiem miła obsługa... Stwierdził Ovitz biorąc łyk piwa.

- Może być, ciekawe tylko jak będzie wyglądał nasz pokój... Powiedział Morgan

- Jeśli będzie nam szło tak dobrze jak do tej pory to pewnie przyjdzie nam spać w okopie i dostaniemy do obrony worek kamieni i patyków... Ironizował Jack.

W tym momencie gdy dopijali trunki przybiegł do ich stolika mały Cassidy i poinformował że pokój już jest gotowy i z chęcią ich tam zaprowadzi. Wstali ze swoich miejsc po czym poszli za chłopakiem, który widocznie prowadził ich do Krypty. Gdy doszli na miejsce przechodząc przez betonowe korytarze, chłopak otworzył im drzwi. Ich oczom ukazał się niesamowity widok. W dużym pokoju (wielkości jadalni) w krypcie znajdowały się trzy łóżka ze świeżą pościelą, a przy jednej ze ścian była umywalka z bieżącą wodą. Nad umywalką wisiało lustro z małym pęknięciem w prawym dolnym rogu a za drzwiami była całkiem znośna toaleta, z której o dziwo! Nie śmierdziało.

- Tata twierdził że powinno się Wam tu podobać.

- Dzięki Cassidy! Powiedział Jerry po czym dał młodemu kapsla.

- Wow! Dzięki! Krzyknął chłopak po czym wybiegł uradowany krzycząc na całe gardło że dostał kapsla.

- Mała rzecz a cieszy... Heh... Powiedział cicho Ovitz jednak reszta też to usłyszała i zaczęli się śmiać. Wchodząc do środka ściągnęli pancerze oraz zabezpieczyli broń. Siadając na łóżkach, wymienili jeszcze swoje spostrzeżenia odnośnie stacji radiowej Galaxy której słuchali jadąc w samochodzie po czym położyli się spać.

Rankiem gdy się obudzili stał nad nimi właściciel baru z odbezpieczonym pistoletem laserowym skierowanym w Jack'a.

- To teraz ładnie się przedstawicie! Powiedział właściciel baru patrząc Jackowi prosto w oczy, po jego twarzy spłynęła kropla potu.

- Ja jestem Jack Daniels, to Henry Morgan, a ten na ostatnim łóżku to Jerry Ovitz, pochodzimy z Krypty 16, wyruszyliśmy spory czas temu aby ocalić ją przed promieniowaniem, jednak nasze misje się nie powiodły i zanim wróciliśmy mieszkańcy Krypty byli już martwi. Przybywamy tutaj aby oddać teczkę którą dał mi Westin z Cienistych piasków do rady miasta...

powiedział Jack jakby uczył się tego tekstu prawie tak samo długo jak ten strażnik przy wjeździe do miasta.

- Coś mi się w to nie chce wierzyć... Powiedział właściciel powoli naciskając spust swojego pistoletu. Nie zdążył jednak popełnić tego błędu ponieważ Morgan wyciągnął nóż ze swoich spodni i rzucił nim we właściciela tak, że ten wbił mu się w grubawą rękę a właściciel z bólu upuścił pistolet.

Wszyscy wstali ze swoich łóżek idąc powoli w stronę barmana.

- Dzięki, prawdopodobnie uratowałeś mi życie... Stwierdził złamanym nieco głosem Jack.

- Spoko, będziesz miał okazję postawić kolejkę w następnym barze w którym się zatrzymamy.

Powiedział z uśmiechem Morgan.

- A co pan o tym sądzi? Powiedział Ovitz do barmana pomagając mu usiąść na łóżku i wyciągając nóż z jego ręki.

- Od czasu do czasu napadają nas dziwni ludzie, wyglądają podobnie do was więc uznaliśmy że to kolejny napad...

- Jak to podobni do nas? Przybywają tu ludzie w takich zbrojach? Zapytał z niedowierzaniem Ovitz.

- Nie, ale są ubrani podobnie do was, mają długie włosy...

- To dlaczego nas nie zabiłeś od razu?

- Nie śmierdzicie, a oni cuchną strasznie... Poza tym już od ponad roku nie dali o sobie znaku życia... bałem się że po raz kolejny chcą mi puścić interes z dymem...

- Sory za rękę, mam nadzieję że da się to jakoś poskładać... Powiedział Morgan odwracając głowę w stronę okna.

- Jakoś się wylize... Więc nie jesteście bandytami?

- Nie jesteśmy, a właściwie to byliśmy mieszkańcami Krypty 16 tak jak mówił Jack.

- To dlaczego u licha nie użyliście G.E.C.K.a? zapytał z niedowierzaniem barman.

- Co to jest G.E.C.K? Nadzorca wspominał chyba o tym w ostatnim raporcie...

- Och dużo gadania, Nadzorca na pewno wiedział jak się go używa, skoro go nie użył to... (barman urwał głos) to on nadal musi się znajdować w krypcie z której pochodzicie! Zabierzcie mnie tam? Zapytał barman, a w jego oczach aż jaśniała nadzieja.

- Jeśli tylko będziemy tam wracać to możesz się zabrać z nami, jednak teraz mamy trochę pilnych rzeczy do zrobienia. Po oddaniu tej teczki musimy wrócić do Cienistych piasków aby przekazać informacje które dostaniemy od Rady miasta, dopiero potem możemy wrócić do szesnastki, chociaż w sumie to nie wiem po co skoro poziom skażenia jest tam na tyle wysoki że nie da się tam żyć...

- Nie ważne, zabierzcie mnie ze sobą.

- Możemy jedynie obiecać, że się tam pojawimy za kilka lat, wspomnienia są obecnie zbyt świeże i bolesne aby tam wracać, jedyne co mogę Ci teraz powiedzieć to tyle żebyś zebrał ludzi których darzysz największym zaufaniem, idźcie w stronę Krypty, w jaskiniach będziecie mieli schronienie, musicie jednak zadbać o swoje bezpieczeństwo i wyżywienie. My tam dołączymy. Powiedział Ovitz ubierając pancerz.

- Zrobię tak! Powiedział barman wybiegając z krwawiącą ręką z pokoju.

Reszta się ubrała i spakowała po czym opuścili niezauważeni przez nikogo bar tylnym wejściem i ruszyli stroną biura przepustek aby dostać się do miasta.

Gdy doszli na miejsce, weszli do budynku z dużym szyldem na którym było napisane „Biuro Celne”. W środku było sterylne czysto, w pokoju do którego weszli znajdował się duży metalowy, owalny stół do którego były przystawione trzy krzesła, a po przeciwległej stronie stała duża półka na książki i różnego rodzaju czasopisma. Obok stołu stał Walles.

- Słuchajcie, przybysze, jeśli macie coś do oclenia udajcie się na zaplecze do Grommita, on pomoże wam wypełnić wszystkie formularze

- Eee... co to za miejsce?

- To jest Biuro CELNE. Przeczytaj napis na zewnątrz. Jeśli nie masz nic do oclenia to co tutaj właściwie robisz?

- Szukam sposobu na dostanie się do środka.

- Cóż, możesz pójść do mojego szefa - Grommita i SPRÓBOWAĆ dostać pozwolenie na wejście, ale to strata czasu. On nigdy nikogo nie wpuszcza. Oczywiście są również inne sposoby...

- Jakiego rodzaju inne sposoby?

- Jeśli masz kasę, mogę zdradzić więcej. W przeciwnym razie...

- Mam pieniądze, co sprzedajesz?

- Za dwieście kapsli mogę zrobić z Ciebie pełnoprawnego obywatela. Będziecie mieć wolny wstęp za bramę bez żadnych przykrości. W ciągu pięciu minut mogę wydrukować wszystkie dokumenty i zarejestrować Twój numer identyfikacyjny...

- Hmm, dwieście to trochę dużo, mam tylko 150...

- Hmmm... No dobra, mam dziś ochotę na trochę dobroczynności. Ale nie mów żadnemu ze swych obcych przyjaciół że sprzedałem Ci je tak tanio.

- Dobra... Powiedział Ovitz.

- Dobra, już wszystko gotowe. Oto Twoje papiery... „Obywatelu”. I nikomu o tym nie mów, W SZCZEGÓLNOŚCI Grommitowi, dobrze?

- Ze mną jak z dzieckiem.. powiedział Ovitz po czym podszedł do Jack'a i Morgana. Przed bramą zatrzymał ich strażnik.

- Masz dzienną przepustkę?

- Jak śmiesz mnie tak przesłuchiwać? Jestem obywatelem! Oto moje papiery!

- Przepraszam, obywatelu, nie chciałem być nieuprzejmy, oczywiście możesz wejść... Powiedział zmieszany strażnik po czym otworzył bramę. Weszli do środka. Było tutaj nadzwyczaj czysto, po ulicach chodzili ludzie w strojach mieszkańców Krypty, tylko nieliczni ludzie zamiatający ulice byli ubrani w szare lub brązowe ubrania. Najpierw skierowali się do baru. Tam również było czysto i nie śmierdziało jak to miało miejsce w knajpie u Schogottena. Za ladą stała młodzianka barmanka z dużymi walorami. Ubrana była w białą, półprześwitującą bluzeczkę ze sporym dekoltem. Na ich widok uśmiechnęła się i zapytała.

- W czym mogę służyć?

- Eee... No więc my... Tego... No... Jąkał się Jack na widok ślicznej barmanki, która na ten widok ukryła delikatny uśmiech dłonią.

- Kolega chciał powiedzieć że chcemy się dostać do budynku Rady miejskiej. Powiedział Morgan nie kryjąc rozbawienia.

- Musicie iść w stronę centrum zaopatrzenia, to ten budynek zaraz za barem, potem cały czas prosto i zobaczycie ogromną budowlę.. To właśnie jest siedziba Rady Miasta Kryptopolis.

- Dzięki, musimy już iść ale na pewno przyjdziemy jak już załatwimy nasze sprawy. Powiedział Morgan uśmiechając się na widok reakcji Jack'a który wyglądał na nieco zapatrzonego, jednak spod pancerza jego uśmiech był niewidoczny dla barmanki.

Ruszyli według wskazań. Po kilku minutach stali przed największym używanym budynkiem jaki kiedykolwiek widzieli na oczy poza Kryptą.

- No to panowie wchodzimy. Rzekał Jack upewniając się że ma teczkę przy sobie.

Weszli przez rozsuwane drzwi, skierowali się w prawo, do gabinetu Pierwszego Obywatela Lynette.

Gdy weszli do środka zobaczyli młodą czarnoskórą kobietę ubraną w kombinezon mieszkańca Krypty jednak na jej plecach nie było żadnego numeru. Siedziała za swoim biurkiem i studiowała jakieś raporty.

- O co chodzi? Jestem bardzo zajęta.

- Jesteśmy tutaj z polecenia Westina z Cienistych piasków...

- To znaczy? Zapytała Lynette podnosząc głowę znad kartek na biurku marszcząc brwi.

- Mam tu pewną teczkę którą kazał przekazać. Powiedział Jack wyciągając teczkę ze schowka.

- Niewiarygodne! Powiedział podniesionym głosem Lynette podnosząc się z krzesła przy biurku.

- Coś się stało? Zapytał Morgan.

- I tak was to nie dotyczy dzikusy! Powiedziała kobieta.

- O przepraszam bardzo, nie jesteście dzikusami tylko obywatelami Krypty.

- Jakimi obywatelami? Jesteście zwykłymi najemnikami którzy łapią każdą robotę żeby zarobić jakikolwiek grosz!

- Nie zgodzę się z tym! Powiedział podniesionym głosem Jack kładąc na ziemi Karabin i ściągając pancerz pod którym nosił jako jedyny, strój mieszkańca.

- Skąd to masz? Powiedziała podniesionym głosem Lynette.

- Jak już kolega powiedział jesteście, chociaż teraz to już byliśmy mieszkańcami Krypty 16, mieszczącej się dzień drogi samochodem stąd. Zaczął tłumaczyć Ovitz po czym wyciągnął holotaśmę z zapisem Nadzorcy.

- To niewiarygodne! Nie odbieraliśmy żadnych sygnałów! Życie na tym pustkowiu musi być dla Was męczarnią!

- Nie jest tak źle jakby się mogło wydawać... No może poza faktem, że gdzie się nie ruszymy to ktoś uparcie stara się nas zabić, okraść albo coś w tym stylu... Dorzucił Morgan

- Rozumiem, ale mimo wszystko w zaistniałej sytuacji musicie jak najszybciej ruszyć do Cienistych piasków i przekazać tę informację Westinowi

- Nie bardzo nam się chce, w końcu nie jesteśmy dzikusami którzy łapią się pierwszej lepszej roboty żeby przeżyć... Ironizował Jack

- Przepraszam za to, mamy teraz tak wiele problemów, nie chcemy kolejnych...

- My też a jakoś same się proszą...

- Obiecuję że jak tylko wrócicie to dostaniecie własne kwatery i służących.

- Dobra, daj tę teczkę, pojedziemy.. Ale najpierw chcemy się tu porządnie zabawić! Powiedział Ovitz

- Nie rozumiem... W jaki sposób zabawić?

- No wiesz, alkohol, panienki, trochę starej dobrej muzyki... You know what I mean?

- Jesteście obrzydliwi! Jak możecie nawet wspominać o takich... Tych... Rzeczach?! Aż wstyd że proszę was o dostarczenie tej holotaśmy ale nie mam innego wyjścia! Wynoście się teraz z mojego biura!

- Jak Se tam chcesz, rozglądniemy się trochę po tym miasteczku, zobaczymy jak się możemy tu zabawić na własną rękę... Powiedział Jack ubierając ponownie pancerz.

- Straże! Wyprowadzić tych niegodziwców za bramę i nie wpuszczać ich ponownie!

Nagle przybiegło kilku strażników, Ovitz uruchomił swoje działo, włączył demonstracyjny tryb rozkręcenia lufy, na ten widok lekkozbrojni strażnicy zamarli, rzucili swą broń i uciekli. Wychodzili w trójkę z uśmiechami na twarzach, śmiejąc się z słów Pierwszego obywatela. Gdy wyszli na zewnątrz budynku rady miasta zobaczyli kilkunastu strażników uzbrojonych w Karabinki szturmowe AK112, ubrani byli w masywne metalowe pancerze. Na ten widok Zbrojna trójka wyciągnęła narzędzia zagłady którymi niewątpliwie była kosiarka Ovitz, miotacz

plamieni Morgana i rakieta Jack'a.

- Macie ostatnią szansę aby odejść z tego miejsca bez rozlewu krwi, jeśli nie posłuchacie stanie się wam krzywda. Zakomunikował podniesionym głosem jeden z przybyłych strażników.

- Patrzcie co przez kaprysy Lunetki, zadumanej w sobie rury.. Wojny chcą dodać Jack.

- Tym razem włączę tryb strzelania, jeśli się nie odsuniecie będzie więcej ofiar niż tylko wy, dodatkowo wejdziemy do Krypty i postaramy się żeby w pełni zasłużyła na swoją nazwę! Czy to jest kurwa jasne żołnierzu?! Krzyknął Ovitiz uruchamiając Volcano.

Strażnicy! Przygotować się do otwarcie ognia na mój znak.

- No to teraz się zabawimy, powiedział Jerry do kompanów .

- OGNIA! Krzyknął strażnik po czym piętnastu przybyłych strażników otworzyło ogień do Jacka, Morgana i Ovitza. Pociski odbijały się na wszystkie strony od ciężkich pancerzy lecz trzech waleczni również otworzyli ogień. Jerry długą serią ołowiu przebił szeregi strażników, Morgan oślepiającym płomieniem zutilizował żywcem prawą flankę przeciwnika a Jack dokonał masakry pociskiem burzącym który doprowadził do przemieszczenia kończyn, pancerzy i łbów przeciwników.

Popatrzyli na ekrany spójności pancerzy, nie było tragicznie, gdyż wypadały pomiędzy 69% a 73%. Użyli ogniwi termojądrowych do regeneracji. Szli teraz w stronę Krypty 8, znajdującej się nieopodal. Po drodze nakazywali wszystkim niewolnikom ucieczkę, jednak ich morale wyglądało na złamane. Przed kryptą czekał na nich cały pułk strażników miasta, który najwyraźniej posiadał sprzęt godny wojowników za czasów wielkiej wojny. Postanowili ukryć się za jaśniejącymi w słońcu budynkami z porządnych materiałów. Rozpoczęła się wymiana ognia, kule padały z każdej strony, ziemia drżała, wleciał pył a mury budynków kruszyły się pod ostrzałem karabinów. Morgan rzucił w kierunku wrogów granat dymny, który wydobywając z siebie kłęby dymu zdezorientował część strzelających. Dobywając karabinów ustawili się w szeregu. Wkrótce zadymione wejście Krypty zostało zsieczone seriami z karabinów i choć na oślep.. Ostrzelano pozycje strażników Krypty. Wycofując się w kierunku przeciwnym do ułożonych obrońców cała trójka została potraktowana ołowiem zza pleców. Oto kolejna grupa strażników przybiegła by zmierzyć się z przeznaczeniem, choć tym razem byli to lekkozbrojni strażnicy albo mieszkańcy uzbrojeni w pistolety. Wkrótce zostali(mimo chęci zwycięstwa)pozbawieni życia przez lądujące pod ich nogi granaty. Gdy dym już opadł dostrzegli przez sterty łusek leżących na ziemi strażników. Przeszli po dywanie ciał do Krypty.

- Zupełnie jak w domu. Stwierdził Morgan.

- Ano, tylko w domu było trochę ciszej. Powiedział z uśmiechem na twarzy Jack, po czym skierowali się do ambulatorium. W poczekalni do ambulatorium stał mężczyzna w średnim wieku odziany w kitel, w rękę trzymał strzykawkę wypełnioną dziwną substancją, która świeciła

- Nie dostaniecie mnie żywcem! Krzyknął medyk gotowy się rzucić ze strzykawką na trzech uzbrojonych po zęby ludzi, ubranych w pancerze wspomagane, których nawet igła medyka nie będzie w stanie przebić.

- Jak tam chcesz powiedział Jack strzelając kilkakrotnie w pierś medyka. Podeszedł bliżej strzelił jeszcze w głowę.

- Po chuj to zrobiłeś? Dostał tyle kul, że można przez jego płuca odcedzić zupę z gekona.

- Ten typ miał kamizelkę... Stwierdził Jack odsłaniając kitel.

- Dobry patent.. Ciekawe tylko, dlaczego reszta tak nie zrobiła... Stwierdził Morgan po czym usłyszał za sobą dźwięk przeładowywanej strzelby. Za nimi stał oddział elitarnych komandosów, ubranych w pancerze Tesli, każdy z nich był uzbrojony w G36 a ich dowódca, przypominający trochę z wyglądu kapitana z Krypty 16 posiadał na wyposażeniu Bozara.

- Do windy! Dojdziemy do zbrojowni, tam nam nic nie zrobią! Krzyknął Morgan.

- Nie ma sensu, możliwe, że ona jest już pusta, a tutaj przynajmniej będziemy mieli leków pod dostatkiem! Odpowiedział Ovitiz przeskakując przez szybę i robiąc barykadę z łóżka. Reszta pobiegła za nim kryjąc się za prowizoryczną barykadą.

- Poddajcie się! Krzyknął kapitan – nie macie żadnych szans, z tej Krypty nie ma ucieczki, jesteście otoczeni. Dajemy wam 2 minuty na zastanowienie się czy chcecie poddać się i zostać osądzeni przez Pierwszego Obywatela, czy chcecie polec w walce, okrywając się hańbą i wstydem przed potomnymi.

- Co to jest? Zapytał szeptem Jerry Jack'a wskazując na małą skrzynkę, która znajdowała się w dziurze w ścianie po odsunięciu łóżka.

- Nie wiem, zaraz przyniosę. Jack pobiegł po małą skrzynkę, pisało na niej „Niech moc Pana będzie z Wami”. Pojemnik był zamknięty na jakiś elektroniczny zamek, więc Morgan użył mocy wytrychu po czym przedmiot został otwarty. Ich oczom ukazał się lśniący obiekt wyglądający na złoty granat, u góry był zakończony srebrnym krzyżykiem. Na jego boku pisało „Święty Granat Ręczny – natchniony mocą Pana”.

- Pierwszy raz widzę coś takiego, może warto go użyć? – swoją drogą ciekawe jak powstał.. Może ktoś przetopił świętego Graala

- Wasz czas minął! Jaka jest wasza decyzja? Krzyknął kapitan.

- To jest właśnie ten moment, powiedział ze skupieniem Jerry. po czym Morgan rzucił w kierunku oczekujących kilkudziesięciu żołnierzy (nie)święty granat ręczny. Eksplozja była przerażająca a oślepiający błysk był zaledwie przedsmakiem dokonanej rzeźni. Już po chwili nastął głośny huk, eksplozja i jedyne, co było słychać to krzyki i jęki ludzi, które jednak cichły z każdą chwilą. Morgan i reszta powoli się wyprostowali, widok, który zobaczyli był chyba najgorszym, jaki w życiu widzieli, wszędzie dookoła były strzępy ludzkiego mięsa, jelit, wszystko zalane było krwią, gdzieś tam można było dostrzec fragmenty kości powbijane w innych lub otoczenie. Samo miejsce, w którym nastąpiła eksplozja wyglądało na nienaruszone. Jedyne, co zdradzało, że nastąpił tutaj wybuch to to, iż wszystkie szyby straciły dotychczasowe swoje miejsce płoenia. Sprzęt, który nosili żołnierze też nie został uszkodzony.

- Chyba uwierzę... Stwierdził Ovitiz patrząc na rozmiary zniszczeń.

- Lepiej sprawdźmy czy nie ma jeszcze jednego takiego dzieła! zaproponował Morgan.

Przeszukali całą Kryptę, ale nie znaleźli już nic takiego, co by, chociaż trochę przypominało Święty Granat Ręczny. Wrócili na pierwszy poziom Krypty. Pozbierali tyle sprzętu ile mogli z poległych. Bozara zgarnął używający do tej pory ckm'u Jack, Morgan uznał iż pobierze zbiory danych dotyczących specyfikacji technicznych maszyn i sprzętu, natomiast Ovitiz zabrał niewiele rzeczy, ze względu na i tak już spory ładunek. Wszystko co do tej pory zabrał posłuży na wymianę towarów, ale i tak to co zabrał starczyłoby mu na kupno sporego domu i nowego samochodu, oczywiście gdyby coś takiego było kiedykolwiek na sprzedaż.

Wyszli z Krypty, oczekiwali solidnego komitetu powitalnego, ale na ulicach Kryptopolis było całkiem pusto. Weszli do centrum zaopatrzenia, które znajdowało się obok wejścia do Krypty. Był tam niski, szczupły człowiek, który chował się pod biurkiem. Podeszedł do niego Jack.

- Lepiej przynieś nam wszystkie zapasy medyczne, jakie tutaj masz, a najlepiej to załaduj wszystko do naszego samochodu, rozumiesz? Mały człowiek stanął przestraszony, na jego nogawce pojawiła się stróżka ciecicy po czym przy jego nogach zmaterializowała się spora kałuża. BU! Krzyknął mu w twarz, Ovitiz ale chłopak zemdłał.

- No i co narobiłeś? Teraz będziemy musieli to wszystko targać sami... Powiedział Morgan z wyrzutem jakby był lordem i od noszenia miał przynajmniej tuzin ludzi.

- Co masz na myśli?

- Obok jest centrum przydzielania służących, mogą nam pomóc... Stwierdził zerkając

pokątnie Mechanik. Już wkrótce wyciągnęli na zewnątrz wszystkich pracowników, którzy dotychczas zajmowali się przydzielaniem. Tym razem my przydzielamy was do przeniesienia wszystkich zapasów dupki, ruchy, ruchy! Spróbujcie tylko coś wymyślić a pożałujecie.. Dodał Mechanik stojąc nad swoimi ofiarami Morgan. Wkrótce zebrali się i poszli do baru, ponieważ Jack prozaicznie chciał pożegnać się z barmanką. Ona sama nie była zaskoczona na ich widok, zamiast rzucić się do ucieczki lub obrony tylko się uśmiechnęła, po czym powiedziała.

- Nie róbcie mi krzywdy... Zrobię co tylko będziecie chcieli... W tym momencie zalała się łzami.

- Nic Ci się nie stanie, pójdziesz z nami, dostaniesz nowy dom... Powiedział Jack.

- N-n-n-nie zrobicie mi krzywdy? Zabiliście już tylu ludzi...

- Nie, weź tylko to co jest Ci najbardziej potrzebne i idź do baru Schogottena. My musimy tu jeszcze kogoś... ekhm coś załatwić... ale wkrótce się tam pojawimy. Odpowiedział Ovitza po czym Barmanka jak stała, tak wybiegła z baru.

Chwilę później, wyszli na rozległy dziedziniec przed bramę. Widok przedstawiał się następująco.. w pobliżu stało dwóch strażników a dwóch jeszcze było na wieżach strzelniczych przy bramie Podmurza. Stojąc jednak na swojej pozycji znajdowali się za daleko aby strzelby mogły ich dosięgnąć. Jack przeładował Bozara i wystrzelił w kierunku pierwszego strażnika. Z lufy wydobył się ogień piekielny rozświetlającym pobliskie otoczenie. Dziury które powstały w skutek postrzału obrońcy okazały się być wielkości piłek golfowych. zraniony strażnik mógł jeszcze przeciągnąć sobie rękę od pleców do przodu i zobaczyć jak to wygląda lub zobaczyć co znajduje się za nim. Drugi strażnik na ten widok rzucił broń na ziemię z krzykiem pobiegł przed siebie.

- Jak panowie, złożymy wizytę temu fałszerzowi? Zapytał Jack, który z powodu nowej broni chyba odzyskał chęć do życia i potyczek z wrogo nastawionymi ludźmi.

- Czemu nie, chociaż pewnie znając życie już dawno tam nikogo nie ma... Odrzekł Morgan Weszli do budynku, pod stołem kłęczał przestraszony Walles, gryzł nogę stołową ze strachu.

- Się masz fałszerzu! Powitał go szyderczo Ovitza.

- P-p-p-pr-r-r-r-oszę, nie zabijajcie mnie!

- Nie, nie mamy tego w planie nawet, w końcu pomogłeś się nam dostać do miasta i trochę się rozerwać. No nie panowie? Powiedział Jerry do reszty odwracając głowę a trzeba wiedzieć, iż wszyscy byli zgodni kiwając na tak.

- Zadbaliśmy o to aby nikt z twoich przyjaciół nie śmiał cię oskarżyć o oszustwo rzekł rozbawiony Jack.

- To co ze mną zrobicie? Zapytał przerażonym głosem jakby się obawiał, że zostanie zgwałcony.

- Pójdziemy do Twojego szefa... Jak mu tam było? Grommita, z ciekawą informacją, że fałszujesz papiery/

- Błagam, nie róbcie tego, oni są zdolni do strasznych rzeczy!

- Na pewno nie gorszych niż my... No ruszaj dupsko, pójdziesz z nami, chcemy zobaczyć jak srasz w gacie ze strachu.

- Błagam nie! Krzyknął Walles ale Jerry kopnął go w tyłek tak że ten przeleciał przez drzwi padając na twarz prosto przed swoim przełożonym Grommitem.

- Się masz Grommie, mamy dla Ciebie małą niespodziankę.

- Nie boję się was! Powiedział Grommit, wstając i mierząc do Ovitza z pistoletu.

- Mam trochę większą pukawkę jeśli o to Ci chodzi ale nie przyszedłem tutaj na kawę i pogaduchy o pierdołach.

- Czego chcesz? Odpowiadaj, bo będę strzelał! Na te słowa reszta wybuchnęła gromkim

śmiechem.

- Hahahaha! Aleś mnie rozbawił! Lepiej zobacz co zostało po tych co ostatnio przyszli nas powstrzymać! Hahaha! Chłopaki, ten gościu ma poczucie humoru! W tym momencie Grommit wyprowadzony z równowagi strzelił i trafił, jednak kula ze świstem odbiła się od pancerza Jerrego. Zdenerwowany Jerry złapał człowieka za gardło, podniósł do góry po czym rzucił nim o ścianę krzycząc:

- Jesteś takim samym ścierwem jak reszta tego pierdolonego miasta, może masz trochę więcej jaj co i tak nie zmienia faktu że dajesz się jebać swoim ludziom w dupę.

- Ja im nic nie mówiłem szefie... Odezwał się przerażony Walles, reszta ponownie ryknęła śmiechem.

- No, to wasze sprawy uczuciowe mamy za sobą, powiedział próbując tłumić śmiech Ovitza, chodziło mi od początku o to że Twój wierny koch... Znaczący się pracownik – tu znowu nastąpiła przerwa na śmiech – pracownik sprzedaje na lewo obywatelstwa.

- Jak to sprzedaje? Kto? Na pewno nie Walles, on nigdy by czegoś takiego nie zrobił...

- A tu mamy niespodziankę... Powiedział Ovitza wyciągając sfalszowane obywatelstwo.

- Jak mogłeś?! Powiedział ze łzami w oczach Grommit, ale Walles tego nie skomentował, tylko spuścił głowę w dół plamiąc się buraczanym rumieńcem... Ekipa wyszła na zewnątrz, jeszcze tylko kilka krzyków i po bólu.. Stwierdził Morgan. Kroczyli spokojnie, trzymając stanowczo broń w gotowości. Wiedzieli, że za chwilę otworzą do nich ogień ze stanowisk na bramie wjazdowej za wyrżnięcie obywateli. Podeszli jeszcze kilka kroków, Jack dostrzegł pierwszą przeszkodę. Przyłożył zimną broń do ramienia, wycelował dokładnie w okopanego strażnika po czym wystrzelił. Po huku wystrzelonej serii, słychać było tylko krótkie jęknięcie po czym można było zaobserwować jak strażnik spada dwa metry dalej ze swojego względnie okopanego posterunku.

Zebrana reszta obrońców kryła się najwyraźniej w zabudowaniach, czyhając na dogodny moment do oddania strzału z nadzieją dla nich krytycznego. Morgan dostrzegł za dużo laserowe działka obronne mogły by w istocie działać, gdyby wcześniej nie zlikwidowano ludzi od ich obsługi. Dobra nasza, wyjdziemy stąd bez problemu.. dodał. Szli teraz w stronę baru który stał się niejako punktem zbiorczym. Po przybyciu na miejsce zobaczyli przygotowanego już do drogi wraz z kilkoma innymi ludźmi Schogotta.

- Zebrałem wszystkich, a właściwie prawie wszystkich gotowych do drogi... Powiedział zalaną łzami Schogotta

- Musicie ruszać zanim przybędą kolejni strażnicy, ale Cassidy powiedział że nie chce iść, i uciekł. Nie mogę go do niczego zmusić...

- Może wróci kiedyś do Ciebie. Teraz nie ma czasu, musisz wziąć ludzi pod opiekę i ruszyć w drogę. Łap gnata i trochę amunicji, o resztę musisz zadbać sam, ruszaj!

Schogotta ruszył wraz z grupką ludzi, natomiast Jack, Jerry i Morgan zasiedli do samochodu by rozwikłać narzucone wcześniej problemy. Wyruszyli w stronę Cienistych Piasków, pomimo małego incydentu które miało miejsce chwilę wcześniej z przesyłką do Westina.

- No i jak się Wam podobała tym razem wizyta w cywilizowanym mieście? Zapytał Ovitza podając zapalniczkę Jack'owi

- Wiecie co, jak dla mnie to trochę za głośne miejsce zabaw.. Odrzekł Jack.

- Miasto martwych dupków.. Zmieniłem zdanie. Dodał półtonem Morgan.

5. Z wizytą w Nowym Reno

Przemierzając pustkowia przez chwilę zdawało im się że ktoś ich śledzi. Nie pomylili się bardzo ponieważ za nimi biegły trzy twarde szpony śmierci. Miały po około 3 metry wysokości i były zbudowane kilkakrotnie razy lepiej niż Pudzian.

- Mamy jakieś szanse je zabić? Zapytał Morgan widząc że zagrożenie jest całkiem realne.

- Równie wielkie jak szanse ucieczki... Odpowiedział Jack.

- Chcesz powiedzieć że mamy być za chwilę pokarmem dla tych przerośniętych... Cokolwiek to jest?

- Jeśli czegoś nie wymyślimy na poczekaniu to będzie bardzo prawdopodobne...

- Może by je podpalić? Zapytał z resztkami nadziei Jack.

- Raczej nie, są za daleko, poza tym ich skóra pewnie jest tak gruba że Volcano... W tym momencie zawiesił głos.

- Ovitz, siadaj do tyłu razem z Jackiem, i postarajcie się ich odstrzelić. Może przynajmniej stracą ochotę na atak... Powiedział z nadzieją w głosie Morgan.

Jack i Jerry przygotowali sobie miejsca na tylnych siedzeniach montując broń i przygotowując skrzynkę granatów.

- Przygotujcie się! Za chwilę trochę zwolnię, wyrzucicie trochę szyszek, potem ciągły ostrzał! Krzyknął Morgan. Chwilę później Ovitz zaczyna rozgrzewać lufy Volcano, co w połączeniu z przeładowywaniem taśmy pocisków do karabinu Jack'a i tuczącej się obok skrzyni z granatami stwarzało istny chaos. Szpony śmierci były już całkiem w niedalekiej odległości od samochodu. Jack i Ovitz przygotowali skrzynkę granatów po czym Jack odbezpieczył jednego i dorzucił do reszty. Wypchnięta z pojazdu paczka turlając się po podłożu trafiła pod nogi nadciągających kreatur. Serie z karabinów i wybuch przesiewający odłamkami całą okolicę jeszcze bardziej rozjuszył szpony śmierci które zaczęły się przybliżać jeszcze bardziej.

- Kurwa, trochę niewesoło się robi... Powiedział Jack...

- A na dodatek kończy się nam paliwo więc musicie coś szybko wymyślić... Stwierdził Morgan

- Zobaczymy na co stać to kurewstwo... Rzekł Jack przymierzając się z Bozarem na jednego ze szponów. Wystrzelił długą serią która aż zatrzęsła pojazdem. Szpon śmierci nie był w stanie powtórzyć wyczynów Neona z Matriksu a skutkiem tego było to iż dostał serię po mordzie a w konsekwencji i w oczy. Teatralnie wykrzywiając się do tyłu, ku radości wszystkich, padł na ziemię. Ze zwłok gwałtownymi strugami tryskała krew, która wsiąkała w piasek i przyciągała zmutowane owady zdegenerowanego świata.

- Świetny strzał. Powiedział pełen podziwu Jerry.

- Celowałem w nogę tego drugiego... Odpowiedział lekko zdziwiony obrotem swojej serii Jack.

- Mniejsza o to panowie, ważne że mamy jednego mniej! Krzyknął Morgan.

Jack z Ovitzem ponownie przymierzali się do oddania strzałów w stronę szponów śmierci, gdy nagle jeden niesamowicie przyspieszył i był już na wyciągnięcie szpona od tylnego zderzaka. Ovitz otworzył ogień. Najpierw pojawiały się na skórze drapieznika tylko małe zadrapania, potem można było zobaczyć krew, aż w końcu siła ognia wywierciła mu dziurę w brzuchu wielkości okienka pocztowego. Niestety nawet najlepszy biegacz po takich argumentach byłby przynajmniej zniechęcony do dalszego maratonu. Ostatni napastnik nadal za nimi biegł, przeskoczywszy zwłoki swoich towarzyszy nie chciał zrezygnować ze zdobyczy jaką mogli stać się ludzie. Nagle szpon przestał biec. Zdziwieni towarzysze zastanawiali się co się stało, jednak

już po chwili mogli zobaczyć jak szpon zmienił się w wielką toczącą się kulę i uderzył w bagażnik tak, że kłapa odpadła.

- Wsiadamy! Z jednym mamy szanse! Krzyknął Ovitiz do Morgana aby ten zatrzymał wóz.

- Tia, powiedz mi tylko co zrobimy z tymi tutaj... Powiedział Morgan wskazując na grupę mutantów stojących na jedynej trasie którą mogli przejechać przez most.

- No to mamy przejebane, zawróć! Znajdziemy inną drogę! Krzyknął Jerry.

Morgan zawrócił samochód w ostatniej chwili obsypując mutantów pyłem do których nieoczekiwanie dołączył szpon śmierci.

- To gdzie teraz jedziemy? To była najszybsza droga do Cienistych Piasków... Powiedział Jack. Po wcześniejszym upewnieniu się że pościg mają już za sobą, zatrzymali pojazd.

- Nie do końca... Stwierdził Ovitiz. Możemy jechać przez pewne miasteczko o którym wspominali bandyci, ono się chyba Nowe Reno nazywało...

- A pamiętasz gdzie ono jest? Zapytał Morgan który wysiadł z samochodu aby go trochę podładować.

- To jest jakiś dzień drogi na wschód stąd, tylko że z tego co wiem to jedno wielkie miasto bezprawia rządzone przez kilka rodzin mafijnych...

- No to będą musieli się zaprzyjaźnić z ołowiem. Powiedział ironicznie Jack po czym zabrał się za gruntowne czyszczenie broni.

- Więc ruszamy, kierunek Nowe Reno!. Stwierdził Morgan uruchamiając niespokojnie silnik.

Z trzeszczących głośników znowu dobywały się melodie ze stacji Galaxy News, akurat leciała piosenka „Fly me to the moon”, gdy samochód podskoczył jakby wjechał rozpędzony na stertę opon. Dało się słyszeć głośniejszy trzask po czym pojazd się zatrzymał.

- Co to było? Zapytał Jack wrywając się z drzemki w której śniła mu się kąpiel w basenie pełnym whiskey.

- Zaraz się dowiemy... Zaznaczył niechlubnie Morgan otwierając drzwi samochodu.

- No to mamy już odpowiedź, złapaliśmy gumę... Osądził niczym sędzia Ovitiz opierając się ręką o dach samochodu, odpalając wątlej jakości papierosa i wrzucając zapalniczkę na siedzenie kierowcy.

- Chyba nie będzie problemu z wymianą koła? Zapyta nieśmiało Jack po czym usłyszał za sobą kilka głosów.

- Może, nie ruszać się frajerzy! Chłopaki! Mamy nowe łupy! Krzyknął zbrojny, umięśniony a zarazem wysoki mężczyzna ubrany w mocno wytarte jeansy i czarną koszulkę z obszarpanymi rękawami. Wyglądał na podrzędnego oponenta któremu słońko przegrzało nieco mózgownicę do czasu gdy zaczęli nadchodzić jego kumple.

Jerry bez chwili namysłu nacisnął przycisk na monitorce pancerza i otwory na usta i zamknęły się. To samo zrobili Jack i Morgan nie dając wiary dyplomatycznej drodze rozwiązania owego konfliktu.

- No, to może sobie wyjaśnimy kilka rzeczy... Zaczął Jerry sięgając po Volcano do bagażnika samochodu

- Nie radzę tego robić, no chyba, że jesteś pewny przetrwania uderzenia tego działka... Powiedział facet a za jego plecami stanął człowiek ubrany w źle dopasowany pancerz wspomagany i karabin Volcano mk.2.

- Co ja widzę... Czyżby to nie ci sami koledzy którzy mnie załatwili z Opactwa? Powiedział ironicznie Ovitiz widząc źle dopasowany pancerz wspomagany na człowieku który pod ciężarem swej broni wydawał się zaraz upaść na ziemię.

- Widzę że już się poznaliśmy... Powiedział ironicznie mięśniak, za nim zaczęło się pojawiać kilku innych równie mocno umięśnionych typów, po czym nadjechała ciężarówka ze zbirami na

naczepie.

- Tia, poznaliśmy się – skinął głową do Jacka aby ten przygotował Bozara – i mam dla was złe wieści... Ten pancerz i Volcano już nie działają, osobiście je wyłączyłem...

- Ha! Dobry żart! Powiedział drab, jednak widocznie przełknął ślinę.

- Może jednak się przekonamy... Te, ciężkozbrojny! Podejdź tu do nas... Jeśli Ci starczy siły Hahaha! Zaśmiał się Ovitza.

- Dostyc tego! jesteście gotowi do walki? Powiedział osiłek zbliżając się do twarzy Ovitza, a w jego oczach można było zobaczyć pełnie żądy krwi.

- Tak. Odpowiedział Ovitza łapiąc oprycha za głowę i uderzając w nią spoiwem kolanowym z pancerza tak mocno, że ten padł na ziemię z rozkrwawioną czaszką. Najwyraźniej stracił spory kawałek nosa, który leżał kilka centymetrów obok powalonego wandalę.

Jack błyskawicznie wyciągnął Bozara, wycelował w człowieka który siedział w szoferce ciężarówkę, kula trafiła go prosto w czoło efektownie rozmazując krew w środku samochodu. Cholera kto to później umyje pomyślał żwawo Morgan i przyłączył się do krwawej łaźni. Bandyci próbowali wyciągnąć zwłoki kierowcy ale ten się zaklinował na fotelu tak że nie byli w stanie go ruszyć. Ovitza sięgnął po swoje działko, starał się jednak uważać na ciężarówkę likwidując co bliższe cele. Jack siekł serią z Bozara wszystkich którzy starali się zbliżyć lub uciec natomiast Morgan ruszył w kierunku zbieraniny bandziorów którzy jak się okazało stworzyli pewnego rodzaju sztyk obronny – skąd nauczyli się taktycznych ruchów? Pomyślał krocząc naprzód ze swym Desert Eagle z którego raz po raz oddawał strzały w kierunku łbów które jednak nie były tak do końca puste. Nagle dostał w plecy. Stał tam niewysoki mężczyzna, który celował do niego z karabinu wyglądającego na skrzyżowanie strzelby i wyrzutni granatów. Sądząc po budowie owego urządzenia był domowej roboty i mimo tego dysponował całkiem pokazną siłą ognia. Morgan z wściekłością wymierzył do niego z gnatę. Na twarzy napastnika widać było już tylko przerażenie, padł strzał. Siła uderzenia rzuciła niewielkim mężczyzną dwa metry do tyłu na widok czego podwórkowa mafia doznała urazu psychicznego i straciła ducha walki. Po szybkiej wymianie ognia na ziemi leżało kilkanaście trupów, stopy łusek brodzących gdzieś w krwi oraz Ovitza, Jack i Morgan. Sprawdzili ponownie spójności pancerzy, tym razem nie było tak źle jakby się mogli spodziewać. Pancerze miały ponad 50% spójności i na razie nie upominały się o regenerację jednak przydałoby się odnowić zapasy. Zabrali się za przeszukiwanie tego, co pozostało. Zdobyczym trofeum stało się tym razem Volcano mk.2 i pęknięty pancerz wspomagany. Nie zdobyli niczego wartościowego przy trupie kierowcy trucka więc wyrzucili go z samochodu odcinając wcześniej zaklinowane nogi czym zajął się bez wzruszenia Ovitza. Reszta truposzy, oprócz broni, zapasu amunicji i kilku monet nie mieli nic co mogłoby się do czegośkolwiek przydać.

- To co robimy teraz? Zapytał Jerry patrząc raz po raz na ciężarówkę z naczepę, swoich kompanów i ich auto które oprócz przebitej opony miało jeszcze kilka innych nadprogramowych dziur po kulach.

- Pakujemy nasz samochód n pakę ciężarówkę czy staramy się go naprawić? Zapytał Jack.

Nie mamy narzędzi, nasz samochód może okazać się raczej mało sprawny a z tego co widzę to ta ciężarówka jest całkiem podobna do tej, co mieliśmy w Krypcie a w dodatku nadal jest na chodzie. W tym momencie podniósł się z ziemi zakrwawiony człowiek bez nosa, chciał jeszcze coś powiedzieć ale tylko wyciągnął karabin, przeładował go jedną rękę i wystrzelił bandziorowi w głowę.

- Cholerny świat dodał Morgan po czym zabrali się za wstawianie samochodu na przyczepę ciężarówkę przy użyciu czegoś w rodzaju szyn. Trochę im to zajęło ponieważ musieli zdemontować boki naczepe ale po kilku godzinach samochód razem z załogę był już gotowy do

drogi.

- No to teraz jeszcze tylko trzeba zrobić coś z tą plamą krwi żeby się muchy do nas nie kleiły. W ciężarówce radio było uszkodzone więc nie dało się normalnie słuchać muzyki ale Jack postanowił, że włączą radio w Caddilacu i będzie prawie to samo. Jechali jakieś 2 godziny w tym samym co uprzednio kierunku po czymś, co można było nazwać kiedyś drogą. Wkrótce ujrzeli coś, co wydawało się im nieprawdopodobne. Ogromny budynek w dobrym stanie, do którego wejścia broniło kilka zaawansowanych wieżyczek maszynowych z czujnikami ruchu.

- Jak myślicie, co to może być? Zapytał Ovitiz.

- Nie wiem, ale wygląda mi na pierońsko ważne... Stwierdził Mechanik.

- To jest baza wojskowa Sierra One, przynajmniej tak wynika z tego co mówi Pip-boy... Stwierdził jakby od niechcenia Jack.

- Wchodzimy tam? Zapytał Morgan?

- Niby jak chcesz się przedostać przez te wieżyczki? Takie bazy były strzeżone bardziej niż cokolwiek innego... Stwierdził Ovitiz.

- Dopóki się nie przekonamy, to nie będziemy wiedzieć... Powiedział Morgan parkując niedaleko wjazdu.

Gdy tylko wyszli z pojazdu wieżyczki się aktywowały i rozległ się donośny głos ostrzegawczy:

- Jesteście na terenie bazy wojskowej Sierra One! Oddalcie się tak szybko jak to możliwe, w przeciwnym razie zostaniecie wyeliminowani. Jednak głos było słychać jakby był odtworzony z taśmy.

- Jak myślicie? Jest tam ktoś w środku? Zapytał Morgan.

- Sądząc po braku jakichkolwiek śladów na piachu i braku straży oprócz wieżyczek to nie było tu nikogo od co najmniej stu lat jak nie lepiej... Powiedział spokojnie Jack

- Tam jest budka strażnicza, powinny być tam jakieś dokumenty albo cokolwiek innego co pozwoli nam się dostać do środka. Odparł Jerry.

-**ODDALCIE SIĘ ALBO ZOSTANIECIE ROZSTRZELANI!** Odezwał się ponownie głos z taśmy.

-przygotujcie granaty, jak tylko ruszymy rzucajcie w tą wieżyczkę po prawej, resztą zajmijmy się z cieciówki.

Jack z Morganem skinęli głowami po czym przygotowali granaty i wybiegli z ciężarówki. Z megafonów dookoła bazy rozległ się dźwięk że właśnie została zainicjowana sekwencja obronna i zaczęły się ostrzelać. Wieżyczki podniosły swoje karabiny maszynowe do góry i zaczęły nieprzyjemnie piszczeć śledząc ruch otoczenia. W końcu ta najbliższa zaczęła ostrzelać lecz nie strzelała długo gdyż granat E.M.P. rzucony przez Morgana trafił idealnie niszcząc procesor i czujniki ruchu. Tak okaleczona wieżyczka obronna dostała zwarcia po czym nastąpił mały wybuch a eksplodująca amunicja zasypywała pobliskie otoczenie. W tym czasie Jack, Morgan i Jerry dobiegli do budki strażniczej, która pomimo swojego sędziwego wieku i niezbyt trwałej konstrukcji pozostała w nienaruszonym stanie, zupełnie jakby czas się dla niej zatrzymał a wielkiej wojny nigdy nie było. W środku było jedno metalowe krzesło, biurko, przy którym stał komputer i jakieś kartki z różnymi napisami, przycisk do podnoszenia szlabanu blokującego wjazd do bazy. Obok komputera stał kubek, w którym było tylko coś na wzór torebki po herbacie i przywieszki oznajmiającej, że poprzedni właściciel pił napój marki EXODUS. Zupełnie za komputerem stała pusta, czarna puszka po jakimś przedwojennym piwie oraz popielniczka wypełniona po brzegi kiepami.

- Widocznie na zmianie nie wolno było robić tego co tygrysy lubią najbardziej. Zaśmiał się Jack. Dobra, musimy jakoś wejść do środka, jeśli cokolwiek tam jest musi być kurewsko cenne

skoro jest w ten sposób bronione...

- Heh to baza wojskowa a nie włam do budki z hotdogami dodał Morgan, łatwo nie będzie.

- Jack, postaraj się zniszczyć tą wieżyczkę po prawej, ja rzucę granat w stronę bazy, zobaczymy skąd padną strzały, potem trzeba będzie kombinować jeśli się okaże że jest ich tutaj więcej niż 2...

Jack umiejscowił się przy lekko uchylonym okienku, przymierzył do mechanizmu sterującego działkiem. Wystrzelił, niecelnie jednak gdyż pociski odbiły się od pancerza. Wieżyczka zaczęła się podnosić, w tym momencie oddał kolejny strzał ryzykując kontrą. Jack zawsze miał wiele szczęścia co doprowadzało do fortunnych zbiegów okoliczności. Trafił w motywację, co unieszkodliwiło mechanicznego przeciwnika na dobre. Ovitiz wychylił się przez drzwi, rzucił granatem w stronę oddalonych o jakieś 100 metrów drzwi wejściowych do bazy. Zanim granat upadł został rozstrzelany w powietrzu przez co najmniej 4 wieżyczki a nad głowami Morgana i Ovitza przeleciały z świstem rakiety ziemia powietrze.

- No to mamy teraz przejebane... Stwierdził odkrywco Jack.

- Wieżyczki jakoś strzelają, musi być tu, więc prąd... Skoro jest prąd to komputer też musi działać!

Jack jako zwiadowca infiltrator by w stanie poruszać się po danych interfejsach bez większych problemów nacisnął na blaszanej obudowie stojącej pod niewielkim blatem stołu przycisk Power. Obudowa się rozświetliła na zielono i czerwono, ze środka dało się słyszeć pisk, po czym na ekranie pojawiło się logo systemu, przypominające oznaczenie bazy jakie gdzieś widać było wymalowane na ścianach budynku. Ekran nagle rozbłysnął niebieskimi kolorami i pojawił się obszar roboczy, zaraz potem automatycznie pojawił się dziwny program który poprosił o nazwę użytkownika i hasło. Co prawda na monitorze była przyklejona kartka na której pisało "user: Smith" ale miejsce gdzie powinno znajdować się hasło było już bardzo słabo widoczne i części liter nie dało się odczytać. Po kilku próbach, poprawnym hasłem okazało się "winshit". Po wprowadzeniu tego hasła pojawiła się lista możliwości. Wśród nich była dezaktywacja wieżyczek strzelniczych, co Jack zaakceptował z największą przyjemnością. Po kilku problemach związanych z archaicznym systemem sterowania komputerami wreszcie można było spokojnie wjechać do bazy ciężarówką. Ovitiz zaparkował pojazd na sporym dziedzińcu który w okresie świetności bazy chyba był miejscem zbiórek i apelów, za czym przemawiała nienaganna nawierzchnia, dużo lepsza niż w pozostałej części kompleksu. Podeszli do drzwi, jednak nie znaleźli nawet czegoś co przypominało by klamkę, wyglądało to jakby baza była hermetycznie zamknięta od środka, pomimo wydania polecenia otwarcia. Rozglądali się jeszcze w około szukając jakiegokolwiek sposobu dostania się do środka. Wkrótce Morgan w gąszczu generatorów prądotwórczych firmy Watzz znalazł małe zejście w dół. Zszedł do niewielkiego pomieszczenia technicznego w którym znajdowały się najwidoczniej rury kanalizacyjne. Ponieważ odór który tam panował powodował zawroty, Morgan założywszy hełm, który pomógł mu znacznie dotrzeć między rurami do małego przełącznika, który był już dosyć mocno zardzewiały. Złapał go, ale rączka się urwała. Cholera – pomyślał Morgan, po czym złapał za sypiący się przełącznik i zmienił jego pozycję. W tym momencie dało się słyszeć ciche włączanie się prądu w całej bazie. W małej piwnicznej włączyło się światło a z dalszych elementów instalacji zaczęło dopływać świeże powietrze. Morgan dostrzegł małą puszkę z napisem "Achtung! Zyklon B", nie wiedział zbytnio co to jest więc postanowił że nie będzie się tym zajmować. Wyszedł na górę. Zrobiło się już trochę ciemno jednak baza była całkowicie oświetlona. Przy otwartym teraz już wejściu do bazy czekali na niego oparci o ścianę i palący papierosy Jack i Jerry. Na jego widok uśmiechnęli się, brama była już otworzona. Weszli ostrożnie do środka i spotkała ich niespodzianka. Z wykrywaczy dymu rozległ się pisk i z sufitu

spadł na nich rześisty strumień wody gasząc ich papierosy i uśmiechy na twarzach. Trzeba było jarać?! Dojechał z ironicznym zapędem Morgan. Jack został zgaszony zarówno przez wodę jak i to co się stało. Dobrze że to nie systemy obronne chociaż kto wie skomentował Ovitz. Gdy system zraszaczy wyłączył się nastąpiła chwila ciszy po czym ruszyły się wentylatory z ciepłym powietrzem osuszając wszystko. Stali teraz na suchej podłodze, przed nimi był wąski korytarz prowadzący na wprost z jednym odbiciem w lewo.

- Prosto nie ma szans iść, to pole magnetyczne nie przepuści niczego... Powiedział smutnym głosem Jack po czym rzucił pustą butelką w pole które natychmiast rozerwało butelkę przemieniając ją w kupkę pyłu.

- No to trochę niewesoło... Trzeba znaleźć jakiś konkretny sposób żeby się tam dostać, a jak z pociskami? Zapytał Morgan.

- Zaraz się przekonamy! Odpowiedział Ovitz ładując serią w pole elektromagnetyczne jednak wszystkie pociski zostały powstrzymane.

- A nie da się zniszczyć kawałka ściany obok pola? Zapytał Jack.

- Nie, to są mocne, zbrojone ściany, nie przebije ich nawet bomba atomowa...

- Może uda nam się znaleźć coś tutaj... Powiedział Ovitz zabierając się za otwieranie półek w biurku.

Szukali spory czas jednak jedyne co udało im się znaleźć to holotaśma. Postanowili ją odtworzyć na jednym z komputerów. Po uruchomieniu na ekranie pojawiła się twarz siwego, wąsatego żołnierza, najwidoczniej wysokiego rangą, o czym mogły świadczyć liczne medale przypięte do jego munduru, który na taśmie wyglądał jakby został ubrany w pośpiechu gdyż guziki były nierówno zapięte a mankiety i kołnierzyk wywinęte na lewo. Sam żołnierz wydawał się zdenerwowany czytając z kartki wiadomość o treści: "Informacja dla personelu. Ewakuacja Składu Wojskowego Sierra została przyspieszona o tydzień. Instalacja systemów bezpieczeństwa i obrony musi zostać do tego czasu ukończona. Wszyscy są zobowiązani do pobrania nowych rozkazów od szefów sekcji. Od tej chwili wprowadza się ściśle procedury bezpieczeństwa. W trakcie przybywania w bazie należy nosić ze sobą identyfikator. Z rozkazu generała Cliftona. Tu wiadomość się urywała. Podeszli do terminala koło przejścia broniącego przez pole magnetyczne. Jack dobrał się na chwile do komputera po czym pole nagle zniknęło.

- Jak to zrobiłeś? Zapytali naraz Ovitz z Morganem.

- Wystarczyło nacisnąć naraz Control, Alt i O i system się rozkraczył, mam nadzieję, że reszta będzie równie łatwa do obejścia...

przeszli dalej. Za zwykłą szybą mogli zobaczyć małe biuro. Podeszli do niego, rozbili szybę po czym przeszli spokojnie przez rozbite okno. Ovitz stanął przed komputerem. Na ekranie widniał czerwony napis ostrzegawczy: System bezpieczeństwa Skynet. Wykryto intruzów – Obszar zewnętrzny. Rozpoczęto Automatyczną naprawę... Brama Główna - Awaria. Ponowne uruchomienie – Brama Główna zgłasza, że zasuwę znajdują się na miejscu. Powrót do trybu oszczędzania energii.

Ovitz jeszcze chwilę pokręcił coś przy komputerze po czym zdenerwował się i tak mocno uderzył ręką w klawiaturę terminala że ten się wyłączył

- Dobrze że nie masz kobiety, jakbyś się z nią obchodził równie delikatnie to dzieci mógłbyś się nie doczekać... Parsknął śmiechem Jack, Morgan tłumił śmiech jednak nie bardzo mu to wychodziło. Ovitz coś burczał sobie pod nosem po czym wyszli, tym razem już drzwiami. Stali koło windy, jednak postanowili się rozejrzeć jeszcze po bazie, poszli najpierw w stronę południowo-wschodnią. Znajdował się tam blok medyczny. Przeszli przez automatyczne, metalowe drzwi do dużego pomieszczenia, w którym stały cztery łóżka oddzielone od siebie ścianą. W jednej ze ścian Jack dostrzegł skrytki, postanowił się im nieco bliżej przyjrzeć. Nie

było w nich nic wartościowego oprócz kilku rad away i rad-X oraz kilku stimpaków, które zapakował do kieszeni pancerza. Przeszli przez kolejne drzwi, mając nadzieję na kolejne znaleziska medyczne. Jednak tym razem weszli do sali operacyjnej. Tutaj znaleźli tylko jakiś pojemnik z dziwnie smakującym dżemem. Jak się chwilę później okazało, to co Jack wziął za dżem było żelem biomedycznym do konserwowania tkanek żywych aby się regenerowały. Oprócz tego znaleźli w podobnym słoiku ludzkie oko. Tak zakonserwowani po stwierdzeniu że cała część medyczna została dokładnie przeszukana wyszli z niej. Skierowali się do pomieszczenia umieszczonego centralnie, w samym środku pierwszego poziomu bazy. Po wejściu, okazało się jednak że to pomieszczenie treningowe. Postanowili więc chwilę się odprężyć i skorzystać z opuszczonej sali szkoleniowej. Po kilku chwilach spędzonych przy workach treningowych i ławeczkach ze sztangami wyszli do pomieszczenia które okazało się łaźnią. Korzystając z chwili wolnego czasu po uprzednim sprawdzeniu czy woda w ogóle płynie w rurach wzięli prysznice, po czym poszli na kwatery mieszkalne. Tam Jack i Morgan znaleźli trochę przydatnej dla siebie amunicji. Ovitza nie miał tyle szczęścia, jedyne co udało mu się znaleźć stare pancerze, kilka strzelb i dziwna, nie pasująca do żadnego z posiadanych sprzętów amunicja.

Podeszli więc do windy. Tam czekał na nich skaner siatkówki oka. Morgan przyłożył oko które znalazł na sali operacyjnej. Drzwi windy z ciężkim zgrzytem otwały się. W środku było czystko, nie było widać nawet odcisków palców na panelu który pokazywał jazdę na 3 możliwe kondygnacje. Wybrali po krótkiej konsultacji drugi poziom. Po wyjściu z windy zobaczyli że są tylko dwie strony w które mogą się udać i każda była zabezpieczona przez taki samo pole jak przy wejściu. Szyba była za mała aby się przez nią przecisnąć. Tym razem Jack podszedł do przejścia, zaczął szukać i znalazł emiter pola siłowego. Chwilę pokombinował, nastąpił lekki błysk i pole przy jednych drzwiach zgasło.

- Jak to zrobiłeś? Zapytał zdziwiony Jerry.

- Ja... Chciałem tylko... Odezwwał się zmieszany Jack.

- Pierwsza rzecz którą udało CI się pozytywnie spierdolić! Zaśmiał się Ovitza po czym przeszli wszyscy przez przejście. Ich oczom ukazał się widok kilkudziesięciu robotów bojowych, uzbrojonych w wyrzutnie rakiet i karabiny maszynowe. Obok nich były jeszcze mniejsze roboty, których podstawą była antygravitacja więc raczej nadawały się tylko do zwiadu. Szli spokojnie, obawiając się ataku robotów jednak nic takiego nie nastąpiło. Weszli do pomieszczenia z małym oknem. Tam komputer pokazał informację o wykryciu intruzów na drugim poziomie. Jack znowu zaśmiał się z komputerowych umiejętności Jerrego, jednak ten wyłączył całkowicie pola siłowe i mina Jackowi nieco zrzędła. poszli do dużego pomieszczenia, znajdował się tam także wózek widłowy, jednak po bliższych oględzinach okazał się niesprawny. Oględziny tego poziomu nie przyniosły większych zdobyczy. Znaleźli kilka pałek policyjnych trochę amunicji i broni o słabej sile ognia. Ruszyli więc na poziom trzeci. Tam na wstępie komputer zapytał się o tożsamość, lecz nie znajdując podanych przez Ovitza danych wyłączył pola siłowe na drodze do pomieszczenia dowódcy w celu aktualizacji danych. Ruszyli między robotami różnego typu. Przeszli kilka metrów po czym stanęli przed drzwiami które nagle się otworzyły. W środku nie było nikogo, bo z resztą kto mógł specjalnie na nich czekać w dawno opuszczonej bazie wojskowej...

W pomieszczeniu zidentyfikowali siebie, jako nowo przybyli generałowie dzięki czemu zapewnili sobie dostęp do wszystkich poziomów, jak również pozbyli się dręczących ich pól siłowych. W koszu na śmieci znaleźli holotaśmę z zapisem przeznaczenia bazy wojskowej w której się znajdowali, jednak jej stan pozwolił tylko na odczytanie końcowych fragmentów taśmy. Z informacji tam zawartych dowiedzieli się że baza została całkowicie zautomatyzowana z powodu braku wykwalifikowanego personelu. Poszli dalej, koło wielkiego robota skręcili w

prawo. Przeszli przez drzwi do niewielkiego pomieszczenia, w którym znajdował się tylko biurko, krzesło i komputer. W biurku był zapis ostatnich wiadomości nadanych przez Galaxy News Networks. Wynikało z tego że wielka wojna była wynikiem złych posunięć politycznych prezydenta z którego jednak ludzie byli zadowoleni. Prezydent USA postanowił wydobyć ostatnie złoża ropy naftowej na ziemi. ONZ i inne państwa na świecie prosiły USA o udostępnienie części źródeł jednak Amerykanie byli nieugięci. Do czasu kiedy Chińczycy zaatakowali Alaskę. Po tym fragmencie wszystko się urywa.

- No, to teraz przynajmniej wiemy dlaczego większość samochodów działała na ogniach energetycznych. Zaśmiał się Morgan. Ujedzie, ale dobry silnik na benzynę ma moc i ducha.

- Ano, ale gdyby się tak nie stało to możliwe że teraz byśmy sobie żyli w ładnym domku z ogródkiem, siedzieli przed projektorem oglądając filmy... Powiedział wyraźnie zasmucony Ovitz...

- Może, ale nie wiesz czy by tak było, poza tym mamy coś do roboty... Nie czas na sentymenty...

Wyszli z małego biura i skierowali się na wprost. Przeszli ponownie obok wielkiego robota strażniczego gdy podeszli do drzwi z tabliczką "nieupoważnionym wstęp wzbroniony"

- Jesteśmy generałami, więc chyba nam wolno! Zaśmiał się Morgan.

Podeszli bliżej, drzwi się otworzyły. W środku stał ogromny komputer, większy niż ich ciężarówka. Wszędzie było pełno urządzeń do zapisu i odczytu różnego rodzaju danych. Pomieszczenie wyglądało zupełnie jak nie z tego świata. Wszystko działało w jak najlepszym porządku i w dodatku nie tknięte ręką administratora od prawie stu lat! Podeszli do jednostki z monitorem, która była bezpośrednio podłączona do ogromnego komputera. Ciekawe na co Cię stać małeńka – mrucał do siebie jak stojąc przed komputerem i wprowadzając różne komendy.

- Gdzie on się tego nauczył? Zapytał Ovitz Morgana.

- Nie mam bladego pojęcia ale najwyraźniej jest w tym dobry...

Po krótkiej chwili odwrócił się do nich z holotaśmą w ręku i szczerym uśmiechem na twarzy.

- To jest zapis ostatnich dni bazy, poza tym dostałem kilka informacji odnośnie badań nad mózganymi cybernetycznymi. Podobno na niższym poziomie jest spore laboratorium genetyczne gdzie są umieszczone wszystkie rodzaje mózgow, jakie były na tym świecie przed wojną i zaraz po niej! To może być szansa na odtworzenie świata! Pomyślcie ile moglibyśmy się dowiedzieć z mózgu człowieka który umarł na krótko po wojnie!

- W sumie to nie wiem czy chciałbym to widzieć... Powiedział Jack, któremu na samą myśl o dziesiątkach tysięcy pojemników z mózganymi robiło się niedobrze...

- No cóż, nie jest to może najprzyjemniejszy widok, ale Ovitz ma rację. Moglibyśmy się dowiedzieć wielu przydatnych informacji, wrócić po G.E.C.K.a do Krypty i tutaj zacząć nowy rozdział w dziejach ludzkości! Powiedział podekscytowanym głosem Morgan.

Nie trzeba było więcej słów, w trójkę poszli do windy i zjechali na czwarty poziom.

Wysiedli z windy, poszli najpierw w stronę małego biura jednak komputer z którego chcieli skorzystać okazał się niesprawny. Wrócili, więc w okolice windy i wybrali inny korytarz. Szli kilka minut zanim doszli do strefy mieszkalnej. Jedne z drzwi były całkowicie rozszarpane, w środku można było znaleźć kilka opakowań silnych medykamentów. W pokoju obok leżały dziwne zwłoki z nienaturalnie wielką głową, jednak nie było przy nich czegokolwiek godnego uwagi poza wielką księgą wiedzy. W pomieszczeniu przy końcu korytarza, w którym znajdował się stół do usuwania wnętrzości stał też komputer. Umożliwiał on przeszukanie danych dotyczących mózgow zebranych w laboratorium znajdującym się w sąsiednim pomieszczeniu. Było coś jeszcze, Ovitz odnalazł w zaszyfrowanych plikach dziennik prowadzony przez jednego z opiekunów laboratorium. Wynikało z niego że przeprowadzano tutaj też eksperymenty na

żywych ludziach, testując na nich nowe leki i ich mieszaniny. Eksperyment jednak skończył się na samobójstwie “obiekta”. Dziennik naukowca kończy się informacją że na krótki czas załoga bazy zostanie ewakuowana, najwidoczniej wszyscy wmawiali to innym że wkrótce wrócą i będą kontynuowali swoje rozpoczęte badania...

- Jak widzimy trochę długo trwa reorganizacja bazy... Myślicie że kiedyś będą chcieli tu wrócić? Zapytał Jerry.

- Raczej tak... Kto by chciał się pozbyć takiego zaplecza technicznego? Z drugiej zaś strony oni wszyscy mogą być już na drugim świecie. Odpowiedział Morgan

- To co z tymi mózgami? Zapytał Jack któremu wyraźnie zbierało się na wymioty widząc za szybą niezliczone rzędy pojemników.

- Trzeba zobaczyć, może akurat się uda tutaj stworzyć nowy dom...

Poszli do komputera, Jack wprowadził kilka komend po czym przez podajnik w ścianie robot obsługujący wydawanie mózgow przekazał model cybernetyczny,

- Co to masz? W Hannibala Lectera się bawisz? Zapytał zdziwionym głosem Ovitz, Lecter zjadał części ciała, to jest mózg ludzki, wspomagany cybernetyką, wszystkie, nawet najdalsze wspomnienia zostaną przywołane, i to ty go będziesz nieść.

- No dobra, mamy mózg... Teraz tylko pytanie, gdzie my to podłączymy? Zapytał ze zdziwieniem Morgan.

- Na trzecim poziomie jest robot, który odczytuje wszystkie dane z “obektów badań”, musimy się do niego dostać, nie ma na co czekać...

Ruszyli w stronę windy, za nimi dało się jednak słyszeć drobny szmer. Popatrzyli się za siebie jednak nie zauważyli niczego dziwnego. Winda otwarła się natychmiastowo. Morgan nacisnął guzik odpowiadający za jazdę na trzeci poziom jednak nic się nie wydarzyło, winda nawet nie drgnęła.

- Co jest do cholery? Nie mówcie tylko że ten sprzęt działa równie sprawnie jak u nas w krypcie bo mnie już całkiem cholera trafi...

Nagle coś uderzyło w drzwi, które po chwili się otwały. Przed nimi stały teraz zwłoki które wcześniej widzieli w jednym z pomieszczeń. To był jeden z obiektów badań, który miał umrzeć z powodu zatrucia lekami. Jego sucha i pomarszczona skóra była gdzieś tak sucha że widać było kości. Postać nagle wyciągnęła w ich kierunku rękę i otwarła usta, jednak nic z nich nie wyleciało oprócz głuchego syku. Morgan uruchomił miotacz płomieni, wycelował w ożywieńca ogień strawił resztki ubrania oraz suchą skórę w której postać była ubrana. Dziwny obiekt ruszył w stronę windy z wyciągniętą jedną ręką z której wisiała płonąca skóra i przypieczone resztki ubrania. Ovitz uruchomił Volcano jednak pociski przelatywały przez wroga. Postać była już na wyciągnięcie ręki kiedy Jack odbezpieczył granat i wsadził go do ust atakującemu zombie. Jerry i Morgan wybiegli z komory windy do której siłą wpełchnęli nieumarłego. Jack nacisnął przycisk który posyłał windę na górę po czym samemu ledwo co udało mu się uciec z komory zanim drzwi się zamknęły. Winda ruszyła, dało się słyszeć eksplozję granatu po czym kabina spadła z głośnym hukiem wykrzywając lekko drzwi szybu.

- No to czeka nas wyprawa po schodach... Powiedział Jack puszczając pawia, tym razem jednak na pancerz Morgana, przez co Ovitz mało co się nie zakrztusił śliną ze śmiechu.

Przeszli na klatkę schodową. Szli krętymi stopniami do góry. Po kilku chwilach i szukaniu odnaleźli robota który miał służyć do odczytów z mózgow. Gdy Morgan umieścił mózg w miejscu do tego przeznaczonym robot odezwał się z syntezatora głosu - system Skynet sprawny, uruchamiam procedurę naprawczą bazy, roboty bojowe sprawne, roboty szpiegowskie sprawne, system bramy AWARIA, wieżyczki strzelnicze na zewnątrz AWARIA, intruz na poziomie trzecim! Rozpoczynam instrukcję bojową!

- O kurwa! Co teraz?

- Nie wiem jak Wy ale ja spierdalam! Krzyknął Jack który momentalnie wybiegł z pomieszczenia, jednak na jego drodze stanął robot bojowy który uruchomił działa. Jack padł na ziemię zanim robot wystrzelił a Jerry z Morganem odskoczyli na bok przygotowując broń do strzału. W tym momencie przybył kolejny robot. Zainicjował najwyższy stopień zagrożenia po czym wystrzelił rakiety, jednak ta trafiła w pierwszego robota który się pojawił.

Ovitz chciał odłączyć zasilanie dla robota z mózgiem cybernetycznym jednak został porażony prądem, na szczęście motywator też się uszkodził co zapobiegło dalszym atakom.

- Nic Ci nie jest? Zapytał Morgan podchodząc do leżącego na ziemi Ovitz.

- Nie, to tylko lekkie doładowanie było. Odpowiedział podnosząc się z ziemi.

- Co to w ogóle miało być?

- Nie mam bladego pojęcia, ale przypuszczam że jedna z opcji obronnych na wypadek próby kradzieży.

- Wynośmy się stąd szybko, zanim nie włączą się kolejne funkcje obronne...

Ruszyli w stronę schodów, przeszli obok zniszczonego robota bojowego oraz obok tego co przybył jako ostatni, ten stał teraz nieruchomo, w odbiciu soczewek jego kamer było wyraźnie widać trzy postacie. Nagle robot się poruszył, wyprostował się, schował działa po czym oddalił się do komory spoczynkowej. Poszli dalej. Przeszli schodami na pierwszy poziom. Gdy wychodzili Jack uaktywnił pola siłowe i zmienił hasło dostępu w komputerze po czym zapisał je na kartce i wrzucił niedbale do biurka.

- Co robisz? Zapytał lekko zdziwiony Morgan.

- Jak to co? Hasło zapisuję, może komuś się jeszcze przyda... Odpowiedział z uśmiechem.

- Dobra, spadamy stąd, im szybciej i dalej od tego miejsca tym lepiej... Powiedział Jack po czym pobiegł w stronę ciężarówki. To samo zrobili Jerry z Morganem. Po uruchomieniu silnika usłyszeli ponowny głos z taśmy, “ jesteście na terenie bazy wojskowej Sierra One! Oddalście się tak szybko jak to możliwe, w przeciwnym razie zostaniecie wyeliminowani!

Odjechali, czym prędzej, zostawiając za sobą swoistą zasłonę dymną składającą się z kurzu, pyłu i dieslowskiego wydechu. Zaraz po odjeździe wieżyczki zostały aktywowane jednak ciężarówka była już poza ich zasięgiem.

- Coś za dużo się ostatnio dzieje...

- Ale przynajmniej tym razem nikogo nie zabiliśmy! Powiedział zadowolony Jack.

- Jak to nie? A ta kreatura co nagle ożyła?

- Skoro ożyła to znaczy że wcześniej została zabita, nie da się dwa razy zabić jednej osoby... Powiedział z uśmiechem na twarzy Ovitz kiedy odpalał papierosa.

- No to przynajmniej tyle mamy już z głowy, powiedział Morgan odwracając się za siebie aby zobaczyć oddalającą się bazę. W tym momencie uderzył w słup, jednak przeszkoda na którą wpadł była już tak skorodowana że wystarczyło włączyć wycieraczki aby oczyścić szybę. jechali jeszcze godzinę zanim zrobiło się całkiem ciemno, nieopodal było widać światła miasta Nowe Reno.

- Co panowie, przydało by się wstąpić na jakiś nocleg co? Zapytał z uśmiechem w głosie Jerry.

- Nie zabiły nas mutanty, zombie, ghule, ani inne tego typu stwory nie mówić o ludziach więc chyba nic się nam już nie stanie... Stwierdził pogodnie Morgan.

Jechali jakieś 20 minut zanim dotarli na ulicę nad którą wisiała tablica z napisem “Nowe Reno, największe małe miasto na świecie” przy czym Nowe było dopisane różową farbą w odcieniu przypominającym flaminga. Wjechali na parking gdzie stały wraki podobnych ciężarówek dieslowych oraz nietypowe konstrukcje pojazdów, które jeszcze za czasów kiedy

mogły się poruszać służyły do ataków, oraz egzekucji, poprzez nabicie na kolce przymocowane amatorsko do konstrukcji samochodu.

- To co, do rana śpimy a potem postaramy się o jakieś części do naszego cadillaca? Zapytał Morgan ziewając.

- Yep, przytaknął Jack patrząc na śpiącego już Ovitza.

Noc minęła szybko i bez żadnych niespodzianek. Rano gdy we trójkę się obudzili spostrzegli że na pace ich samochodu nie ma ani pancerza, ani Volcano mk.2 ani tym bardziej cadillaca! Wyszli z ciężarówki. Na ziemi było widać tylko ślady opon innego dużego samochodu.

- Co teraz? Mają nasze zapasy ale nie na wiele im się je uda użyć...

- Może i mają, ale na pewno nie będą się nimi długo cieszyć... Powiedział Jack zaciskając pięści i siadając za kierownicą. Uruchomił silnik, Jerry i Morgan ledwo co zdążyli wskoczyć na pakę zanim Jack ruszył z piskiem opon. Jechał jak szalony, pozostawiając za sobą krzyki niezadowolonych ludzi. Ale Jack się nimi nie przejmował, chciał tylko odzyskać swoją własność. Po kilku minutach wariackiej jazdy dotarli do starej stacji benzynowej, za którą stał sporej wielkości garaż z otwartymi bramami wjazdowymi. W środku widać było zapalone światło. Jack wyskoczył z ciężarówki zabierając Bozara, Jerry zeskoczył z paki z Morganem i również przygotowali swoją broń do ataku. Weszli w trójkę do magazynu gdzie stało kilka osób oraz podziurawiony Cadillac, który im ukradziono. Jack bez namysłu strzelił do pierwszej osoby którą zobaczył. Dziura którą spowodował pocisk odłamkowy była sporych rozmiarów. Martwy człowiek z głuchym łoskotem padł na ziemię brudząc posadzkę krwią. Reszta złodziei zabrała co tylko mieli pod ręką i rzucili się w kierunku trzech ludzi w pancerzach wspomaganych którzy przyszli po swoją własność. Morgan podgrzał pierwszą linię atakującą. Już po chwili przeraźliwy krzyk płonących drani wypełnił okolicę a dookoła rozległ się smród palonego ludzkiego mięsa. Reszta była już nieco mniej śmiała, schowali się za szafkami, jednak Ovitz zrobił sobie serię z Volcano i strzelał na oślep po całym magazynie, po kilku chwilach kałuże krwi pokazały gdzie się schowali ciesząc się jeszcze chwilę temu z udanego łupu złodzieje. Podeszli do swojego wozu który właśnie udało im się odbić, w środku leżał pancerz wspomagany i nieczynne Volcano mk.2. Przeszli przez jedne drzwi które prowadziły do czegoś w rodzaju biura. W środku było kilka szafek na ubrania, duży blat z planami. Pod biurkiem siedział szef bandy który wystrzelił w nogi żadnego zemsty Jack'a, jednak kula się odbiła od pancerza i rykoszetem trafiła bandytę w ucho. Jack schylił się pod zabudowane biurko i wyciągnął krwawiącego złodzieja

- I co teraz cwaniaczkę? Ładnie to tak kraść cudzy sprzęt?

- Jak to kraść? Ten złom był leżał na uboczu, zabraliśmy go tylko z chłopakami!

- Nie pierdol mi tutaj tych farmazonów, lepiej przyznaj się do wszystkiego to będzie mniej bolało... A przynajmniej umrzesz szybciej...

- Aa-a-ll-eee jj-j-j-a nnic.. Jąkał się złodziej jednak Jack ze zniecierpliwienia strzelił mu w dłoń tak, iż miała teraz dodatkowy otwór zapewniający dożywności wentylację.

- To Cię nauczy nie wyciągać ręki po cudzą własność buraku... Idziemy panowie... Powiedział do reszty Jack po czym zapakowali swoje auto na pakę i odjechali na południe w stronę Cienistych Piasków.

6. Tandi u władzy

Jechali w skwarze atomowej pustyni. Co jakiś czas mijali jakieś ruiny budynków lub pojedyncze oznaki znajdującej się tutaj, w odległej przeszłości cywilizacji. Mijali nawet reklamę jakiegoś przedwojennego telefonu z logiem nadgryzionego jabłka w kolorach militarnych z napisem głoszącym, że nawet wojna nie powstrzyma jego działania. Jednak chyba jakiś niezadowolony użytkownik dopisał, że wojna może nie, ale upadek z 10 centymetrów potrafi go skutecznie unieszkodliwić. Czas mijał szybko. W podróży nie przeszkadzał ani brak sprawnego radia ani telepiący się na pace samochód z pustym bakiem. 3 dni drogi z okolic Nowego Reno do Cienistych piasków spędzili na dopijaniu resztek alkoholu, paleniu papierosów i przeszukiwaniu zapasów w poszukiwaniu resztek jedzenia. Ovitiz w pewnym momencie poinformował, że miło by było jakby wpadli na chwilę do Opactwa oddać samochód skoro mają ciężarówkę ale został zignorowany. Morgan przy wolnych chwilach żył wspomnieniami oraz sprawdzał „stan techniczny” pojazdów analizując działające w nich mechanizmy, poprawiając niedociągnięcia i ciesząc się nowym obiektem na kołach. Cieszyła go myśl iż nawet na pustkowiu pozostały pojazdy na chodzie.. Gdzieś w końcu musiały mieć swoje małe punkty techniczne, jak sądził. Jack natomiast obliczał ile czasu zajmie im dojechanie obraną trasą i nasłuchiwał naderwanego radia w godzinach odbioru. Radioodbiornik jednak milczał. Trzeciego dnia jazdy, w kilka godzin po zmianie kierowcy z Jack'a na Morgana (w czasie gdy Ovitiz sobie smacznie spał trzymając jedną rękę w gaciach) w oddali zaczęły pojawiać się mury Cienistych piasków. Jednak coś było nie tak, jak trzeba. Z kominów nie unosił się dym, a w okolicy nie było śladów karawan. Dojechali niepewnie w przeciągu 30 minut. Na ulicach było całkiem cicho i pusto, gdzieś w dal walały się puste beczki lub potargane gazety. Gdy tylko znaleźli się na placu centralnym z budynków wyskoczyło kilku uzbrojonych ludzi, zaczynających podchodzić coraz to bliżej.

- Co tu się do cholery dzieje? Zapytał zdziwiony zaistniałą sytuacją Ovitiz.

- Myślałem że tu obowiązuje zakaz posiadania broni... Odpowiedział zirytowany sytuacją Jack.

- Spierdalamy! Krzyknął nagle Morgan na widok człowieka uzbrojonego w wyrzutnie raket wycelowaną w pojazd. Wszyscy błyskawicznie uciekli z pojazdu, zbierając co było na wierzchu czyli broń i swoje plecaki. Zaraz potem świst rakiety przerwał względną ciszę dobywając celu i zmieniając ciężarówkę wraz ze znajdującym się na jej pace krążownikiem szos w kupę płonącego żelastwa. Wtedy to też odezwały się mnogie strzały z broni maszynowej szatkujące wszystko, co znajdowało się w pobliżu ciężarówki. Wybuch pocisku raketowego oraz pojazdu z zapasami paliwa i amunicji stał się istną bombą i wyrządził pewne szkody pancierzom wspomaganym. Długie serie nisko kalibrowych pocisków nie wyrządziły znacznych szkód osaczonym. Pierwszy zareagował Jack. Owiany czarnym dymem, po przebiegnięciu kilku metrów w kierunku sterty kamieni i przybraniu odpowiedniej pozycji oddał strzał z Bozara w najgroźniejszego napastnika. Ten jednak przysiadł przy murku z którego wyprowadził raketę. Zwiadowca dostrzegł nie lada okazję do zaskoczenia przeciwnika w niekonwencjonalny sposób. Przy murku, za którym skrywał swe oblicze przeciwnik rósł sobie prawdziwy okaz zmutowanej natury którym okazał się być okazały kaktus. Już po chwili celem stała się jego podstawa. Napastnik właśnie zamierzał przeładować swoją armatę gdy na całe szczęście (które dopisało zresztą obficie Jack'owi) poharatany obiekt przewrócił się na względnie bezpiecznego od bezpośredniego obstrzału strzelca. To musiało boleć pomyślał słysząc przenikliwy krzyk. Ovitiz odwrócił się przerażony w stronę płonących szczątków ich środków transportu. Palące się, powykręcane wraki przypominały mu to chwile gdy banda oprychów o mało co nie zabiła go w okolicy Opactwa

natomiast Morgan, kiedy już przestał się palić po śladowym odprysku ognia z ciężarówki, stał jak oparzony widząc jak płonie to, na czym w gruncie rzeczy mu zależało. Wstrzymać ogień! Krzyknął po chwili ktoś. Nagle wyłoniła się córka burmistrza z liczną obstawą uzbrojoną w miotacze płomieni. Tandi z wycelowanym w Jerrego karabinem szturmowym krzyknęła: poddajcie się albo spłoniecie jak wasz dobytek.

- Ale o co chodzi? Zapytał Jack z wahaniem.

- Wracamy tylko zapytać o kilka rzeczy! Krzyknął Morgan, ale w tej chwili otrzymał strzał w plecy. Nie czekając na kolejny odwrócił się i zobaczył burmistrza Aradesha z jeszcze większą bandą dobrze uzbrojonych najemników. Burmistrz spoglądał teraz na to pobojuwisko z dużą i jeszcze nie do końca zagojoną blizną, która ciągnęła się od połowy czoła przez cały policzek i kończyła aż przy ustach. Morgan wycelował w niego z pistoletu, jednak po chwili opuścił broń i podniósł ręce do góry, na jego znak to samo uczyniła reszta. Kilku dobrze zbudowanych ludzi podeszło do nich w celu rozbrojenia.

- Co Ty u licha robisz? Zapytał szeptem Ovitza.

- Spokojnie, nic nam nie zrobią.

- Nie? To szkoda że przed chwilą mało co nie spłonęliśmy żywcem w naszej ciężarówce!

- Ciszej tam! A wy rozbrojcie ich szybciej! Syknął Aradesh.

Mężczyźni zabrali im broń, następnie próbowali dobrać się do ich pancerzy ale nie mieli jeszcze doświadczenia z tego typu techniką. Szperali trochę przy przełącznikach wbudowanych w pancerzach jednak i to nie przyniosło rezultatu. Zniecierpliwiony burmistrz podszedł do pojmanych i bronią celując do Jacka kazał mu ściągnąć pancerz. Na ten widok Jack wybuchnął śmiechem spowodowanym połowicznie nerwami i bezradnością małej armii. Jednak uderzony w głowę przez Ovitza ściągnął najpierw hełm, a następnie dalszą część pancerza. W miarę postępów tego ściągnięcia Aradeshowi coraz bardziej otwierały się oczy a szczęka opadała ze zdziwienia. Gdy Jack ściągnął całkiem swój pancerz zrobili to także Jerry i Morgan. Twarz burmistrza nagle pobladła. Jeden z jego ludzi podszedł do Morgana i chciał mu związać ręce, jednak burmistrz kazał mu przestać i się oddalić. Człowiek jeszcze chwile protestował przeciwko temu wygłaszając tylko sobie rozumiane tezy jednak ruchem ręki burmistrz ostatecznie go oddalił.

- Co wyście najlepszego uczynili? Zapytał zrozpaczonym głosem burmistrz.

- Chodzi Ci o tę małą zadymę w Kryptopolis? Zapytał Jack z niepewnością w głosie.

- Jaką znowu zadymę? Chodzi mi o najazdy na nasze miasto, czy źle Wam tu było?

- Ale, o co Ci chodzi Aradesh? Odkąd ostatnio wyjechaliśmy z miasta byliśmy tylko w naszej krypcie, Kryptopolis i w okolicach Nowego Reno... Powiedział spokojnym głosem Ovitza.

- To... to w takim razie nie pomyliłem się, co do Was, muszę Was przeprosić, przeprosić za zaistniałą sytuację. Ostatnio mamy tutaj sporo problemów. Z jednej strony pojawiające się radskorpiony, zaraza a z drugiej bandyci, którzy mordują naszych mężczyzn i gwałcą nasze kobiety. Nie mamy dostatecznej siły, aby odeprzeć ich ataki...

Sądząc po armii, jaką tu zgromadziliście sądzę, że odparlibyście nawet atak szponów śmierci rzekł ironicznie Jack

- Aradesh posmutniał.. Odpowiedział, że ludzie ci byli wynajęci na krótki okres, aby przygotować zasadzkę na najeźdźców i niestety okres ich wynajmu właściwie się skończył.. Niestety bez jakiegokolwiek sukcesywnego rozwiązania problemów gnębiących ową miejscowość, tak jakby najeźdźcy wiedzieli o tej zasadzce. Nie mam więcej pieniędzy by opłacać ich wygórowane usługi, źle się stało..

- Wiesz burmistrzu, moglibyśmy Ci pomóc jednak w zaistniałej sytuacji nie mamy się już jak poruszać, a mamy jeszcze kilka rzeczy do zrobienia... Błefował Jerry

- Środek transportu dostaniecie, jeśli tylko rozprawicie się z tymi bandytami. Powiedział chwiejnym głosem, Aradesh kaszłąc na końcu zdania.

- Po takim powitaniu to nie wiem, czy chcę tutaj oddać mocz... Powiedział arogancko Ovitz spluwając pod nogi burmistrza

- Cóż, nie mogę Was do niczego zmusić. Jeżeli chcecie to przemyśleć to możecie zająć miejsce tam gdzie ostatnio... Aha i jeszcze jedno... tym razem trzymajcie broń przy sobie, nie wiadomo, kiedy może nastąpić atak...

Jack poszedł pierwszy, przeszedł przez poszatkowane, drewniane drzwi. Wewnątrz panował bałagan, stoły były przewracane a krzesła połamane. Nagle zza baru wychyliła się starsza kobieta, która gościła ich poprzednim razem. Na jego widok lekko się uśmiechnęła i drżącą ręką wskazała drogę do góry po schodach. Chwilę po nim w barze pojawili się także Ovitz i Morgan z nieciekawymi minami. Ruszyli do pokoju, w którym drzwi były otwarte. Na dużym łóżku siedział Jack zdejmując pancerz.

- Dobra... i co teraz? Zapytał Morgan, jakby obawiał się konieczności zostania w tym miejscu na stałe...

- Musimy zdobyć jakiś środek transportu, nie podoba mi się ta dziura... Stwierdził Jack zdejmując ostatnie elementy pancerza z nóg.

- Więc? U Westina nie mamy zbyt, czego szukać, po tym, co zrobiliśmy w Kryptopolis... Stwierdził Ovitz.

- Zawsze możemy się rozglądać trochę po tej norze, Aradesh mówił, że dostaniemy środek transportu ale moglibyśmy go po prostu podpieprzyć... rzucił Jack jakby mówił na temat pogody na drugiej półkuli.

- Kurwa, Jack, opamiętaj się! Czy wszędzie gdzie się pojawimy musimy wszystko niszczyć? Już i tak za dużo złego się przez nas stało... powiedział Morgan po czym zaczął ściągać swój pancerz.

- Wyluzuj... Co Ci się ostatnio dzieje Morgan? Od jakiegoś czasu jesteś jakiś nieswój...

- O, co mi chodzi? O to, że wszystko gdzie się ruszymy albo płonie, albo się wali, albo zmienia się w mutanty albo w cholere innych dziwnych rzeczy, jakbyśmy nie mogli zrobić przynajmniej jednej rzeczy tak jak być powinna! A na dodatek wysłałeś tych ludzi z Kryptopolis do naszej Krypty, przecież wiesz, że ghule ich tam zabijają!

- Jak nie ghule to promieniowanie, roześmiał się Ovitz. Ten typ stał i mierzył w Jacka z pistoletu, myślisz, że mógłbym coś takiego zapomnieć? Dostał strzelbę i zapas amunicji, powinien umieć o sobie zadbać...

- Ty niczego nie rozumiesz! Wysłałeś go na pewną śmierć a w dodatku kazałeś zebrać ze sobą ochotników! Zrobiłeś to celowo!

- W grupie raźniej, no nie Jack? Roześmiał się Ovitz i ironicznie Jack, ale Morgan tylko rzucił na nich wściekłe spojrzenie po czym usiadł na podłodze, wyciągnął pewne zdjęcie i nie odzywając się do nikogo począł tępo się w nie wpatrywać. W tym czasie Jack i Jerry wyciągnęli jedną z ostatnich paczek papierosów, jaka im została. Po chwili wspólnie zgodzili się na wyprawę do Westina w późniejszym czasie po nowy zapas. Otworzyli sobie po piwie i gadali ściszym głosem o dziwnym zachowaniu Morgana, gdy nagle po cichu otworzyły się drzwi. Stała w nich córka Aradesha, Tandi. Weszła nieśmiało do środka, trzymając małą torbę w rękach. Przytłumione światło z licho zamontowanej żarówki pod sufitem, które padało na jej twarz poprzez spore ilości dymu tytoniowego sprawiało wrażenie, iż była ona znacznie młodsza, niż kiedy widzieli ją kiedyś, kiedy bawiła się z grupą dzieci w okolicach placu centralnego. Dziewczyna popatrzała na nich, lekko odganiając od siebie dym tytoniowy. Spoglądała jakby miała ochotę ich zapytać, czy może z nimi usiąść. Jerry wskazał jej jedno puste krzesło, na

którym powinien siedzieć Morgan, jednak ten niezmiennie pozostawał w zacięzionym rogu pomieszczenia.

- Nazywam się Tandi i...

- Jesteś córką burmistrza, tak wiemy to... Powiedział chłodno, Ovitz.

- Tak – odpowiedziała zmieszonym głosem Tandi, wyciągając powoli w stronę Jacka i Ovitz paczkę papierosów, po czym odłożyła torbę pod krzesło a z jej wnętrza dało się usłyszeć brzdęk butelek – przysłałam Wam opowiedzieć, co się tu dokładnie stało. Tatko jeszcze nie jest w stanie spokojnie o tym opowiadać.

- No, więc słuchamy, opowiedz nam po kolei, co się tu stało? Rzucił Jack wyciągając nowego papierosa i podając zarazem paczkę Jerremu

- Krótko po waszym wyjeździe, Mezzmo, ten typ, z którym się biliście odszedł, krzycząc, że zemści się na wszystkich, którzy się tego dnia przyglądali a całą osadę zrówna z ziemią. Nikt nie brał tego na poważnie. Mezzmo może i lubił się awanturować, jednak nikt nie brał jego powtarzających się gróźb w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie minęło kilka dni, kiedy wjechała tu duża ciężarówka. Wskoczyło z niej kilkunastu opancerzonych bandytów. Strzelali do każdego, kogo tylko dostrzegli. Wtedy z szoferki wyszedł Mezzmo śmiejąc się w głos. Odszukał mojego ojca strzelając po drodze do każdego kto tylko się mu nawinał i rozciął mu twarz na „pamiętkę”. Od tego momentu ataki następowały jeszcze kilka razy, plądrowali i zabijali.. ale teraz byliśmy przygotowani. Niestety większość amunicji została omyłkowo skierowana na waszą ciężarówkę...

- I Cadillaca! Przerwał jej Ovitz, ale ta go zignorowała i mówiła dalej.

- Przysłałam tutaj tylko po to by was przeprosić i błagać abyście pomogli nam pozbyć się tych bandytów!

- Dobra, powiedział Jerry, patrząc z ukosa na Morgana, ale jak mamy to zrobić? Po pierwsze, wysadziliście nasz sprzęt i część amunicji. Po drugie, w zniszczonej ciężarówce mieliśmy ogniwa do naprawy pancerzy. Po trzecie, nie mamy nawet zielonego pojęcia gdzie ci cholerni bandyci mają swoją pieprzoną siedzibę!

- Jeszcze raz przepraszam was za utracony dobytek, ale możecie dostać nasz pojazd. Kiedyś odnaleźliśmy w zasypanym górskim tunelu Humvee. Nasi ludzie doprowadzili go do użyteczności i jest na chodzie, brakuje mu tylko paliwa. Pozostawiliśmy go w ukryciu ale tylko ojciec wie gdzie. Niestety nie możemy poradzić nic na te pancerze, nasze źródło zasilania jest póki co wyłączone z obawy przed atakami najeźdźców ale TOTO może coś wykombinować. Co do kryjówki to przypuszczamy, że znajdują się kilka godzin drogi na południe, zawsze przyjeżdżali z tamtych okolic.

- No dobra, powiedzmy, że się zgodzimy... Co potem? bez zapasów i transportu.. Odezwał się z kąta milczący do tej pory Morgan.

- Będziecie mogli zabrać takie zapasy jakie nam pozostały, jednak nie zostało nam ich zbyt wiele. Co do transportu to porozmawiam z moim ojcem żebyście mogli zatrzymać Humvee. Zostawiam tu moją torbę, macie tam jeszcze trochę tych waszych papierosów i kilka butelek piwa. Mam nadzieję, że do rana się namyślicie. To powiedziawszy Tandi cicho wyszła z ich pokoju, zostawiając za sobą smugi w tytoniowym dymie.

Fajna była, szkoda, że nie dała nam czego innego niż piwo i fajki. Powiedział Jack myśląc głośno. Wkrótce jednak, kamień uderzył w blachę falistą przykrywającą ich okno. Z zewnątrz padł krzyk „słyszałam, nie licz na to!” Wszyscy wybuchnęli śmiechem po czym Jerry stwierdził:

- No, panowie, to jeszcze piwko i fajeczka, potem do wyrka, bo jutro czeka nas pracowity dzień! Otworzyli piwo a Jack i Jerry zapalili jeszcze po papierosie. Noc była ciepła i bezwietrzna i cicha. Może nawet zbyt cicha. To właśnie zaniepokoiło Jacka który zaczął pośpiesznie ubierać

swój pancerz. Budząc Jerrego i Morgana kazał im się ubrać, jednak w odpowiedzi usłyszał chrapanie. Nie przejmując się tym zbitł butelkę o pancerz wspomagany krzyżąc „PIWO ZA DARMO!!”. Nastąpiła reakcja łańcuchowa po której Ovitz zerwał się na równe nogi przewracając pobliski stolik z butelkami w kierunku oszołomionego Morgana który powstając nie ominął jednej z butelek, która doprowadziła do malowniczego upadku cywilizacji. Jerry rozglądając się dookoła dostrzegł tylko roześmianego Jacka, który trzymał w rękach swój hełm gotowy do założenia.

- Co się dzieje? Musisz budzić ludzi w środku nocy? Zapytał Jerry, który najwidoczniej nie dostrzegł wpadających przez szpary w oknie ostrych promieni słonecznych.

- Coś tu za cicho, powiedział Jack nasłuchując odgłosów dochodzących z okolicy, jednak nie usłyszał czegokolwiek.

- A czego się dziwisz? Normalni ludzie pewnie jeszcze śpią...

- O 10?! Człowieku, oni szykują się do walki, to temu ta mała tu wczoraj była, oni nie chcą żebyśmy się przejechali do kryjówek bandytów, oni czekają na nich tutaj! My mamy być ich dodatkową siłą!

- Widzisz Morgan! Jak to miło i fajnie zgadzać się na pomoc?

- Zgodziłem się im pomóc bo chcę mieć pojazd którym będę mógł się stąd wynieść! Nie chce tu spędzić reszty życia! Jeśli nie chcecie mi pomóc to się odpierdolcie!

- Mogliśmy spróbować u Westina kupić samochód... Powiedział spokojnie Jack.

- U Westina?! Po tym co zrobiliśmy z jego człowiekiem i po tym co miało miejsce w Kryptopolis? Czy Ty siebie w ogóle słyszysz?? Poza tym za co mielibyśmy kupić SPRAWNY samochód? Nie mamy ani jednego cholernego centa! Krzyczał Morgan drąc swe struny głosowe niczym człowiek który nie miał dobrego dnia, nocą a tym bardziej przyszłości.

- Nie tak soczyście panienki, powiedział Jerry, mi też się nie uśmiecha gnić na tym zadupiu. Pomóżmy im, zabierzmy ten samochód co tu mają i niech sobie robią co chcą, bo ja już nie mam zamiaru tutaj wracać... Nie jest tu ani miło, ani zbyt przyjemnie, więc ruszmy dupy, zabijmy kogo trzeba i wynosimy się!

Nikt już nic nie mówił. Ludzie poubierali swoje pancerze, sprawdzili stan amunicji, spójność.. Cóż spójność nie wypadła najlepiej. Wynosiła bowiem niewiele ponad 50% od sztuki ale zawsze to lepsze niż pancerze skórzane. Morgan sprawdził czy aby na pewno tym razem nie przecieka przewód paliwowy do jego miotacza płomieni, Jerry uruchomił program diagnostyczny Volcano, który stwierdził, iż karabin ma wszystkie funkcje w dopuszczalnych normach. Jack natomiast załadował Bozara i podręczne wnęki pancerza zapasowymi magazynkami. Przygotowani wyszli przez frontowe drzwi zdemolowanej gospody. Dookoła nie było żadnego z mieszkańców, wszystko było ciche i puste. Nawet zwierzęta nie wychodziły na ulicę. Morgan zauważył pojedynczych ludzi z karabinami snajperskimi pochowanymi w oknach i na dachach pobliskich budynków. Usłyszeli za sobą głos. Odwróciwszy się spostrzegli Tandi, która przywołała ich w kierunku ściany pobliskiego domu.

- Co się tu dzieje? Dlaczego nie powiedziałaś nam że oni mają tutaj przyjechać?

- Nikt nie wie kiedy się zjawia, tak wygląda każdy dzień naszego życia od kiedy rozpoczęły się ataki Mezzmo i jego bandy.

A gdzie jest Twój ojciec? Zamiast stać tak beczynnie moglibyśmy się jednak ruszyć i pokazać im gdzie raki zimują.

- Ojciec jest zawsze w swoim gabinecie, powiedział że będzie bronił honoru tego miejsca.

- Dobra, prowadź nas do niego, my tam pojedziemy, z wielką chęcią... dodał z uśmiechem Ovitz.

Tandi prowadziła ich pochylona przy przejściach pomiędzy budynkami. Niektóre ucierpiał w

walkach i wyglądały jak obraz nędzy i rozpacz. Gdy przechodzili Jack dla testu uderzył w jedną ze ścian mieszkania które wyglądało jak mocno sponiewierane sitko. Ta nagle osunęła się i spadła na niego. Wszyscy byli mocno zdziwieni i zaczęli odkopywać go spod gruzów, jednak ten po chwili z gruzowiska wyciągnął rękę z kciukiem wystawionym w geście zwycięstwa, odrzucając z siebie część kamieni. Ze wszystkich stron zbiegli się ludzie do pomocy, lecz gdy tylko Jack się podniósł, tamci zniknęli tak szybko jak tylko się pojawili. Jack otrząpał się z kurzu i rzucił niedbale do reszty: na co się tak gagicie? Nic mi nie jest...

- Tobie może nie, ale teraz powodzenie misji jest mniejsze... Powiedział ze smutkiem Morgan.

- Dlaczego? Co masz na myśli?

- Popatrz na swój wskaźnik spójności...

Jack wyciągnął lewą rękę. Świeciła się tam mała pomarańczowa dioda, informująca że spójność pancerza wynosi mniej niż 30%.

- Co teraz zrobimy? Powiedziała Tandi, której łzy zaczęły lecieć po policzkach po czym ukryła je w dłoniach.

- Byliśmy w gorszych opałach a mimo wszystko dawaliśmy sobie radę, nic mi nie będzie.

Jerry z Morganem popatrzyli z ukosa na Jacka ale nic mu nie powiedzieli. Wiedzieli doskonale że nawet jakby się nie zgodzili na to żeby jechał z nimi to on i tak dopnie swego i wsiądzie do terenówki. Szli dalej, tym razem uważniej. Jack postanowił już w nic nie uderzać, po kilku minutach doszli do Aradesha. Ten spojrzął na nich, w jego oczach było widać zmęczenie i cierpienie. Wskazał im trzy krzesła, po czym wzrokiem odprawił Tandi za drzwi a ta spokojnie, bez dyskusji opuściła pokoi. Pomieszczenie nie było sporych rozmiarów. Przez potargane firanki w rozbitym oknie było widać ulicę wjazdową do miasta. Przy ścianach stały ciasno upchane biblioteczki z książkami na temat dawnego życia i stroju w USA. Była ich całkiem spora kolekcja ponieważ część z nich musiała leżeć na podłodze z powodu braku miejsc na półkach. Aradesh usiadł teraz na solidnym metalowym krześle, dosunął się to niezniszczonego stołu z wygrawerowanym pośrodku napisem Kalifornia. Jerry, Morgan i Jack również spoczęli patrząc na burmistrza. Ten nic nie mówił, siedział nieruchomo obficie się pocąc i ciężko oddychając. Siedzieli tak przez około 15 minut. W końcu Jack nie wytrzymał napięcia i powiedział do burmistrza aby tylko wskazał im miejsce gdzie jest samochód, a oni przywieżą mu głowę Mezzmo na samochodzie. Burmistrz nadal patrzył na nich, lecz jego usta teraz nieznacznie się poruszyły.

- Ja... Zaczął burmistrz bardzo chwiejnym głosem, ja, chcę jechać z wami, chcę być świadkiem upadku tego parszywca i jego bandy

- Ale, burmistrzu, to będzie niebezpieczna wyprawa, nie mamy dodatkowej broni ani pancerza dla ciebie, nie będziemy mogli Cię też wystarczająco chronić w czasie bitwy.

- Jestem starszym człowiekiem niż Wy, wiele przeszedłem, wiele widziałem i nie jedną bronią się już posługiwałem, potrafię walczyć, mam to we krwi. Powiedział burmistrz, a jego oku można było dostrzec młodzieńczy zapał do walki.

- Burmistrzu, nie wiemy ilu ich tam jest, nie wiemy też dokładnie gdzie są, ani jakimi środkami tam dysponują. To zbyt niebezpieczne burmistrzu... Powiedział wyważonym tonem Morgan, który miał już dosyć oglądania bezmyślnie ginących ludzi

- Jestem burmistrzem tego miasta! Nie mogę go zawieść ani ludzi którzy tyle wycierpieli! Krzyknął Aradesh w stronę Morgana jednocześnie wstając i uderzając ręką w stół, a metaliczny odgłos stołu nappełnił pokój.

- Cóż, widzę że nie bardzo mamy wyjście, stwierdził Ovitz do reszty kiwając głową. Burmistrzu, jeśli chcesz z nami iść musisz się przygotować.

Burmistrz wstał, przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, by po chwili wrócić wlokąc za sobą na jakiejś miękkiej tkaninie błyszczący pancerz Tesli oraz karabin i sporo amunicji. Na widok tego lśniącego pancerza, na którym nie było widać nawet jednej ryski całej reszcie aż oczy błysnęły z wrażenia. Chcieli coś powiedzieć ale nie potrafili z siebie nic wydobyć poza kilkoma głuchymi wyrazami zachwyty.

- Trzymałem go na tą właśnie okazję, mój pancerz Tesli który dostałem gdy byłem w podobnym wieku, co wy teraz. Zawsze chciałem sprawdzić go w boju, ale nie miałem właściwie okazji, a gdy okazja już się nawinęła to okazało się że jakiś debil który pakował wyposażenie, nie zapakował do wozu kilku walizek... O mało nie przypląciłem tego życiem, ale jak widać, na wszystko przychodzi czas! Powiedział z dziarskim uśmiechem na twarzy Aradesh. Jerry poinformował, że idą się dotlenić na zewnątrz i tam też będą na niego oczekiwać. Wyszli przed budynek, rozpoczęła się rozmowa przy fajkach -nie powinieneś tym razem się z nami wybierać, Twój pancerz nie ma wystarczającej spójności aby mógł Cię dostatecznie chronić w ogniu walki... powiedział Ovitz. Jack popatrzył na Morgana, ten nic nie mówił, stał z głową spuszczoną w dół i bazgrał coś butem na piachu.

- Nic mi nie będzie, umiem o siebie zadbać, poza tym to tylko garstka, co najwyżej średnio uzbrojonych pół debili, a z takimi nigdy nie mieliśmy problemów...

- Cóż, może i masz rację, ale Twój pancerz nie domagał się regeneracji! I znowu spojrzeli wszyscy na ramię Jacka, gdzie nagle pomarańczowa dioda informacyjna zgasła i zaświeciła się zielona lampka, która mówiła o gotowości do walki.

- Widzisz, nic mi nie będzie...

- Tak, 30% spójności, myślisz, że wystarczy?

- Rakielnicy może nie przetrzyma, ale pojedynczą serię bez problemu... Dodał Jack spluwając na suchy piach i wyrzucając kiepa gdzieś przed siebie.

Morgan otworzył szeroko usta i popatrzył na Ovitzę prawie do niego krzycząc.

- Chcesz zaryzykować ich życie dla jakiejś głupoty?

- Po pierwsze, to nie jest głupota, tylko ważna sprawa, przynajmniej dla tego miasta. Po drugie, Jack już nie jest małym chłopcem i potrafi o siebie zadbać... Jeśli stwierdził że chce jechać to nie widzę powodów żeby mu tego zabronić...

- A jego pancerz? Ledwo działa, a co zrobimy gdyby mieli ciężką broń? Zapytał z wyrzutem Morgan.

- Gdyby babcia miała wasy to by była dziadkiem! Krzyknął Jack w stronę Morgana. Zdecydowałem, pojedę i będę walczył, cokolwiek mi się stanie biorę to na siebie, to moja decyzja, chce walczyć!

W tym momencie dołączył do nich Aradesh. W zbroi wyglądał znacznie młodziej i znacznie poważniej niż jeszcze chwilę temu w gabinecie. W rękach trzymał dwa pistolety natomiast na plecach przechowywał obdarty karabin szturmowy.

- To jak? Idziemy? Czas się odpłacić... Powiedział Aradesh kiwając głową przed siebie. Burmistrz przechodząc obok ratusza skierował się teraz w stronę niewielkiej, drewnianej szopy okrytej dodatkowo jakimś starym materiałem bitumicznym. Wkrótce przechodząc przez starą bramę znaleźli się w środku. Wszyscy rozglądając się dookoła nie dostrzegli nic, co mogło by się im w jakikolwiek sposób przydać. Wnętrze ukazało przed nimi tylko stertę siana leżącego swobodnie na suchym piasku. Spojrzeli wkrótce na Burmistrza. Stał teraz przed kupką suchej trawy i wydał polecenie. Odsuńcie to, coś wam pokażę.. Nie tracąc czasu z coraz większą ciekawością ekipa zabrała się za przemieszczanie stert siana. Gdy już było odsunięte burmistrz wyszedł na środek i przyklęknął wbijając pobliski kij w piasek. Wszyscy ze zdumieniem odkryli iż wyciąga z niego gruby, żelazny łańcuch, wiadomym dla nich stało się, iż nie leży tutaj

przypadkiem. Na kolejną komendę wszyscy zaczęli przeciągać łańcuch w kierunku wątej bramy wyjazdowej. Wtedy też spostrzegli iż przesuwają sporej wielkości stalową osłonę, na której leżało to wszystko. Wzburzywszy tumany kurzu spostrzegli iż pod osłoną we głębinie znajdował się zakurzony, Humvee o pustynnych barwach!

- Który prowadzi? Zapytał z uśmiechem Aradesh (odczuć można było, że jest to sprawa osobista, chęć zemsty) po czym Morgan wstrząśnięty tym widokiem wyrwał się jako pierwszy do samochodu i zaraz zaczął analizować każdą jego część. Jest Paliwo? Zaraz zaznaczył.. Burmistrz wskazał na stalową beczkę leżącą w kącie dodając iż jest to ostatnia rezerwa na czarną godzinę. Nie została wykorzystana, oczekiwała aż do teraz.. Myślałeś wykorzystać pojazd do walki z gangiem? Zapytał Jack któremu bardzo widziała się wizja sprawdzenia pojazdu w boju. Aradesh jednak stwierdził iż pojazd zdecydowanie służyć miał jako środek transportu, który tak na dobrą sprawę nie wytrzyma zbyt długo bezpośredniego ostrzału. Mechanik kontynuował obserwację.

W środku było czysto, jednak stan wnętrza był zadowalający mimo iż przetrwał wojnę atomową... Jerry wskazując do środka mimowolnie uruchomił radio. Galaxy wciąż nadawało a szalony reporter dał się do mikrofonu, jakby chciał śpiewać na dwa głosy wraz z wokalistom zespołu Steppenwolf jednak zupełnie mu to nie wychodziło. Morgan wyraźnie był nim zafascynowany, spojrzął pod maskę. Zaraz zaczął swoje wywody.. [V8 Diesel 6.5 L](#), napęd na cztery koła, system elektronicznej regulacji ciśnienia w oponach.. Wystarczy do przewozu piechoty dodał wyraźnie podekscytowany. W końcu usiadł z przodu z dumą. W końcu miał do czynienia z tym, o czym wiedział wyłącznie ze schematów. Jack z Aradeshem dopełniwszy pojazd paliwem zabrali się za przelewanie resztek do zapasowych kanistrów pojazdu. Wkrótce i oni zajęli miejsca z tyłu pojazdu.

- No to ruszamy! Krzyknął Ovitz. W tym momencie z głośników poleciało All right now, zespołu Free. Samochód wyrwał się z wielkim impetem rozrywając drewniane drzwiczki i pomknął przez ulice miasta zostawiając za sobą tumany kurzu jak i kilku ludzi przybywających, by życzyć im szczęścia. Burmistrz przekazał wszystko, co wiedział na temat terroryzującej go bandy. Wynikało z tego w sumie tyle iż wiedzieli mniej więcej w którym kierunku się udać. Słuchając przebojów rockowych lat 70 odbili od osady w spaloną słońcem pustynię.

Ovitz niechętnie wracał wspomnieniami do tego iż ledwo dożył przybywając tutaj pieszko lecz mimo wszystko czuł się teraz pewniej mając pod władzą potężną maszynę terenową pędzącą z zawrotną prędkością.

Jechali godzinę wywodząc po drodze, gdzie mogli by przebywać napastnicy. Efektem poszukiwań stał się wbity w ziemię duży kij z ludzką czaszką osadzoną na jego szczycie z którego powiewała czerwona chusta.

- Są niedaleko, to ich znak rozpoznawczy. Przy pierwszej wizycie tutaj Mezzmo wbił coś takiego na naszym dziedzińcu.

- Jak myślisz, Daleko stąd są? Zapytał Jerry wychylając się przez okno i zapalając papierosa.

- Pewnie nawet nie zdążysz go dopalić.. wrzucił niemrawo burmistrz.

- Przekonamy się... Odrzekł Ovitz ponownie uruchamiając silnik.

Jechali jeszcze kilka minut i przed ich oczami pojawił się mały budynek, otoczony kilkoma namiotami. Ovitz w tym momencie wyrzucił papierosa.

- A nie mówiłem? Zaśmiał się Aradesh podobnie zresztą jak Ovitz.

Podjeżdżając całkiem blisko opuścili samochód. Podeszli teraz w miarę cicho pod pobliskie namioty, nie mając pewności czy ktoś w nich przebywa. Jack dostrzegł iż przed każdym z namiotów a zarazem przy drzwiach budynku był znak z czaszką, identyczny zresztą jak ten, który minęli po drodze.

Wyglądało na to, iż trzeba było tylko zejść po drabinie do środka. Tak też się stało bez

większych obiekcji. Jack spostrzegł małą karteczkę przy drabinie po której tutaj weszli. Było na niej niechlujnie nabazgrane „ Poszłam się wypróżnić, wrócę wkrótce”. A to ci niespodzianka, odrzekł Morgan podsycając ogień przy miotaczu płomieni. Miejsce w którym się znajdowali wyglądało na rozległą jaskinie mieszkalną. W środku stało kilku uzbrojonych w zwyczajne pistolety ludzi, którzy przy rozmowie pomiędzy sobą łapczywie się uśmiechali. Najwyraźniej jednak nikt nikogo nie atakował jakie zasady panują w tym miejscu pomyślał Ovitz? Myślałem że będziemy strzelać już od progu. Przeszli przez kolejne drzwi, pomieszczenie było mniej obskurne niż poprzednie. Co prawda nie było w nim poszarpanego materaca, jednak biurko które rozlatując się pod własnym ciężarem nie było tutaj wyjątkiem. Jak widać grota była wyposażona w meble, które nie były tutaj tak dobrane jak to bywało w Kryptach. Rzędy rozlatujących się półek na książki nie sprawiały dobrego wrażenia. Jack przeszedł do rzeczy, rozpoznanie obszaru przebiegało sprawnie. W pewnym wilgotnym pomieszczeniu stało kilka związanych kobiet natomiast przy drzwiach od zachodniej ściany zwiadowca dostrzegł człowieka trzymającego gotową do oddania strzału strzelbę bojową. Nieopodal zresztą ekipa dostrzegła odwróconego plecami postawnego człowieka, który powoli zaczął się odwracać i mówić szyderczo: - Czekałem na Ciebie Aradeshu, ale szczerze mówiąc myślałem że jesteś na tyle głupi, że przyjdiesz tutaj w pojedynkę. Powiedział Mezzmo opierając się ręką o ścianę i ukazując swe już prawie brązowe zęby.

- Nie mam zamiaru nawet pytać dlaczego to zrobiłeś, przyszedłem zobaczyć tylko jedno, jak zdychasz... Powiedział burmistrz z ogromną odrazą.

- He, he, he... Przyrowadzasz tu jakiś przebierańców, co? Sam jesteś ledwo uzbrojony a na dodatek myślisz że jesteś w stanie mnie chociaż zadrapać?

W tym momencie Jack dostrzegł iż Mezzmo przelknął ślinę a na jego twarzy pojawiła się kropla potu.

- Kolędników jak już coś ty dupo węża... Odrzekł Jack.

W końcu na ustach Ovitz'a jak i wypowiadającego pojawił się patologiczny uśmiech.

- Czego chcecie? Rzucił od niechcienia powstrzymując swoich ludzi od rozpoczęcia walki.

- Twojej śmierci zdrajco! Krzyknął Aradesh po czym z szybkością wiatru uniósł swój oręż i wystrzelił w jego kierunku, Mezzmo pomimo pancerza oberwał krytycznie a z jego brzucha wyciekała teraz gęsto posoka. Mezzmo otworzył usta chcąc coś powiedzieć ale wypłynęła z nich tylko krew. Wykrwawiając się na kolanach już po chwili opadł na skalną posadzkę wzbudzając kurz przykrywający wszelkie odmęty jaskini.

- No to się kurwa doigraliście! Powiedział jeden ze strażników wymierzając strzelbę w kierunku burmistrza ale oczekujący strzału Bozar Jacka był dużo szybszy, jedna seria zmieniła strażnika w postać z wielką dziurą zamiast brzucha który zapewne zatrzymał się dopiero przy pobliskiej ścianie. Ofiara Jack'a wydała z siebie ostatnie jęki po czym padła drętwa na ziemię. Nagle zza ściany wyskoczył napastnik który rzuciwszy nożem, ugodził Aradesha w szyję. Krew chlapnęła na wszystkie strony a Aradesh dławił się nie mogąc nic powiedzieć. Jerry uruchomił kosiare i zamienił zabójcę burmistrza w sieczkę. W akcie szału zaczął strzelać po pobliskich ścianach. Pociski rykoszetując doprowadzały do wysiekania kryjących się po kątach przeciwników nie licząc pojmanych kobiet. Gdy Ovitz wyłączył karabin, dało się słyszeć jęki rannych. Pierwsze strzały solidnie ugodziły zbieraninę Mezzomo, wkrótce nadszedł Morgan. Ciężkim krokiem podchodził w kierunku słyszanych jęków. Po chwili Jack i Ovitz usłyszeli syk miotacza w pobliskim pomieszczeniu do którego udał się Mechanik oraz tragicznie brzmiący krzyk po którym człowiek pochodnia dokończył swego żywota upadając przed ich oblicze. Morgan podchodząc coraz dalej palił żywcem wykrwawiające się Ofiary Ovitz'a. Raz po razie słychać było niemiłosierne krzyki mieszane z pojedynczymi wystrzałami z broni ręcznej. Cóż

można rzecz? z całą pewnością robota nie była przyjemna jednak o skuteczności użytej broni świadczyli powaleni przeciwnicy. –Lepiej oni niż my.. Można było stwierdzić. Wkrótce też uwolniono skrepowane kobiety, które przeżyły całe to zajście. Były wdzięczne na tyle, że po uwolnieniu zaraz dały dyla na pustkowiach z donośnym okrzykiem tudzież innym słowem tyczącym się podzięką. Po krótkiej chwili budynek jak i okoliczne namioty przypominały jedno wielkie ognisko. Wszędzie roznosił się smród palących się ludzkich zwłok. Jack niósł wykrwawionego Aradesha na rękach, położył go w samochodzie, po czym wyprostował się i zapytał resztę, odpalając sobie papierosa i podając jednego Ovitziowi:

- Co im powiemy? Co się stało? Dlaczego ich burmistrz jest martwy?
- A co mamy im powiedzieć? Zapytał zrozpaczony sytuacją Morgan
- Prawdę, zasługują na to, powiemy że Aradesh zginął w walce którą toczył za swój lud
- Zginął w walce ale ciosem z za pleców.. Dodał Morgan
- Co to za różnica, teraz już nie przywrócimy go do życia, jedyne co możemy teraz dla niego zrobić to odprawić mu pogrzeb...

Morgan spuścił głowę, wszedł do samochodu na miejsce koło kierowcy. Jack zajął miejsce obok martwego Aradesha na tylnych siedzeniach, natomiast Ovitzi ponownie usiadł za kierownicą. Jechali całą drogę w milczeniu przerywanym tylko przez okrzyki prezentera GNN który jakoś wyjątkowo puszczał same wyciszające piosenki.

Gdy dojechali do miasta coś wzbudziło ich niepokój. W mieście nie było nikogo na ulicach, a spodziewali się przynajmniej małego komitetu powitalnego. Nagle na ulicy pojawiła się Tandi. Ovitzi zatrzymał samochód po czym wszyscy wysiedli. Jack niósł martwego Aradesha na swoich rękach. W oczach Tandi było widać łzy ale nic nie mówiła. W pewnym momencie krzyknęła:

- UWAŻAJCIE!! TO PUŁAPKA!! Ale ktoś uderzył ją w głowę kolbą karabinu i wciągnął do najbliższego budynku. Zdezorientowani chcieli przebiec za jakieś zabudowania które mogłyby im dać schronienie, jednak ktoś wycelował w niosącego zwłoki Jacka. Przez okolicę przemiął potężny huk, jakiego jeszcze nigdy nie słyszeli a kawałek ściany sąsiedniego budynku runął. Jack natomiast upadł na rozerwane zwłoki które niósł na rękach mając poważnie rozerwany pancerz upaprany teraz we krwi. Morgan wyciągnął w jego kierunku rękę ale Ovitzi złapał go za nią i odciągnął.

- Co Ty kurwa robisz? Nie możesz mu teraz pomóc! Narazasz siebie i mnie!
- To nasz człowiek! Jeśli mu teraz nie pomożemy to za chwile może być za późno!

Morgan już chciał się ruszyć aby wciągnąć kompana gdy odezwał się dźwięk jakby z megafonu.

- Jesteście otoczeni, nie macie żadnych szans! Wyjdźcie z rękami podniesionymi do góry a może nic wam się nie stanie i może oszczędzimy tę małą.

- Musimy wyjść! Powiedział głośnym szeptem Morgan do Ovitzi.

- Tym razem się z Tobą w zupełności zgadzam, mam za mało amunicji żeby podjąć jakąkolwiek sensowną walkę, no chyba że Ty możesz coś zdziałać swoim miotaczem?

Morgan popatrzył na poziom paliwa w zbiorniku, jednak wskaźnik sygnalizował końcówkę rezerwy.

- No to wychodzimy, oby tylko pancerze wytrzymały.

Wyszli z za muru wyrzucając swoją broń, podbiegło po nie dwójka nieuzbrojonych ludzi ubrana w średniej klasy pancerze. Wszystko wskazywało na to iż waga broni ich przerosła więc musieli ciągnąć ciężki miotacz i Volcano po ziemi. Przeszli obok zmasakrowanego wybuchem ciała burmistrza i leżącego na nim Jacka, który dawał nikielne oznaki życia. Wyszli z podniesionymi rękami na plac centralny. Na jego środku stał też młody mężczyzna o średniej posturze ubrany w zręcznie zszyty średni pancerz. Stojąc na środku przy swojej zbrojnej świecy w jednej ręce

trzymał teraz karabin szturmowy a w drugiej za włosy, zapłakaną Tandi.

- Wybaczcie wtargnięcie, alez gdzie moje maniery? Nazywam się Salvatore.

- W dupie mam jak się nazywasz, czego tu chcesz? Zapytał Jerry. Na te słowa kilku z ludzi z otoczenia młodego Salvatore się obruszyło po czym Jerry otrzymał pokaźny cios w plecy, który doprowadził do jego upadku. Salvatore tylko się roześmiał.

- Wasze oburzenie jest zrozumiałe, w końcu niecodziennie można zostać wciągniętym w tak ciekawą zabawę.

- Co masz na myśli? Zapytał wyraźnie poddenerwowany Morgan.

- Zacznijmy od początku, jakiś czas temu spotkaliśmy samotnego wędrowca, mówił że nazywają go Mezzmo. Był nieco wystraszony naszym spotkaniem, w końcu akurat wykańczaliśmy kilku jeńców. No ale nic, wracając do historii, zapytał czy moglibyśmy się zająć tą osadą, bo ostatnio ktoś mu coś tam zrobił... W sumie to nawet nie słuchałem jego argumentacji, interesowała mnie tylko zapłata za ukończone dzieło. Powiedział, że nie ma przy sobie pieniędzy. Już miałem go ochotę zabić, kiedy pomyślałem po co? Można podpuścić mieszkańców żeby sami go zabili, a potem najechać wioskę i zabrać wszystko, na co ma się ochotę. Tak więc wypożyczyłem mu kilku moich ludzi. Byli bezwartościowi, nie przejmowałem się tym że może im się coś stać... Z tego co mi mówił, zarówno on jak i kilku jego podwładnych, to wpadał tu wielokrotnie. Dzisiaj jednak dostrzeżliśmy, iż miejsce w którym kazałem mu się osiedlić z moimi ludźmi płonie. Coś więc stało się nie po naszej myśli. W sumie to mnie nawet ucieszyło, jednak chciałem szybko zająć się swoimi zdobyczami, które miały tutaj na mnie czekać. Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy po przybyciu tutaj okazało się, iż kompletnie nic dla mnie nie zostało. Cóż, każdy musi coś otrzymać więc pewnikiem zabierzemy ze sobą wszystkie kobiety. Co wy na to chłopaki?? Ludzie Salvatore gwizdali i bili brawo z pomysłu swojego pracodawcy. Nagle można było usłyszeć przytłumiony głos.

- Mam inną propozycję! Powiedział mężczyzna wyłaniający się z kurzu pustkowi. Był ubrany w uniform mieszkańca Krypty, w rękę niósł bliżej niezidentyfikowaną broń o dosyć dziwacznych kształtach. Jerry z Morganem nie mogli uwierzyć w to co zobaczyli.

- Czego chcesz tutaj? Nie nauczono się że nie wtrąca się w cudze sprawy? Zapytał Salvatore spluwając z odrazą.

- A ja myślę że możemy dobić targu, ale na początku musisz wypuścić dziewczynę... Odezwał się nieznany wędrowiec.

- Dobra, jakie są twoje warunki? Zapytał gangster odpychając od siebie Tandi.

-daj mi jednego człowieka którego Ci nie szkoda to zobaczysz co możesz dostać w zamian za opuszczenie tej wiochy i obietnicę że już nigdy tu nie wrócisz...

- Coś mało przekonujące, ale ok., niech będzie. Jake, chodź tu!

Młody, ubrudzony mężczyzna odziany w skórę, ze sporym brakiem w uzębieniu podszedł do Salvatore.

- A teraz pokaż o co Ci chodziło!

Przybysz Krypty odwrócił się plecami, teraz można było przeczytać z jego uniformu cyfrę 13, czyli cel grupy trzeciej której przewodził Ovitiz. Przybysz stanął naprzeciwko Jake'a, wycelował do niego ze swojej dziwnej broni. Po przenikliwym odgłosie kumulowania energii z karabinu wyleciało światło, które rozcięło swoją ofiarę na pół.

Salvatore stał jak wryty z wrażenia.

- Dobra, ale jedna sztuka to zdecydowanie za mało...

- Też tak myślałem, dlatego mam tu holotaśmę na której jest zapisana droga do miejsca w którym jest tego o wiele więcej.

- A co jeśli holotaśma nie jest prawdziwa? Powiedział Salvatore uważnie obserwując reakcję

przybysza.

- Jest prawdziwa, w tunelu tej jaskini jest duży transport tego typu broni i amunicji, wystarczy tylko podejść, ile sprzedałem to moja sprawa, resztę możecie wziąć jeśli się stąd wyniesiecie i więcej tu nie wrócicie...

- A co jeśli cię zabiję i wezmę holotaśmę? to co wtedy?

- Nie zrobisz tego, honor ci nie pozwoli...

- Może masz i rację, daj mi taśmę i swoją broń.

- Tego nie było w umowie, taśmę dostaniesz i wynocha... Powiedział przybysz po czym rzucił taśmę w kierunku Salvatore.

- Dzięki, umowa to umowa, chłopaki zostawcie co wzięliście, zbieramy się! Krzyknął Salvatore a jego ludzie zrobili, co kazał im szef. Opuścili miasto porzucając ciężki i nieporęczny karabin Ovitza.

Zdziwieni Jerry i Morgan stali patrząc to na siebie, to na przybysza który podszedł teraz do Tandi i pomagał jej wstać. Podeszli szybko po Jacka. Wyciągnęli go spod tego całego bałaganu.. Jeszcze oddychał. Ovitz niósł ciało ledwo żywego kolegi, natomiast Morgan trzymał Aradesha. Podeszli do płaczącej dziewczyny i złożył przed nią zwłoki jej ojca. Płacząca Tandi nie była w stanie wykrztusić z siebie nawet jednego słowa. Patrzyła przez swoje zalane łzami oczy na Morgana który teraz klęczał przed nią z ciałem oraz Ovitza trzymającego swojego towarzysza słabnącego z każdym oddechem przybliżającym go do śmieci. Ovitz szepnął bardzo cicho „pomóż nam”. Myślał, że Tandi tego nie usłyszy jednak ku jego ogromnemu zdziwieniu podniosła głowę, otarła łzy i powiedziała do wszystkich zgromadzonych donośnym głosem.

- To co się stało już jest przeszłością! Musimy od teraz być zvarci i gotowi na każdy atak! Jesteśmy jedną społecznością! Społecznością która przetrwała najcięższą próbę! Straciliśmy ojca, burmistrza i założyciela tego miasta! Oby jego ofiara nie poszła na marne. Od teraz nasze miasto będzie nową republiką. Nową Republiką Kalifornii! Jeszcze dzisiaj zorganizujemy policję i inne organy ustawodawcze. Ranni natychmiast niech udadzą się do szpitala gdzie zostaną opatrzeni. Cała reszta, ci którzy czują się na siłach niech odgruzują miasto, zrobią porządki, wrócicie do normalnego życia. Dzisiejszy dzień jest nową kartą w naszym życiu! Szkoda że wymagała tak wielkiej ofiary... Dodała ściszym głosem Tandi po czym objęła wzrokiem ciało swojego ojca a jej oczy znowu naszły łzami.

- Nie obwiniam Was za to co się stało, choć wiem że istnieją ku temu powody. To wasze przybycie spowodowało śmierć mojego ojca... jedyne co możecie teraz zrobić to opuścić to miasto i nie wracać tu już nigdy więcej...

- A co z naszym człowiekiem? Zapytał Ovitz któremu Jack zaczął już ciążyć na ramionach.

- Jak wcześniej powiedziałam ranni mają się udać do szpitala w celu opatrzenia ran.

- Weź to jako zapłatę, nie mamy nic więcej co moglibyśmy Ci dać... Powiedział Morgan wyciągając do niej strzelbę i swoją plastikową odznakę szeryfa którą miał przy sobie od zawsze, jeszcze od czasów gdy ojciec dał mu ją w krypcie na jego 9 urodziny.

Tandi ponownie popatrzyła na niego, oczy miała już suche, ale zapuchnięte.

- Przyjdźcie do mnie jak tylko ustalicie co z waszym przyjacielem... Powiedziała do nich Tandi, po czym odwróciła się i poszła do ratusza. Chwilę po tym podeszło do Morgana kilku ludzi i zabrało ciało Aradesha.

Ovitz szedł z Jackiem na rękach przez wąską uliczkę, Morgan zapytał czy nie potrzebuje zmiany aby dać odpocząć ciału, ale ten odpowiedział że sobie poradzi. Przeszli przez zagruzowaną część miasta i dotarli do elektrowni która została przekwalifikowana tymczasowo na szpital. W środku było już kilka osób. Ranni leżeli na prowizorycznych stołach zmontowanych ze stołów kuchennych i innych tego typu oporządzenia. Na ich widok ludzie

powoli się odsuwali ale nikt nie powiedział do nich słowa. Po krótkiej chwili podeszła do nich kobieta w średnim wieku i poprosiła Ovitza aby ten położył Jacka na jednym z wolnych stołów przy ścianie. Najpierw ściągnęli mu rozerwany pancerz, potem powoli kładli go na stole. Rana krwawiła a jego organizm był mocno przemęczony nie licząc kilku sporych siniaków. Pielęgniarka odsunęła Morgana i Jerrego od ich kolegi po czym zaczęła mu wstrzykiwać różne medykamenty. Jack oddychał ale nadal nie odzyskiwał przytomności. Jediną poprawą było ustabilizowanie oddechu i tętna.

- Możecie odejść. Z waszym kolegą powinno być dobrze lecz musi zostać kilka dni na obserwacji.

- Ale my chcemy wiedzieć co dokładnie się z nim dzieje! Powiedział podniesionym głosem Ovitza.

- Teraz nie mogę nic konkretnego Wam powiedzieć. Jego stan jest ciężki ale stabilny. Teraz musicie odejść jeśli nie potrzebujecie opieki medycznej. Ovitza chciał jeszcze coś powiedzieć ale Morgan szarpnął go za rękę po czym opuścili pomieszczenie szpitala polowego. Brnęli teraz w milczeniu do gabinetu, w którym rano rozmawiali z Aradeshem. Powietrze było parne więc zdecydowali się ściągnąć swoje hełmy.

Przeszli jeszcze między kilkoma stojącymi budynkami po czym wkroczyli do ratusza. W środku przebywał mieszkaniec w stroju Krypty trzynastej. Pragnęli z nim porozmawiać jednak najpierw musieli udać się do Tandi, aby omówić sprawę Jacka,

który w tym momencie był dla nich priorytetem. Gabinet burmistrza był teraz zajęty przez Tandi, która oparta o parapet spoglądała przez potargane firanki na ludzi, którzy uporządkowują to miejsce.

- Czekałam na Was... Powiedziała chłodno nie ukazując swojej twarzy.

- My... Zaczął nieśmiało Ovitza... My Chcieliśmy przeprosić za wszystko co się dzisiaj wydarzyło.

- Wasze przeprosiny już tutaj nic nie zmieniają. Żadne słowa nie przywrócą życia mojemu ojcu...

- Jest coś co możemy zrobić? Zapytał Morgan.

- Jedyne co możecie zrobić to oddalić się z Republiki Nowej Kalifornii najdalej jak możecie i już nigdy tu nie wracać... Możecie zabrać samochód, w końcu to było w umowie...

- A co z naszym przyjacielem?

- Jak tylko dojdzie do siebie zostanie odprawiony najbliższą karawaną. Teraz wyjdźcie i nie pokazujcie się tutaj więcej. Nie możemy pozwolić by błąkał się bez celu po pustkowiu. Dodał niemrawo Mechanik.. Nakreślił coś na brudnej kartce papieru po czym podrzucił

Jack'owi. Sprawy przybrały nieciekawą obrót po śmierci burmistrza a cała odpowiedzialność spoczęła niesłusznie na osobnikach którzy ocalili niejako resztki okolicy wraz z jej lokalnymi mieszkańcami. A gdzie wdzięczność? Cóż, mieszkańcy pustkowi najwyraźniej nie byli zbyt otwarci na rzeczywisty przebieg spraw.

Dalsza dyskusja już nie miała sensu. Jerry z Morganem wyszli do hollu, nieznajomy przybysz z Krypty nadal tam stał. Podchodząc do niego w końcu padły słowa.

- Dzięki, zawdzięczamy Ci życie...

- Mieliście szczęście że akurat tędy przechodziłem, czego chcecie?

- My pochodzimy, podobnie jak Ty z Krypty, Krypty 16 niestety ludność została decyzją nadzorców ewakuowana. Wysyłaliśmy sygnały do innych krypt jednak nie dostawaliśmy żadnej odpowiedzi...

- Jak to z innej Krypty? Jakie sygnały? Jesteście ocalonymi?! Wypytywał.

- Coraz bardziej zaciekawiony przybysz.

- Ty pochodzisz z 13, my z 16, w Kryptopolis jest ósemka a blisko tutaj jest Krypta 15. Czy znasz położenie innych krypt dopytywał się

Morgan, otrzymaliście od nas wiadomości?

- Nic nie otrzymaliśmy, nasz Nadzorca nie wspominał nic o żadnych sygnałach... Co się stało z Waszą kryptą? Gdzie ona jest?

- Jest na północny wschód stąd, ale promieniowanie mutowało mieszkańców. Część z nich została podzielona na grupy.

Naszym zadaniem było odnalezienie innych krypt, oraz współpraca mająca doprowadzić do osiedlenia się naszych ludzi na zdającym do zamieszkania terenie. Moja grupa – kontynuował Ovitz- miała dotrzeć właśnie do 13, jednak w drodze kilka osób poległo w starciach z bandytami, inni mutowali po drodze a na samym końcu o mało sam nie straciłem życia. Później było opactwo i

dotarłem tutaj, gdzie ustanowiliśmy punkt zbiorczy pomiędzy grupą drugą a tą z której pochodziłem.

- A co się stało z Twoją grupą?? Zapytał przybysz Morgana.

- Moja grupa miała napotkać na silny opór mieszkańców pustkowi.. Chyba trafiliśmy na gniazdo szerszeni, czy czegoś podobnego.

Te sępy rozwały prawie całą moją grupę i o ile grupa Jerrego składała się z doborowych strażników, tak moja miała raczej przewagę liczebną i specjalistów od wszystkiego. Gdy nie bez problemów dotarliśmy do 15, mieliśmy nadzieję że stanie się ona dla nas ziemią obiecaną.

Okazało się jednak iż Krypta była zrabowana i zrujnowana. Ktoś przebił pancerne wrota i dostał się do środka.

-Wasz Nadzorca wysłał tylko dwie grupy na zwiad?

- Nie, była jeszcze jedna grupa, w sumie to tylko od nich docierały do nas sygnały. Naszą komunikację szlak trafił po opuszczeniu Krypty.

Do teraz nie wiemy co się dzieje z grupą pierwszą... Odrzekł smutno Morgan.

Przybysz z trzynastki jakby nagle ocknął się i stwierdził, że słyszał jeden z dziwnych komunikatów przez odbiornik ze starej radiostacji w której zrobił sobie kiedyś przystanek rozładunkowy. Co prawda sygnał trochę rwało przez anomalie i takie tam ale usłyszał tyle, iż jakaś najwyraźniej zorganizowana grupa odkryła duży, dziwny obiekt przysypany piaskiem. Raportowali, że chcą dostać się do środka a potem nastąpiła cisza...

Dobra.. Stwierdził zważniej Morgan z nadzieją w głosie.. Wiesz skąd dochodził sygnał? – Przybysz z trzynastki podał lokalizację najdokładniej, jak pozwalał mu na to stary PipBoy.

Mamy trochę czasu zanim nas stąd wyrzucą... Może opowiesz nam jaka jest Twoja historia i w ogóle jak się nazywasz?

- Nie mam imienia, nie potrzebuję go tutaj...

- To może przynajmniej powiesz co Cię sprowadza w te strony?? Zapytał lekko poirytowany Mechanik.

- W mojej Krypcie uszkodzony został system odpowiadający za dostarczanie wody. Nadzorca wysłał mnie na poszukiwanie nowego. Nasze zapasy szybko się kurczą. Muszę więc działać szybko... Nadzorca wspominał coś o Krypcie 15, ale nie powiedział nic konkretnego.

- W 15 nie masz już czego szukać. Sprawdziliśmy tę Kryptę i wszystko co tylko mogło się w niej nadawać do użycia... Wszystko co się tam znajduje jest obecnie kupą gruzu i zardzewiałego żelastwa...

- Niech to!... Będę więc musiał szukać dalej... Dzięki za informacje... Powiedział młody bezimienny, który powoli zaczął wychodzić z ratusza. Przed wyjściem jednak przystanął. Wicie o czymś, co może mi pomóc? Rzucił nieśmiało.

- Cóż, raczej nie znaleźliśmy żadnej zaawansowanej elektroniki uzdatniającej rzekł Ovitz.
- Czekaj! Krzyknął za nim Morgan. Jedziemy w stronę tego dziwnego obiektu. Jeśli chcesz, to możemy Cię podrzucić w dowolne miejsce które chcesz po drodze. Mamy pojazd.
- Nie wiem czy... A z resztą co mi tam, zabiorę się z Wami. Może tam znajdę to czego mi trzeba.

- Dobra, musimy jeszcze tylko zejść na chwilę do szpitala. Nasz kompan tam leży. Spotkamy się za jakąś godzinę przy naszym Humvee.

Szli teraz w nieco lepszych humorach niż jeszcze przed godziną. Słońce na horyzoncie zaczęło powoli zachodzić przy czym robiło się coraz chłodniej. Po kilku minutach drogi już w całkowicie odgruzowanym mieście (aczkolwiek widok niektórych, powalonych budynków nadal tworzył nastrój grozy) dotarli do starego szpitala. Wchodząc do środka rozglądali się za swoim człowiekiem jednak nigdzie nie mogli go dostrzec. Po chwili podeszła do nich lekarka w upapranych na prawo i lewo fartuchu medycznym.

- Wasz kolega ma krwotok wewnętrzny, jest na sali operacyjnej.

- Co? Czy wszystko z nim w porządku??

- Nie ma powodów do obaw, jest pod opieką najlepszych lekarzy. Nic mu nie będzie i choć stracił trochę krwi, wkrótce dojdzie do siebie

- Możemy go zobaczyć? Zapytał Ovitz.

- Niestety nie, musicie opuścić już teraz szpital oraz miasto. To nie moje zarządzenie, ale muszę się do tego stosować...

- Ale... Ale on z tego wyjdzie?

- Tak, powiedziała pielęgniarka z uśmiechem po czym wskazała im drzwi ręką.

Ovitz i Morgan wyszli z nieco zmieszonymi minami. Na zewnątrz nastawał zmierzch. Nie czekając na nic poszli w kierunku samochodu. Przy czterokołowcu stał bezimienny mieszkaniec z Krypty podziwiając maszynę.

- Gotowy do jazdy? Zapytał z lekkim uśmiechem Morgan zakładając swój hełm.

- Gotowy, powiedział nowy towarzysz otwierając tylne drzwi samochodu.

- Lepiej zapnij pasy, Jerry jeździ jak szalenięc... Dodał Morgan po czym wpakował się do przodu na siedzenie pasażera. Jerry usiadł za kierownicą.

- Palisz? Zapytał Jerry do nowego kolegi.

- Nie dzięki, jakoś nigdy mnie to nie bawiło... Ale dobrym trunkiem nie pogardzę, odparł ze spontanicznym uśmiechem.

- No to na trunka będziesz musiał poczekać, bo teraz aktualnie nie mamy nic na stanie. Ale jak tylko będziesz chciał zapalić to daj znać, a tak w ogóle to gdzie chcesz żeby Cię zawieść??

- Zobaczmy ten obiekt Waszej grupy. Uzupełnię zapasy i ruszę sam w swoją stronę.

- Nie chcesz się do nas przyłączyć? Mamy wolny etat...

- Nie dzięki, mam swoje sprawy do zrobienia.

- Jak chcesz... Odrzekł Jerry uruchamiając silnik po czym nałogowo zapalił papierosa kierując pojazd w stronę nadpalonych bram miasta.

7. Na tropie grupy pierwszej

Jechali kilka dni w kierunku północnym kierując się mapą, którą sporządzili sobie na podstawie zapisków w rodzinnej krypcie. Trudność polegała jednak na tym iż bez opinii specjalisty teraz tylko wydawało im się, że podążają we właściwym kierunku.

Przez ten czas Mechanik sporo wspominał i rozmyślał. Zwykle lubił rozmyślać. Zawsze wydawało mu się, że lepiej jest pamiętać dobre chwile, których może kiedyś zabraknąć. Może to chroniło go przed utratą człowieczeństwa, a może było jego złotym środkiem utrzymującym spokój? Z całą pewnością Morgan często wspominał czasy, z udziałem swej ukochanej. Kiedyś dostrzegł Ją na korytarzu Krypty i zajął niezobowiązującą rozmową. Spostrzegł iż wołała przebywać sama a chłopaków walczących o jej względy po prostu lekceważyła wytaczając im przed nosy ważniejsze sprawy dotyczące się dobra Krypty. Później też okazało się, iż natarczywych facetów potrafi zdemotywowwać do swojej osoby ponętym kopniakiem w czułe miejsce. Pomimo tego Morgan od czasu do czasu miał okazję porozmawiać chwilę z ową dziewczyną. Uroda Patrycji wpływała oczywiście na zainteresowanie jej osobą, musiała zdawać sobie z tego sprawę jednak swój czas zdecydowanie wołała przeznaczyć badaniom czy obowiązkom. Morgan który dopiero co zaczynał pracę w warsztacie na obecnym stanowisku (jakieś 4 lata temu) był zafascynowany jej niestrudzonym temperamentem, sposobem bycia, uczynnością jak i wyjątkową urodą. Długo myślał, jak zwrócić jej uwagę. Pamięta, że pewnego dnia dowiedział się, iż Patrycja za niedługo ma urodziny. Chłopaki zresztą powiedzieli to od niechcenia w czasie konwersacji z której wynikało iż podobno już ich to nie obchodziło.

Sprawy wtedy potoczyły się w najlepszy dla jego myśli sposób. Morgan pamięta, iż on sam tego dnia postanowił przynajmniej Ją zobaczyć ale wkrótce wymyślił coś oryginalniejszego. Dzień wcześniej załatwił skądś małego pluszowego misia, na którego pracował przez cały krypciany tydzień. W dniu urodzin, zaraz po pracy postanowił udać się pod ambulatorium, w którym odbywała praktykę. Na miejscu okazało się, iż wyszła trochę wcześniej z racji swojego święta. Wtedy też skierował swe kroki w kierunku jej pomieszczenia mieszkalnego lecz nie zastał nikogo. Błąkał się po krypcie, przeszedł ją wzdłuż i wszerz ale wszystko na marne. Posmutniał i postanowił spędzić swój wolny czas w zaciszu warsztatu. Kierując się korytarzem skręcił w przedsiónek prowadzący do jego pustego o tej porze miejsca pracy. Postanowił wejść przez tylne drzwi, aby nikt nie ważył się do niego przyczepić. Zbliżając się do wejścia dostrzegł, iż w zacienionym rogu na ławce ktoś siedzi. Zdziwiony tym, iż ktokolwiek chciał zapaść się w miejsce tak nieuczęszczane a wręcz drugorzędne rozpoznał Patrycję..

Podszedł do niej i rozpoczął rozmowę. Okazało się, iż lubiła przesiadywać w tym miejscu, gdyż znajdowała w nim spokój. Morgan nawiązał dalszą rozmowę od której o dziwi nie stroniła. Okazało się, iż powodem jej izolacji byli właśnie mieszkańcy Krypty. Działała aktywnie w zespole, w którym musiała podporządkować swoją pracę i osiągnięcia, który wymagał za każdym razem więcej i więcej. Traktowana dosyć pobieżnie i przedmiotowo musiała dodatkowo zajmować się zgłaszającymi się pacjentami. Do tego nieraz, gdy kończyła pracę chłopaki zaczepiali ją na korytarzach wywołując niechęć.. Potem rozmawiali spokojnie o różnych rzeczach, w końcu Morgan wyciągając pluszowego stworka nieśmiało zapytał, czy może wręczyć jej coś na pocieszenie.. Patrycja na ten widok chyba bardzo się ucieszyła, gdyż zapewne dostrzegając szczerą intencję objęła Morgana serdecznie dziękując. Dalsza rozmowa doprowadziła do tego, iż Mechanik zaprosił Patrycję ciekawą tego, co znajdowało się po drugiej stronie ściany, którą tak dobrze знаła. Wtedy też mała wycieczka po warsztacie z przewodnikiem dopełniła tego cudownego dnia, w którym to Patris i Morgan zaczęli w sobie widzieć kogoś

więcej niż przedtem. Tak oto Morgan wspominał po drodze karty swojej historii. Przemijający czas zapelniano na różne sposoby. Grając na przemian kartami, strzelając z pędzącego pojazdu do okazów zdeformowanej natury, słuchając muzyki czy prowadząc nudnawe konwersacje dotyczące życia i śmierci. Jadąc do celu mechanik zmieniał się z Ovitzem więc wszyscy czuli się względnie dobrze.

W pewnym momencie bezimienny zapytał się:

- Gdzie my w ogóle jesteśmy?
- Spokojnie, według zapisków mamy być... Cholera!
- Co się stało? Zapytał wyrwany ze snu Ovitz nagłym krzykiem Morgana.
- Cholera! Przez ostatni dzień drogi trzymałem mapę odwrotnie!
- No to obudź mnie jak tylko wrócimy na trasę bystrzaku...

Tego Morgan już nie skomentował i zawrócił samochód by znowu znaleźć się na trasie.

- Dobrze że przynajmniej wiem, gdzie źle skręciłem. Powiedział z mieszanym uśmiechem do towarzysza podróży.

- Tia... Super... Odparł mieszkaniec Krypty...
- Możesz mi powiedzieć jedną rzecz? Zapytał ciekawskim głosem Morgan.
- Jasne, jeśli tylko będę znał odpowiedź.
- Gdzie znajduje się ta jaskinia z tego rodzaju wyposażeniem?
- To znaczy? Chodzi Ci o ten karabin?

- Dokładnie, w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Co prawda Ovitz miał podobne działko ale było ono raczej rozmiarów średniej wielkości armaty niż zgrabnego i lekkiego karabinu.

- Dostałem od Nadzorcy jak wychodziłem z Krypty.. Powiedział, że tylko to może mi zapewnić przynajmniej częściową obronę...

- No dobra, ale musieliście to skądś mieć...

- Z tego, co mi wiadomo to od zawsze mieliśmy to na wyposażeniu Krypty.

- Cholera, szczęściarze. My dzierżyliśmy broń w większości z 20 wieku, ale za to pancerze były wspomagane.

- No więc, my pancerzy nie mieliśmy prawie wcale...

- To gdzie w takim razie wysłałeś tego bandziora i jego ludzi??

- Nadzorca dał mi tę holotaśmę i powiedział, że jeśli ktoś by pytał o tą broń to mam mu to dać.

Nie wiem gdzie ona dokładnie prowadzi, bo nie miałem na mojej mapie tej lokacji. Wnioskuje jednak, iż miejsce musi znajdować się gdzieś blisko starej granicy z Kanadą.

- Ale przecież Kanada uznała się za część USA... Dowalił swoje Ovitz.

- Blisko STAREJ granicy głucholu... Jak myjesz uszy kompotem to wyciągaj pestki dodał półtonem Morgan. Uznał to za rewanż za straty moralne które wywołał marnując dzień drogi. Jerry stwierdził, że tego nie słyszy choć w głębi ducha mógł poczuć się urażony. W końcu każdy musi jakoś odreagować.

Czas upływał jednak dotarli dosyć szybko do miejsca w którym Morgan pomylił drogi. Było już całkiem ciemno jednak lampy z reflektorów jasno oświetlały okoliczny teren. Czas dodać do baku pomyślał Morgan widząc iż samochód spalił swoje. Obudził Jerrego, aby ten zmienił go za kierownicą.

- Tylko nie pomył trasy, powiedział do rozspanego lekko Ovitz który tylko kiwnął mu głową.

Wyszedł z auta i przeszedł na siedzenie kierowcy. Mechanik prześlizgnął się tylko pomiędzy siedzeniami. Jerry usiadł na fotel kierowcy, wbił się w niego mocno trzymając ręce na kierownicy. Popatrzył w tył. Bezimienny spał w najlepsze, rozciągnięty na tylnych siedzeniach. Z

przodu Morgan powoli układał się do snu rozkładając fotel. Jerry jeszcze raz spojrzął na mapę, odpalił papierosa po czym ruszył do przodu.

Jechał przez 5 godzin mijając różne światła w oddali, jednak nic nadzwyczajnego się już nie wydarzyło. W końcu nastąpiła szarówka a na zewnątrz zaczęło się robić chłodno. Strażnik zamknął szyby, spojrzął na mapę i popatrzył dokładnie jak ma jechać. Z zapisków na mapie złożonych przez bezimiennego wynikało, że za góra dwie godziny powinni być już na miejscu. Dobrym zrzędzeniem losu było to, iż trafili na miejsce. Ovitiz obudził resztę.

Oto na horyzoncie spoczywał sporej wielkości czarny, eliptyczny obiekt, z czymś co przypominało dziób ptaka. Zasniani podróżnicy nie bardzo wiedzieli co o tym wszystkim w ogóle myśleć ale przez chwilę siedzieli z wywalonymi z orbit oczami i przyglądali się niesamowitej konstrukcji zadając sobie dziesiątki pytań takich jak „co to w ogóle do ciężkiej cholery jest?”, „skąd to się tutaj wzięło?” czy „co działo się z grupą pierwszą?” postanowili odpowiedzieć sobie na część nurtujących ich pytań. Zwłaszcza Morgan wiązał z tym miejscem nadzieję, gdyż leżał mu na sercu los swej umiłowanej dziewczyny jak i pozostałych wysłanników szesnastki. Przez okna Humvee spostrzegli iż to coś było nieco zasypane piaskiem i najwyraźniej miało problemy przy lądowaniu sądząc po rozrytym podłożu za obiektem. Podjechali trochę bliżej. W końcu Ovitiz wyłączył silnik a ludzie ostrożnie podchodząc postanowili trzymać się razem trzymając broń w pogotowiu. Dotarli w końcu na parę metrów od obiektu zdumieni, iż ma około 500 metrów długości oraz jest wysoki na jakieś 100 metrów. Sądząc obiektywnym okiem był to pewnego rodzaju statek kosmiczny. Próbując znaleźć cokolwiek, co mogło by pomóc im w dalszej eksploracji obiektu postanowili przyjrzeć się bliżej jego powłoce. Była niesamowicie gładka i niemal odbijała swoim ciemnym blaskiem otoczenie. Obchodząc kolosa dookoła natrafili na coś, co przypominało rampę wyladunkową. Była do połowy przysypana piaskiem jednak na jej klapie można było przeczytać ISS StarDust .

- Co to jest ISS?? Zapytał Ovitiz.

Bezimienny podniósł rękę i wprowadził skrót ISS do swojego komputera typu Pip-Boy 2000.

- ISS to skrót od Independent Space Ship.. To była frakcja tych, co na krótko przed wielką wojną wzbili się w powietrze by powrócić gdy tylko Ziemia będzie znowu zdatna do zamieszkania.

- Jest tam jeszcze napisane co się z nimi stało? Dopytywał Jerry.

- Jak może być napisane skoro wojna położyła kres wszelkim większym badaniom? Stwierdził ironicznie nowy.

- No w sumie może i masz rację, ale teraz musimy się dostać do środka...

- Ma ktoś jakiś pomysł? Patrz, tam jest jakaś luka... Morgan wyrwał do przodu by zanalizować sytuację. Może coś wymyślę rzekł.. W istocie przy drzwiach istniała niewielka wnęka z nieaktywnym panelem dotykowym, zawierająca szeregi poprzepłatanych obwodów przy których ktoś najwyraźniej majstrował!. Zdumiony Mechanik nadepnął majstrując przy panelu na coś twardego. Zaciekawiony podniósł to, co znajdowało się pod jego butem. Była to nadwyreżona pokrywa panelu... Musiała komuś przeszkadzać.. rzekł do reszty i zaczął głowić się nad okablowaniem. Minęło kilka chwil po czym oczekujący Ovitiz jak i bezimienny odskoczyli jak oparzeni od drzwi, które nagle z głośnym sykiem rozwarły się na boki pozwalając wsypać się zalegającemu przy nich piasku do wnętrza.

- Droga wolna! Powiedział dumnie Morgan po czym wszedł do wnętrza. Śmierdziało tutaj nie na żarty więc kto mógł, korzystał z możliwości swoich hełmów.

Jerry uruchomił licznik Geigera zawarty w pancerzu.

- Promieniowanie w normie, żadnych śladów życia na detektorze ruchu do 50 metrów, mieszanka powietrza w normie, zachować czujność... odezwał się głos z wbudowanego PDA.

Wszyscy stojąc w środku rozglądali się za jakimś ciekawym sprzętem, ale nie znaleźli nic ciekawego. Wnętrze było trochę podobne surowością do tego w Kryptach. Obiekt był oświetlony zielonkawym światłem dochodzącym z czegoś podobnego do metalowych płyt znajdujących się przy zwieńczeniach sufitu. Przybysz stwierdził że system przekazywania energii musi być tutaj nad wyraz ciekawy gdyż nigdzie nie widzi okablowania mimo iż płyty świeciły dosyć intensywnie. Po chwili drzwi od rampy się zatrzasnęły i można było usłyszeć ciepły męski głos niewiadomego pochodzenia:

- JESTEŚCIE NA ISS STARDUST, PODAJCIE SVOJE ID W CELU INDENTYFIKACJI LUB ZGŁOŚCIE SIĘ NA MOSTEK.

Po tych słowach otworzyły się kolejne drzwi. Był za nimi korytarz. Długi, prosty korytarz prowadzący najwyraźniej do mostka kapitańskiego. Szli cały czas prosto nie bacząc na zamknięte humanoidalne drzwi rozmieszczone tu i ówdzie. Postanowili na razie nie wchodzić w żaden z kilku skrzydeł ani nie skręcać do kwater mieszkalnych znajdujących się poniżej poziomu docelowego. Weszli do dużego pomieszczenia z wciąż działającym komputerem nawigacyjnym. Na pomieszczenie składało się wiele paneli, które w większości były nieaktywne. Wkrótce dostrzegli iż ktoś siedział na fotelu kapitana statku, jednak nie reagował na żadne słowa. W końcu Ovitz nie wytrzymał, podszedł do fotela i gwałtownie go odwrócił. Ich oczom pokazał się wysuszony człowiek z długimi włosami spływającymi na ciemny, matowy płaszcz. Sądząc po jego długości musiał sięgać aż do ziemi. Na swojej wysuszonej twarzy miał założoną metalową obręcz oplatającą jego oczy, a raczej to co z nich zostało. W ręce nieszczęśliwca spoczywała butelka ognistej whiskey, która nie do końca była pusta.

- Pewnie kapitan.. Oni nigdy nie opuszczali swoich statków... Stwierdził ponuro Jerry.

- Ale za to jak bardzo do Ciebie podobny Ovitz! Powiedział Morgan śmiejąc się w głos. W tym momencie ręka kapitana opadła z oparcia fotela rozbijając po drodze butelkę alkoholu a drzwi mostka zamknęły się. Wszyscy wpadli w panikę. Jerry nerwowo podniósł swoje Volcano jednak nic się nie wydarzyło. Gdy atmosfera lekko opadła mechanik podszedł ostrożnie przyjrząc się temu co zaszło.

- Lepiej było tu nie wchodzić, diabli wiedzą co drzemie na tym statku... Powiedział wystraszony przybysz z Krypty.

- Spokojnie, martwych nie musimy się obawiać. No, chyba że mówimy o martwych którzy jakimś cudem ożyli ale to zwyczajny trik... Opada ręka, zamykają się drzwi. Drzwi się otwierają, ręka wraca do swojego wcześniejszego położenia. Zasada linek... Roześmiał się Jerry

- Jasne, tylko że tu nie ma żadnych linek... Podsumował Morgan podchodząc do zasuszonych zwłok Kapitana i machając przy nim rękami.

- No to mamy problem rzucił nowy.

- Może jednak nie dodał Mechanik wskazując iż pod ręką martwiaka był panel sterowania.

- Może w takim razie odczytamy archiwum zapisów? Zaproponował Ovitz. Nowy podszedł do komputera i zaczął trochę grzebać po systemie. Trochę mu to zajęło ponieważ pierwszy raz musiał widzieć takie coś na oczy. Po chwili dotarł do miejsca gdzie znajdowało się archiwum.

Odtworzył zapis z ostatniego tygodnia. Na monitorze pojawiła się twarz Kapitana. Wyglądał na przemęczonego jednak jego głos był ciepły i najwyraźniej spokojny, mówił o raportach uszkodzeń magnetycznych silnika. Opowiadał jeszcze szczegóły technicznych rzeczy, doświadczenia i eksperymenty ale skoro nawet Morganowi niewiele to nie mówiło to Jerry nie przejmował się swoim brakiem wiedzy. Przy tych nagraniach Kapitan bardzo mocno kaszłał, zupełnie jakby był na coś chory. Kolejne nagrania właściwie się od siebie niczym nie różniły poza coraz gorzej wyglądającym Kapitanem. Najwyraźniej już wtedy przebywał sam i chyba

trochę mu odbiło na koniec. Ostatnie nagranie było jednak zupełnie inne. Kapitan był wyraźnie słaby ale nie tracił pogody ducha. Całość wieńczyły słowa:

-Wiem że to już koniec, nie będzie już kolejnych wpisów, nie mam na nie już siły, wiem że mój koniec nadejdzie w ciągu kilku godzin. To był dla mnie zaszczyt że mogłem dowodzić jednostką ISS StarDust, mam nadzieję że moja załoga bezpiecznie się ewakuowała i kiedyś uda im się odnaleźć spokój o który tak zaciekle walczyliśmy przez nasze całe życie. Żegna się z Wami kapitan, Johnny Rocker. Na tym zdaniu cały dziennik się urywa.

- Ciekawe co się tu dokładnie stało... Rzekł Morgan.

- Pewnie silnik nawalił i musieli awaryjnie lądować... Stwierdził bezimienny.

- A może skończyło się im żarcie? Dodał Ovit.

- Ale trochę to dziwne. Komputery pracują, więc generatory prądu muszą być sprawne, a skoro są sprawne to silniki też powinny pracować...

- Może i racja, musimy to sprawdzić. Stwierdził Morgan a reszta mu przytaknęła po czym zaczęli wychodzić z mostka zostawiając martwą postać kapitana w swoim siedzeniu. Po chwili jednak Nowy oznajmił reszcie że warto rozglądnąć się po systemie może natrafimy na coś ciekawego.

Weszli ponownie do korytarza którym przybyli, tym razem jednak skręcili w pierwsze odbicie w lewo. Przybyli do pomieszczenia kuchennego i jadalni. Było tam czysto i zupełnie nic nie wskazywało na to, jakby miało dojść na pokładzie do jakiegokolwiek starcia. Półki były pozamykane. Chłodnia też, sprzęt prezentował się bez zarzutu. Panował tutaj ogólny porządek i nawet kurzu nie było. Morgan z bezimiennym wyszli z kuchni. Wchodząc na korytarz skierowali się na wprost do maszynowni. To co tam zobaczyli przeszło ich największe wyobrażenia o technice którą mogła stworzyć kiedykolwiek ludzkość. W środku znajdował się rząd 3 silników magnetycznych, z których na chodzie wydawał się być tylko jeden, chociaż wyglądał jakby za chwilę i tak miał się wypalić. Morgan podszedł bliżej do silnika i przyglądał mu się dokładniej. Podszedł do drugiego i zaraz zaczął je porównywać. W końcu doszedł do ostatniego by

zobaczyć czy chociaż uda mu się zgadnąć, co w przybliżeniu stało się z jego układem. Podszedł bliżej po czym krzyknął tak głośno że przybysz z Krypty podbiegł z przygotowanym karabinem laserowym do oddania strzału.

- Co się stało? Zapytał bezimienny, ale Morgan nie odpowiedział tylko wskazał ręką do wnętrza silnika przy rozwartych osłonach. Między zwojami elektromagnetycznymi znajdowało się ludzkie ciało. Było mocno wysuszone a skóra wyglądała jak papier z której gdzieś wystawały całkiem białe kości. Przybysz mocno się wzdrygnął na ten widok jednak nie powiedział ani słowa, stał cały czas z bronią przygotowaną do strzału.

- Kapitan nic nie wspominał o tym że ktoś został na statku... Powiedział cicho Morgan.

- Nic też nie mówił o tego typu wypadku... Dopowiedział kompan.

- Zobaczmy co się stało z tym trzecim silnikiem... Zbliżyli się trochę do silnika, Morgan wyciągnął rękę aby oprzeć się o ścianę jednak w tym momencie światło zgasło i stali w absolutnej ciemności słysząc tylko swoje ciężkie dyszenie.

Nagle wydawało im się, że słyszą cichy szmer a po chwili jęczenie. Po krótkiej chwili napięcia światło się włączyło a z bliżej nieokreślonego miejsca wydobywał się znajomy głos:

- Sorki chłopaki, musiałem coś źle nacisnąć, nie macie się czym martwić. Wracam do moich poszukiwań, jeśli znajdziecie coś ciekawego to wiecie gdzie mnie szukać.

- No to powodzenia dodał bezimienny.

- Idiota... Stwierdził Morgan.

- On zawsze robi takie numery?

- Nie, tylko czasem mu się zdarzy, ale mógł chociaż uprzedzić co się dzieje... Odrzekł

mechanik po czym podszedł do trzeciego silnika. Stał jak sparaliżowany, adrenalina uderzyła mu do głowy z taką siłą iż nie usłyszał pytań przybysza. Ten dostrzegł iż Morgan zobaczył coś czego sobie nie życzył. Podszedł, popatrzył na zgaszony silnik, po czym zbladł. Dwa ciała w tym silniku nie były wcale takie stare. Niektóre były jeszcze zakrwawione.

- Nie podoba mi się to... Oceniał Morgan wyciągając pistolet z kabury.
- Ovitc powinieneś coś zobaczyć!

Wkrótce przywędrował i Ovitc któremu wcale nie było do śmiechu na widok na wpół świeżych zwłok. Odruchowo wyciągnął paczkę papierosów i zapalił rozglądając za jakimiś dodatkowymi śladami.

Po chwili włączył się alarm przeciwpożarowy a co za tym idzie natryski ze ścian i sufitu gasząc papierosa i nastrój strażnika.

- Cwaniaki... skwitował przemoczony przybysz, ubrany w sam kombinezon obywatela Krypty patrząc na Morgana w pancerzu wspomaganym po którym woda po prostu spływała.
- Eee... Sorry, nie miałem tego w planach... Rzekł główny sprawca prysznicu Ovitc.
- Lepiej się stąd zwijajmy zanim znajdziemy kolejne ciekawe znaleziska dodał niepewnie przybysz choć z drugiej strony może znajdziemy coś innego.. Na przykład ręcznik albo jakieś suche ubrania...

Wyszli z maszynowni, zostawiając za sobą zamknięte drzwi. Ustalili, że przeszukają teraz kwatery prywatne więc skierowali swe kroki w stronę korytarza i otworzyli pierwszy właz w podłodze, jaki dostrzegli. Zeszli po drabince do małego pokoju o wymiarach trzy na trzy w którym stało jedno łóżko, szafa, krzesło, stolik i coś w rodzaju małego stojaka na broń i amunicję. Spoglądając z nadzieją w jego kierunku zaczęli dobierać się do mechanizmów blokujących. Męcząc się nie na żarty wyłamali w końcu zamek, pozostawiwszy dodatkowo kilka średnich wgnieceń przy obudowie. Obiekt ataku był jednak całkiem pusty. Na ścianach wisiały gdzieś tam plakaty z nagimi kobietami w erotycznych pozach. Bezimienny przeszukał szafę, po czym nagle zapytał Morgana pasuje mi to? W rękę trzymał wytarte jeansy i cielistą zamszową kurtkę.

- Jak wolisz, ja bym jednak tego nie ruszał...
- Łatwo Ci mówić..
- Rób jak chcesz... Odparł Morgan

Na te słowa przybysz jednak pozbył się ubrań rzucając je na łóżko. Pod szafą leżała niewielka, metalowa płytką zawierająca przy swojej krawędzi niewielkie nacięcia.

- Co to jest? Zapytał bezimienny.
- Nie wiem, wygląda mi to na jakiegoś rodzaju kartę dostępową... Tylko do czego? Coś na niej jest napisane?
- Nie, tylko jakieś dziwne znaczki...
- Dobra, ruszajmy. Może po drodze dowiemy się czegoś, co może nam się przydać...

Wybyli z pomieszczenia na korytarz spowity zielonkawym światłem. Swe kroki skierowali jeszcze do jednego, pobliskiego pomieszczenia. Wyglądało identycznie jak to poprzednie w którym się przed chwilą znajdowali, no może poza brakiem plakatów na ścianie. Morgan podszedł do aluminiowej szafy z zamysłem zdobycia czegoś pomocnego. W szafie zamiast ubrań był całkiem spory arsenał różnego rodzaju giwer. Znajdowało się tam kilka pistoletów, dwa fajne, praktyczne karabiny AK112, standardowa strzelba policyjna, sporo granatów i duża ilość amunicji. Cóż, może przyda się trochę amunicji do Deserta rzekł mechanik zabierając kilka paczek. Wkrótce nie znajdując niczego istotniejszego, opuścili pomieszczenie. Ponownie znaleźli się w korytarzu który wydawał się być przez chwilę bardziej zielony niż ostatnio. Przeszli kolejną alejkę, która odbijała od głównego korytarza prowadzącego na mostek.

Dochodząc do końca stanęli przed wielkimi metalowymi drzwiami, przy których nie było ani klamki ani zamka, ani też niczego czym można było by je otworzyć.

- Może tutaj karta zadziała? Powiedział z nadzieją w głosie bezimienny.

- Tia... tylko gdzie by ją tu wsadzić...

Morgan z przybyszem zaczęli dokładnie oglądać drzwi i ich okolice. Po mnogich podejściach, próbach i nadziejach związanych z kartą doszli w końcu do wniosku, iż ową kartę mogą sobie przy tych drzwiach co najwyżej wsadzić w tylną część ciała pospolicie zwanego dupą. W pewnym momencie zirytowany własną bezsilnością Morgan zabrał kartę. Przyjrzał się jej bliżej, po czym zapytał

- Myślisz że to te same symbole co na bramie? Są podobne ale wyglądają jakby były bardziej postrzępione u nasady.. Do tego coś wycieka przy nich.. Może hydraulika nawaliła?

- Wszystko musi stać nam na drodze rzekł mechanik po czym kopnął z całej siły w podstawę zamkniętej bramy. Nastąpił huk a brama nieznacznie się poruszyła. Pozytywnym aspektem tego ruchu stało się nieznaczne wgniecenie w strukturze bramy. Nowy patrząc na usilne dążenia Mechanika stał bezradnie patrząc i myśląc. Nieuściepliwość bramy zdawała się być nie do przejścia, jednak Morgan pochwycił bramę za zrobione wgniecenie i spód który zareagował, gdy ten usilnie próbował ją podważyć. Wykorzystując siłę własną wspieraną przez pancerz nastąpiło niezdrowe skrzyknięcie w mechanizmie bramy z której spływał teraz gęsto płyn hydrauliczny.

- Jedne drzwi w tę czy w tamtą.. Odrzekł ze zmęczeniem do zdumionego możliwościami pancerza kompana po czym weszli do ambulatorium.

Pomieszczenie było duże i jasno oświetlone. Na środku stał sterylnie wyczyszczony stół operacyjny a obok niego narzędzia chirurgiczne. Morgan zawahał się czyniąc krok naprzód a wspomnienia nagle zaczęły spowijać jego myśli. Zamknął na krótką chwilę oczy przed następnym krokiem a zamyślenie oderwało go na krótką chwilę od rzeczywistości. Dotknął w myślach swoją dziewczynę, która była bowiem związana z podobnym miejscem.

- Muszę Ją odnaleźć! Nie Mogę zawieść! Krzyknął w myślach twardo mechanik. Bezimienny wchodząc głębiej w pomieszczeni minął białe łóżka oraz parę maszyn przykrytych jakimś na wpół prześwitującym materiałem. Dostrzegł za nimi, iż przy ścianach stały szafki na lekarstwa oraz półki na doraźne medykamenty.

- Ciekawe czy coś jeszcze coś w nich zostało? Powiedział z ciekawością w głosie nowy.

Podeszli bliżej do szafek i zabrali się za przeszukiwanie. Nie znaleźli niczego oprócz kolejnej karty dostępowej. Przez chwilę naradzali się gdzie mogła by być użyta. Patrząc po symbolach wyrytych na karcie dostrzegli identyczne oznakowanie przy (wydawać by się mogło) jedynej pustej ścianie pomieszczenia. Morgan i bezimienny przygotowali broń na wszelki wypadek, kiwnęli porozumiewawczo głowami i zbliżyli się dociekliwie do ściany. Mechanik dostrzegł przy malowaniach niewielką ciemną soczewkę. Postanowił iż przyłoży do niej kartę.

Ku oczekiwaniom otworzyło się kolejne pomieszczenie po ustąpieniu stalowej płyty stanowiącej jeden z wielu elementów struktury. Wnętrze było już zdecydowanie słabiej oświetlone a w dodatku było tutaj całkowicie zimno. Gdy tylko otworzyli drzwi poczuli przenikliwy ziąb który nie pozwolił im dalej przejść. Postanowili więc poczekać do przynajmniej częściowego wyrównania się temperatur. W miarę upływu czasu i ochłodzenia się sytuacji spojrzeli do wnętrza komory robiącej chyba za pewnego rodzaju chłodnię lecz niemiłosierny chłód nadal nie pozwalał im na infiltrację. Posadzka przy drzwiach umazana była jednak czyjaś krew, co nie wróżyło zbyt dobrego widoku jaki mogą tam zastać. Po jakiś 10 minutach, gdy temperatury były już prawie wyrównane zdecydowali się na wejście.

Posuwając się coraz to głębiej dostrzegli coś w rodzaju wielkich, szklanych kokonów gdzieś zbrudzonych zamrażającą posoką niewiadomego pochodzenia.. Może ktoś krwawił

gdy to tu umieszczał.. Rzucił żwawo przybysz. Po krótkiej wymianie argumentów nie byli w stanie precyzyjnie stwierdzić co to właściwie jest. Dopiero po głębszym zastanowieniu w zlepku powiązanych ze sobą maszyn stwierdzili iż to, co wydawało się im kokonami było w rzeczywistości komorami kriogenicznymi. Cztery spośród sześciu były puste, jednak w dwóch najbardziej oddalonych od wejścia znajdowały się organizmy przypominające ludzi.

- Jak myślisz? Co to może być? Zapytał bezimienny.

- Nie wiem, wygląda mi to na człowieka, ale na tym statku niczego raczej nie można być pewnym.

- Oni żyją?

- Tego też nie jestem pewien... Odparł Morgan po czym podszedł do pierwszego zbiornika z ciałem. Nacisnął przycisk przy komorze po czym wyświetlił się terminal pokazujący informację że w środku znajduje się żywy organizm. Morgan podniósł głowę, po czym przestał się ruszać na kilka minut wpatrując się w pojemnik.

- Co się stało? Dopytywał się bezimienny starając się w jakikolwiek sposób ściągnąć na siebie uwagę Morgana jednak ten w żaden sposób nie reagował. Po chwili jednak otrząsnął się i uruchomił proces uwolnienia pierwszej osoby z komory kriogenicznej. W chwilę potem opadły mechaniczne zasłony chroniące komorę przed światłem.

Przed przybyszami ukazał się widok nagiej kobiety. To była Patris, ukochana sanitariuszka Morgana która trafiła do grupy pierwszej a następnie jakimś trafem tutaj. Morgan stał i patrzył, w pewnym momencie rzucił do bezimiennego żeby przyniósł jakiegokolwiek dwa komplety ubrań.

Bezimienny szybko wybiegł z pomieszczenia w którym do kratek odpływowych wlewał się teraz gęsty płyn z komory. W chwilę później bezimienny wrócił mówiąc zdyszany że znalazł tylko te dwa kitle. Gdy pierwsza komora się opróżniła nastąpiło automatyczne rozwarcie się drzwi. Morgan podszedł i delikatnie wyciągnął z niej zimną jak lód Patrycję po czym zarzucił na nią kitel i odniósł na stół. Przybysz z Krypty postanowił wydobyć z drugiej komory człowieka. Po chwili dołączył do Morgana w Sali operacyjnej niosąc na rękach wąsatego mężczyznę w średnim wieku. Morgan nie mógł powstrzymać łez wzruszenia i wzroku od tego co widzi, jednak spojrzął na postać, którą przyniósł tymczasowy kompan. Mechanik oznajmił nowemu, że to jego kapitan, dowódca strażników Krypty w których służy Ovitiz.

- A ta kobieta? Zapytał nieśmiało.

- To moja ukochana, Patris w krypcie była medykem. Podczas przydzielania do grup ona trafiła do pierwszej, jechał z nią jeszcze kapitan, dyplomata i kilku zbrojnych. Jako jedyni otrzymali środek transportu inny, niż własne nogi. Mieliśmy w Krypcie Ciężarówkę gąsienicową.. Stary transporter sprzed wojny. Ja byłem w grupie drugiej między innymi z Jack'iem, którego dane Ci było widzieć. Ciekawe co się z nim w ogóle teraz dzieje.. A cała reszta.. Cóż, pożegnali się z tym światem ginąc w walkach lub mutując w trakcie drogi. Ovitiz, dowódca trzeciej grupy, składającej się z samych średnio zbrojnych żołnierzy jak widać nadal żyje. To chyba najlepsza wizytówka tych pancrzy... Oni też mieli kilka przypadków mutacji jednak zasadzki stosowane przez bandytów w terenie doprowadziły i w tym przypadku do ich śmierci. Morgan przemył rękę Patrycji spirytusem i wstrzyknął zreżymowaną adrenalinę. Liznął kiedyś tematy medycyny podglądając ruchy swej dziewczyny. Umiejętności medyczne Morgana były na tyle wysokie iż rozpoznał właściwy środek oraz znał jego przeznaczenie. Postanowił iż poczeka, aż ukochana się sama wybudzi.

Przybysz stał i słuchał z ciekawością opowieści Morgana. Gdy ten skończył mówić wydało im się że kapitan lekko się poruszył. Po chwili przestało się im to już wydawać. Kapitan poruszył ręką w stronę swojej głowy przysłaniając sobie oczy od ślepiącego go światła.

- Czy... Czy ja umarłem? Na wpeł bełkocząc wymamrotał kapitan.

- Nie, witamy z powrotem wśród żywych kapitanie! Odpowiedział Morgan, po czym zasalutował.

- G... Gdzie jestem? Zapytał kapitan, próbując się podnieść, jednak organizm jeszcze nie doszedł do siebie.

Morgan już chciał mu odpowiedzieć jednak usłyszał lekki kaszel za sobą. Odwrócił się i zobaczył, że Patrycja już otworzyła swoje oczy. Błyskawicznie odwrócił się od Kapitana w jej stronę i złapał ją za rękę.

- Morgan? Już myślałam.. Odpowiedziała słabym głosem Patrycja przysłaniając sobie oczy dłonią. Mechanik uspokoił dziewczynę głaszcząc ją czule po głowie. Poczul iż powoli odzyskuje temperaturę ciała co bardzo go cieszyło. Dziewczyna zacisnęła mocniej dłoń Morgana, który stał teraz przy niej i pilnował trzymając w ręce swój hełm. Łzy napływały mu do oczu, on sam jeden wiedział, ile czasu minęło od opuszczenia domu. A teraz był tu, z Nią.

- Kochany, co się dzieje? Dopytywała się blada Patris. W końcu Morgan zdławił w sobie tęsknotę, radość i wszelkie inne uczucia aby móc odpowiedzieć swojej ukochanej.

- Jesteśmy teraz na ISS StarDust, odebraliśmy sygnały waszej grupy, nadawaliście iż jesteście przy tym obiekcie więc ruszyliśmy z bezimiennym i Ovitzem żeby to sprawdzić.

- Przybyliście w połączonych grupach? Co się działo z wami po drodze? Co z mieszkańcami szesnastki?

Morgan był lekko zmieszany i nie do końca wiedział, jak podsumować to, co wszyscy tutaj przeszli ale w końcu zdecydował odpowiedział:

- Poszedłem z nimi bo... Bo cała reszta nie żyje, żadna z misji ratunkowych się nie powiodła. Ludzie z naszych drużyn albo mutowali albo polegli w walkach.

- A co się stało z mieszkańcami Krypty? Wypytywała dziewczyna ze łzami w oczach.

- Oni... Oni wszyscy... Nie zdołali się oprzeć promieniowaniu. Nawet Nadzorca nie był w stanie opanować ciągłego niezadowolenia aż w końcu wybuchł bunt. Przeżyło ich tylko kilku ale to świństwo ich zmieniło. Stali się mutantami, których przez całe życie się tak bardzo bali. Nie było już dla nich ratunku, na dodatek te straszne ghule które chciały opanować Kryptę...

Patrycja jęknęła ze smutku ale nie powiedziała ani słowa, słuchała dalej opowieści Morgana.

- Nasza Krypta wymarła, jedyne co możemy zrobić to spróbować ją skolonizować na nowo, wcześniej ją sterylizując, ale taki proces potrwałby ze 20 lat...

- Naprawdę nikt więcej z waszych grup nie przeżył? Zapytała bezradnie Patris.

- Zostaliśmy tylko Ty, ja, Ovitz i Jack, jeśli udało mu się przeżyć...

- Co to znaczy jeśli udało mu się przeżyć?

- Długa historia kochanie, jeśli będzie miał trochę szczęścia to sam Ci ją wkrótce opowie... Odpowiedział Morgan a w jego słowach zabrzmiał cień nadziei.

Patrycja powoli podnosiła się na łokciach do pozycji półsiedzącej. Morgan starał się jej pomóc jak mógł a tymczasem Kapitan już powoli zaczął wstawać na nogi przy pomocy towarzysza z Krypty 13.

- A co się stało z Twoją drużyną? Dlaczego jesteście tylko we dwójkę? Co z celem misji?

Dziewczyna popatrzyła na niego pustym wzrokiem, jakby zupełnie nie wiedziała co ma mu opowiedzieć. Morgan przytulił ją mocno do siebie i czule ucałował.

- Myśleliśmy, że uda nam się przedrzeć.. Kontynuowała Patrycja.

- Jechaliśmy do Krypty, to chyba była Krypta 27. Tak mi się przynajmniej wydaje. Jechaliśmy i gdy znaleźliśmy się na miejscu okazało się, że w pobliżu znajduje się tylko jedna wielka góra. Żadnego wejścia, znaku ani tym podobnych rzeczy. W okolicy nie było nawet żadnych zabudowań, nic, kompletna pustka. Przeszukiwaliśmy okolicę nocą, gdy coś nagle w nas uderzyło. Pamiętam tylko że zaatakowały nas jakieś dziwne stwory. Były wielkie i twarde.

Zanim się tego czegoś pozbyliśmy, to rozerwało nam żywcem 4 ludzi, w tym obsługę działka... Dobrze że mieliśmy dobre oświetlenie, bo pewnie nie dalibyśmy im rady.

- Szpony śmierci, powiedział do siebie Morgan. Mówiono o nich dużo w knajpie.

- Wkrótce też wracaliśmy w stronę Krypty aby poinformować o niepowodzeniu misji i zebrać siły do kolejnego wyjazdu. Po drodze znaleźliśmy ten statek. Poinformowaliśmy Nadzorcę, ale nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Stwierdziliśmy, iż obiekt nadawał by się na zasiedlenie i mógł by być naszym nowym domem do czasu likwidacji skażenia w krypcie. Pamiętam jak próbowaliśmy dostać się do środka. W żaden sposób nie potrafiliśmy tego zrobić. Po dniu analiz nasz spec od elektroniki dostrzegł wypukłość przy ścianie. Ktoś rozciął powłokę statku i udało się nam dostać do jakiegoś sterownika. Tak w skrócie dostaliśmy się do środka.

- Tak, widziałem waszą robotę przy statku, dodał nikle się uśmiechając Morgan. Weszliśmy w ten sam sposób.

- Podzieliliśmy się na 2 czteroosobowe grupy będąc w środku. Usłyszeliśmy dziwny głos, który skierował nas w pewnym kierunku.

- Byliśmy bardzo podejrzliwi co do jego intencji dlatego postanowiliśmy się tak na wszelki wypadek trzymać się razem, dodała nerwowo Patris. Wkrótce jednak dowódca kazał nam zobaczyć o co dokładnie chodziło. Patrycja wtuliła się mocno w Morgana i powoli wstała z łóżka. Kapitan już chodził samodzielnie i pobrał swój sprzęt z pobliskiej hermetycznie zamykanej przechowalni.

- skierowaliśmy swe kroki do mostka kapitańskiego – kontynuowała dziewczyna – Widok który tam zobaczyliśmy był paskudny.. Jakiś wysuszony człowiek siedział na krześle przed komputerem.

W chwilę później, gdy zamknęły się drzwi – Patrycja mówiła a jej oddech stawał się coraz szybszy i chaotyczny

– Nagle on.. Ta postać wstała, i zaczęła skrzeczeć i biec w naszą stronę! Otoczenie jakby oszalało! Wszystkie maszyny aktywowały się po metalicznym trzasku, jakby na rozkaz. Pomieszczenie rozpromieniło dziwnym światłem a przenikliwy pisk ogłuszył naszych ludzi. Strzelaliśmy do niego i wierz mi, tylu pocisków nie przyjmie nikt żywy. Wkrótce dopadł nas i wielu stawiających opór tego nie przeżyło.

Wtedy też dostaliśmy rozkaz do odwrotu. Wycofywaliśmy się tak szybko, jak tylko mogliśmy ale to i tak było szybsze. Postanowiliśmy się rozdzielić i czwórka z nas pobiegła do jakiegoś pomieszczenia ledwo uchodząc eksplozji ale chyba nie wszyscy wyszli z niej cało.. Zostałam teraz z kapitanem i innym przerażonym strażnikiem. Tak bardzo się bałam! Później usłyszeliśmy strzały, wybuchy, krzyki, łamane kości.. Myśleliśmy, że nasi ludzie jakoś to załatwią. W końcu zdecydowaliśmy wysadzić statek w powietrze kierując się w stronę generatorów.. Wciąż biegliśmy, zrobiło mi się strasznie duszno. Pamiętam, że staraliśmy się z zaminować jakieś drzwi na dole, żeby nie mogli nas obejść i tamten strażnik.. Jake wydał reszcie ładunki kiedy.. My.. Pamiętam tylko błysk..

- Jak to Jake? Przecież on był ze mną w grupie i zginął właściwie na samym początku wyprawy w zasadzce. Poza tym skąd się u was wziął? Mówił zaaferowany Morgan

– Och, jak to? Kochany zapomniałam powiedzieć Ci, że po ataku tych szponów śmierci na pustyni zabraliśmy jeszcze kilka osób..

Po tych słowach Morgan już sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Postanowił poczekać i zbierać informacje a może zagadka się wyjaśni. Owładnięty tym zamysłem dostrzegł wkrótce na ciele Patrycji jakieś niewielkie kuliste blizny. Zapytał o nie, lecz dziewczyna nie pamiętała skąd może je mieć.

– Może to ślady od komory, pancerza czy coś.. dodała gładząc delikatnie swoje ciało.

Kapitan chwiejnym krokiem (nie spowodowanym spożyciem alkoholu) skierował się w stronę drzwi wyjściowych żądając stanowczo opuszczenia statku po czym zaczął panikować. Mówił o niestworzonych rzeczach, zdrajcach we własnych szeregach i niezniszczalnej bestii. Nie możemy tu zostać ani chwili dłużej! Twierdził, iż stwory które ich osaczyły nie były z tego świata, że wszyscy zginiemy, jak się nie ruszymy itp. Nowy i Morgan bardzo starali się pozlepiać to, co powiedział dowódca i Patrycja w całość jednak nic nie miało dla nich większego sensu.. Jak bowiem zwłoki o których opowiadano z taką grozą zwyczajnie sobie spoczywały nie próbując się podnieść. Inna sprawa tyczyła się zmarłego Jake'a. W końcu zginął na polu bitwy więc jak mógłby wstać zza grobu i znaleźć się na drodze grupy pierwszej.

- To po prostu niedorzeczne! Już byłbym w stanie uwierzyć w kosmitów niż to, iż Jake parzy sobie teraz kawusieńkę przeglądając poranną prasę pustkowi.. Rzekł naradzając się z przybyszem mechanik.

- Dobra, pozostawmy to na później. Są rzeczy ważniejsze w tym momencie jak to, gdzie podział się nasz strażnik oraz to co tu się dzieje.

- Menda pewnie zgubiła się w tych cholernych korytarzach. Do diabła! mam nadzieję, że nie natknie się na te przeklęte stworzenia.

- Chodźmy lepiej sprawdzić archiwa, może dowiemy się czegoś więcej rzekł z nadzieją w głosie przybysz.

- Dobra, poszukaj czegoś. Zaraz do Ciebie dołączę.

Morgan podszedł do Patrycji, która starała się dowiedzieć od kapitana co zaszło, gdy straciła przytomność lecz kapitan nie był w stanie odpowiedzieć na jej pytania. Mówił jednak o tym, iż któryś z jego ludzi sabotował swoją własną linię obrony rzucając swoim wycofującym się kompanom granatem w plecy. Co go do tego zmusiło? Czy rozkaz zejścia w głąb struktury wydał mu się absurdalny? Wiedział, że jedyną karą za dezercję jest śmierć! Przecież to najlojalniejsi ludzie jakich wydała nam matka Krypta!

Co prawda Patrycja nie pamiętała tego, co działo się później lecz ktoś najwyraźniej wrzucił ich do tych pojemników..

Nadszedł Morgan, spojrzał na osłabioną dziewczynę nadal okrytą kocem i z troski zapytał

- Wszystko w porządku Patris?

- Chyba tak kochany.. Jest mi jeszcze strasznie zimno ale to normalne po tak długim odpoczynku w tych warunkach.. Myślę że kapitan ma rację, nie powinniśmy zwlekać z opuszczeniem statku..

- Gdy tylko znajdziemy Ovitza, zabierzemy się stąd.. Obiecuję!

Mechanik podszedł do przybysza, który włamał się zrećcznie do systemu i przeglądał dane.

- Jakież eksperymenty chyba nie? Dodał przybysz.. To chyba jest ich odnoga medyczna.. Cóż cokolwiek się tu znajduje powinno raczej służyć ludzkości. Widzisz coś ciekawego?

- Pobieram informacje z centralnego mega-komputera połączonego z całym tym statkiem ale i tak mam dostęp do bazy danych wyłącznie tego pomieszczenia.. Może znajdę zapisy wideo..

Kapitan był już uzbrojony i gotowy do działania. Profilaktycznie przewrócił pobliski stół nieopodal uszkodzonych drzwi i wymierzył pistoletem w kierunku wyjścia. Widocznie nerwy nie dawały mu spocząć gdyż przywłaszczył sobie pobliską butelkę tradycyjnego w cywilizowanych krajach środka do odkażania (czytaj butelkę wódki).

Minęło kilka minut po czym nastął postęp.

- Chyba coś mam! krzyknął Przybysz ukazując Morganowi zapis na którym widać, jak żołnierz a właściwie starszy stopniem medyk grupy pierwszej wnosił do pomieszczenia w pośpiechu zeszywniałe ciało kapitana oraz bezwładną, zalaną krwią Patris. Na jej pancerzu widniały dziury po pociskach z których sączyła się krew. Krew, którą dostrzegli w

pomieszczeniach medycznych była w istocie krwią dziewczyny i upływała powoli wraz z substancją w której była zanurzona. Widząc to Morgan zeszywniał ze strachu.. Poczł się, jakby miał przed sobą ducha. Patrzył teraz na Patrycję z okropnym przeczuciem i lękiem w oczach a szczęka opadła mu zupełnie. Kotku stało się coś?? Zapytała smutno, widząc obłędne spojrzenie swojego faceta.

Mechanik był w szoku lecz zebrałszy swoje myśli zadał nowemu krótkie pytanie.

- Ale.. Ona.. Nie żyje?!?

Przybysz pokazał Morganowi dane medyczne z których wynikało, iż została zanurzona w mieszaneczce zwanej

żelem biomedycznym, dalsze zapisy wzmiankują złożone procesy odzyskiwania i regeneracji (które wieńczą się procesem sztucznej

Hibernacji potrzebnej w celu odzyskania stopnia świadomości rzeczywistej zakrojonej na chemio-kwantową regenerację podświadomości).

- Wiesz, moim zdaniem to zginęła ale nie wiem, jak to jest przeżyć własną śmierć. Nie pytaj jak udało im się ją wskrzesić.. Morgan spojrzał niespokojnie na Patrycję. Wyglądała tak bezbronne i niewinnie.. To pewnie był dla niej wielki szok.. Lepiej to opatrzyć.

Miała szczęście, wielkie szczęście pomyślał. Cokolwiek uczynił nasz człowiek, doprowadził do tego, iż moja Patris jest przy mnie i.. Żyje! Jak genialna musiała być ludzkość przed wielką wojną pomyślał mechanik. Już wszystko dobrze .. Dodał po chwili Morgan z obawą w głosie widząc, jak zabandażowana Patrycja siada wyraźnie zmęczona na krześle.

- Musimy Cię stąd zabrać Patris. Jeszcze użyjemy stimpaka, może to Ci trochę pomoże..

W pobliżu dało się posłyszeć kroki. Były to ciężkie kroki człowieka w pancerzu wspomagany.. Zapewne to Ovitiz nadciągał.. Pomyśleli przybysz i mechanik. Nowy sprawdził jeszcze wyświetlacz na którym ukazał się plan pomieszczeń i zmierzającą w ich stronę postać zbrojnego strażnika.

- Najwyższy czas skomentował Morgan dając znak nowemu, by wyszli mu na spotkanie. Już mieli się zbierać i wszystko było by dobrze gdyby nie fakt, iż na szeregu innych wyświetlaczy podglądających korytarze zaczęła ukazywać się mroczna sylwetka infiltrująca pomieszczenia z zawrotną szybkością.

- Dostrzeżono wroga! Krzyknął nowy. Morgan widząc wyraźnie osłabioną dwójkę zdecydował za kapitana krzycząc niespokojnym głosem

- Patris! zostań tutaj z Kapitanem, wyjdziemy po Ovitza i zaraz wrócimy!

Morgan i bezimienny ruszyli przez korytarz biegnąc, co sił w nogach. Mechanik w biegu zakładał hełm lecz dla pewności wyjął to, co zostało mu jeszcze w plecaku.. Przedmiotem tym okazał się być granat odłamkowy w asyście Deserta 50cal. Lepiej jednak mieć coś pod ręką niż bić się na pięści pomyślał mechanik. Lepsze to niż stwierdzenie teraz to dopiero mamy przejebane. Z taką więc optymistyczną myślą pokonywano kolejne metry ciągnącego się w zielonej poświacie statku kosmicznego.

Widząc przygotowania Morgana, bezimienny jakby na zatwierdzenie przeladował ogniwa energetyczne w celu zapewnienia maksymalnej mocy rażenia. Pomieszczenie w którym się wcześniej znajdowali miało jedną drogę wyjścia więc cokolwiek, na co natrafiliby na drodze do mostku kapitańskiego z całą pewnością będzie miało do czynienia z dwuosobową linią obroną.

Gdy dobiegli na miejsce Ovitiz stał z Volcano wycelowanym prosto w drzwi, przez które docierali do pomieszczenia docelowego.

- Ani kroku dalej bo zrobisz z was sitko! Krzyknął Ovitiz w stronę Morgana i bezimiennego.

- Ovitiz! To my, uważaj na tego suchara!

- Ten suchar przeżył jako jedyny! Statek opanowało coś dziwnego, część załogi zginęła a to

coś może przybierać kształty pokonanych.

Ale po cholere ja wam to mówię, pewnie już dawno wami się zajęły!

- Ovitz! Ocipiałeś!? Wszystkich chcesz posłać do piachu bo myślisz że tak będzie najlepiej?!

Zagrożeniem jest ten suchar! To on tu wszystkich pozabija! Widzieliśmy, jak cię śledził.. A może to ty już nie żyjesz? I tylko tak pieprzysz żeby strzelić nam przy pierwszej okazji w plecy?!

Krzyczał Morgan cały czas starając się nie sprowokować nikogo do strzału.

- Tak? To jak wytłumaczysz to?! Zapytał Ovitz i uruchomił projekcję jednego z wcześniejszych zapisów Kapitana. Na dużym ekranie pojawiła się już dobrze im znana twarz. Tym razem człowiek ten

był mniej zmęczony niż na zapisach które dane było im widzieć. W jego oczach widniał blask szaleństwa. Opowiadał chaotycznie, mówił o dziwnych istotach zmieniających kształty. Lament tyczył się również ginącej załogi oraz tego, iż nikt już nie wie, co może ich powstrzymać. Na samym końcu przemówienia dołączony był zapis, w którym istota o mrocznej, szpiczastej sylwetce morduje załoganta, odprawia dziwaczny gest brodząc lewą kończyną w spuszczonej krwi swej ofiary i przemienia się poległego.

Morgan i bezimienny stali tępo wpatrzeni w projektor zastanawiając się, co dalej zrobić z tak nieprzychylną wizją tego w co się właśnie wpakowali.

- Cudownie! Więc nikomu nie można ufać.. Nie podobają mi się zasady tej gry. A co, jeśli Patrycja i kapitan są jednymi z nich? dorzucił swoje ironicznie przybysz.

- Sam widziałeś, że medyk wniósł ich, by ratować. Gdyby nie On, to już dawno by nie żyli! Skontrolował zaprzeczając tezę Morgan.

Jerry tylko stał mierząc w pozostałych swoim karabinem, rozważał to, co usłyszał. Założył jednak iż jest to pułapka!

Strażnik zdawał sobie sprawę z tego iż pewnie nie wyjdzie z tego żywy. Zadał sobie szybko w myślach pytanie

czemu jeszcze tutaj stoję? Czemu jeszcze tego wszystkiego nie wysadziłem w cholere!?

Przynajmniej nic by stąd nie wyszło.

Po tych słowach, usłyszeli za sobą głuchy trzask i nieludzki śmiech. Wszyscy zajęli pozycje dogodnie pod zasadzkę jednocześnie

Kierując swój oręż w stronę drzwi, zza których dochodziły owe hałasy. Wszystko działo się w błyskawicznym tempie. Oto czekali skryci za panelami kontrolnymi, metalowymi filarami oraz pustym fotelem w którym siedział niespokojny truposz. Tak czekając spoglądali na siebie podejrzliwie, nie wiedząc czego się spodziewać.

W chwilę później na mostek kapitański wkroczyły normalnym krokiem trzy postacie. Z powodu niewydolności systemów zasilających stały teraz skryte w ciemności krocząc powoli, jakby przeczesując obszar na którym się skupili. Skryci w ciemności wojownicy już po chwili byli w stanie ich zidentyfikować.

Postacią zbliżającą się do przybysza, był Jake! Którego nigdyś pochowali po ciężkich bojach, kapitan, który powinien być teraz przy Patrycji oraz sama Patrycja! Morgan nie mógł wyjść ze zdumienia, że widzi swoją ukochaną skoro właśnie zostawił ją za sobą w sektorze medycznym. Widok owych postaci doprowadził znajdujących się na mostku kapitańskim wojowników do niemałego zamieszania rozsądku. Jerry próbował zachować zimną krew. Prawdopodobnie zebrane wcześniej informacje wystarczyły mu za solidną podstawę do zdystansowania się do otaczającej go rzeczywistości. Nie ufał już nikomu znajdującemu się na pokładzie.

Podchodzący kapitan zaczął nawoływać po imieniu swoich podwładnych a Patrycja stojąca u jego boku bacznie obserwowała otoczenie. Ukryci wojownicy zdawali sobie sprawę z tego, iż zostali wykryci.

Kapitan zwrócił się w końcu do Ovitza, aby porządkował się rozkazom i z całą resztą wykonał powierzone mu cele zanim zostanie postrzeżony jako zdrajca. Na te słowa strażnik powstał. Stał przed kapitanem ze złowieszczo skierowaną w jego stronę obrotową. Uzbrojona i opancerzona Patrycja stała u jego boku i natychmiast zareagowała podnosząc swój karabin w kierunku Ovitza gotowa do strzału. Nie wydawała się już być zmęczona dostrzegł Morgan. Wkrótce jednak powstał z odbezpieczonym granatem i uniesionym w kierunku Patrycji pistoletem. Widząc to Przybysz postąpił podobnie mierząc z laserowego karabinu do dowódcy.

Sprzeciwiasz się woli nadzorcy?! Rzekł do Ovitza.

Patrycja zaraz, gdy dostrzegła Morgana opuściła swoją broń i powolnym krokiem podeszła do targanego emocjami mechanika, któremu teraz pistolet zaczął nerwowo drżeć w ręce.

- Ani kroku dalej! Krzyknął obłądnie Morgan zanosząc się rozpaczą, iż nigdy nie mógł by skrzywdzić swojej ukochanej a tym bardziej do niej strzelić!

- Ale kotku.. Dlaczego? Powiedziała łagodnym kobiecym głosem Patrycja. Minęło tyle czasu, pamiętasz co chcieliśmy zrobić, po wyjściu z Krypty? Założyć rodzinę, żyć pełnią życia i szaleć do upadłego na nowej drodze życia którego mieliśmy stać się nową częścią pamiętasz? Wszystko to niestety było prawdą, może poza tym, że dzieci miały być później a zabawa najpierw ale mętlik w jego głowie nagle zagłuszał jego wcześniejsze założenia i już sam nie wiedział co ma myśleć. Morgan, zatracając się w rzeczywistości uległ lekkiemu dziewczęcemu uśmiechowi spod pancerza bojowego.

Wszystko to było tak rzeczywiste, że aż niemożliwe.. Patrycja wyciągnęła dłoń w kierunku dłoni mechanika który zaczynał opuszczać swój pistolet, gdy nastąpił pusty łoskot. Morgan aż przyklęknął odrzucony siłą wybuchu, która przed nim nastąpiła natomiast jeszcze niedawno wyciągająca swą dłoń dziewczyna w pancerzu bojowym poleciała uderzając z gruchotem o ścianę nieopodal przybysza. Morgan spojrział w stronę, z której oddano strzał.

- Przeklęta suka! Dodała ledwo stojąc na nogach w chmurze dymu Patrycja zrzucając na posadzkę łuskę od granatnika 40mm. Od razu w kierunku Patrycji poderwał się Jake. Morgan już bez wahania skierował swój pistolet w kierunku biegnącego zabójczym tempem w Jej stronę odkształconego teraz od oryginału oponenta. Strzały które dochodziły celu były jakby wchłaniane.

Stwór imitujący Jake'a uderzył z rozmachem dziewczynę, która uderzyła bezwładnie o posadzkę tracąc po drodze przytomność. Morgan ruszył z miejsca by odepchnąć od niej potwora, który widocznie tylko na to czekał a wyprowadzony cios powalił obrońcę, który miał teraz spore wgniecenie w pancerzu wspomaganym i znikome ilości energii do jego funkcjonowania.

Widząc to Nowy skierował swoją broń w kierunku istoty, która powaliła Morgana. Coś pochwyciło go jednak przy przymierzaniu za nogi. Był to rozerwane połączenie tego, co zostało z istoty naśladującej Patrycję. Najwyraźniej miało problemy ze spójnością myśli, sprzętu czy czegokolwiek tam używało do zmiany w innych gdyż raz po raz zamieniało się w starszego medyka, który niósł dziewczynę i kapitana do komór. Zarówno jednak Ovitza jak i stojący przed nim kapitan stali naprzeciw siebie wpatrując się sobie w oczy.

Widząc, iż cała sytuacja się ustabilizowała, oraz to do czego zdolne są stworzy Strażnik w końcu zapytał

- Masz chęć ukazywać się pod Jego postacią?! Nie wystarczy ci odwagi aby pokazać własną twarz? Podsycił wszystko Jerry nie spuszczając Volcano ze swojego celu.

- Właściwie wszyscy jesteście już MARTWI. Nie wyjdziecie stąd toteż nie zrobi mi to różnicy.

powiedziała istota po czym przemieniła się na oczach wszystkich w wysokiego człowieka o długich czarnych włosach.

Ubrany był w wykwintną, czarną koszulkę jak i również wykwintne spodnie stojąc pewnie w ciężkich magnetycznych butach.

- Co wam to daje?

- Na dobry początek może odpowiecie na kilka naszych pytań?

- Z racji tego że za chwilę zginiecie możemy odpowiedzieć. Nie żeby to był jakiś szczególny rodzaj opiekuńczości czy dobroci z naszej strony ale i tak nie przekazecie nikomu dalej zgromadzonej wiedzy... Mówiła stanowczo postać wynosząc się ponad wszystkich.

- Nie waz się przebywać tej postaci dupku! Wykrzyknął Ovitiz.

- Jesteś na tyle nieokrzesany? Czy głupi, mając czelność obrażać Mnie w ostatnich chwilach swojego życia?! Odrzekł stwór którego najwyraźniej bawiło manipulowanie ludzkimi uczuciami jednak, może dla zabawy przemienił się w niewysoką, zgrabną dziewczynę o blond włosach sięgających poniżej ramion odpowiadając.

- Zadawaj pytania, bowiem kolejna minuta zwłoki jest twoją minutą straty.

W tym czasie postać obezwładniająca bezimiennego, złapała Go od tyłu za gardło. Postać która powaliła Morgana próbowała zdjąć jego hełm wspomagany, jednak nie podołała temu zadaniu, co najwyraźniej ją zaskoczyło. W końcu to Morganowi kazali zdjąć hełm pancerza jednak ten nawet nie drgnął. W złości pchnęli bezimiennego przed siebie tak, że ten uderzył głową w kant stołu po czym upadł z głuchym łoskotem na podłogę. Morgan leżąc bezwładnie na ziemi starał się powstrzymać gniew, który pchał go do tego, który odważył się tknąć Patrycję. Chciał się ruszyć, ale zdołał się tylko przewrócić z jednej strony na drugą tak, iż widział dziewczynę, która odzyskała przytomność i siedziała teraz pod ścianą.

Ovitiz zapytał najpierw o to, czy tak wysoka odporność na konwencjonalną broń jest u nich całkowicie wrodzona.

- I tak, i nie. Cały ten statek jest olbrzymią bazą wiedzy i postępów, jaką utraciła ludzkość w następstwie wojny. Skorzystaliśmy zarówno z posiadanej technologii jak i przyspieszeniu własnych procesów ewolucji.

- Co z tymi procesami zamiany w ludzi? Jak to wytłumaczysz? Przeciągnął Ovitiz.

- Nie zrozumiesz tego procesu, jednak w uproszczeniu wystarcza nam bezpośredni kontakt z daną osobą, krew dodatkowo jest nośnikiem wiedzy i wspomnień oddzielającym życie od śmierci. Musisz być na wyższym kręgu spójności neuronów mózgowych by to dostrzec.

- A co jeśli wysadzę całą waszą budę w powietrze? Zapytał śmiertelnie poważnie strażnik wyciągając radiowy detonator sklecony ze starego radia.

Strażnik dostrzegł zaskoczenie w oczach stojącej istoty.. Wykorzystał to i ciągnął dalej. Zaminowałem obiekt, i nawet nie domyślicie się gdzie podłożyłem wam świnie. Wyobraź sobie tę wspaniałą wizję.. Nawet jeśli jakimś cudem nie wy sami, to cała wasza wiedza i dobytek pójdą z dymem, w końcu i tak nie mamy nic do stracenia..

- Postać chwilę analizowała daną sytuację po czym patrząc w oczy Jerrego uśmiechnęła się szyderczo dodając:

- Myślisz że nabierzemy się na twe denne sztuczki? Nie doceniasz nas!

Cholera! Pomyślał Ovitiz trzymając w ręku atrapę, przejrzeni mnie!

Nastąpił niezręczny moment, który ponownie został zwieńczony strzałami.

To Prawdziwy kapitan strażników dogramolił się z niemałymi problemami do pomieszczenia! Ale z tego, co było widać nie przybył z

Jakąś wielką armatą czy supernowoczesną bronią budzącą postrach i grozę. Był to średni gabarytowo pistolet noszony przez Dowódców polowych niedużego kalibru.

No to wspaniale Pomyślał Ovitiz widząc tak daremny widok.. Co On sobie myślał?! Postradał rozum?

Stojąca przed Strażnikiem postać dziewczyny w poplamionym ubraniu (najwidoczniej musiała być tutaj kucharka) otrzymała trzema pociskami. Pociski tradycyjnie wbiły się w postać zaraz po czym tak, jak spodziewali się wszyscy nic się nie stało..

- Głupcy! konwencjonalna amunicja na nas nie działa! Krzyczała ślicznie wyglądająca dziewczyna jednak po chwili w miejscu, gdzie wbiły się kule, jej ciało zaczęło sinieć, aż w końcu wśród niemiłosiernych ryków spowodowanych bólem zaczęło

pękać na drobnieteńkie kawałeczki plamiąc truchłem ubrudzoną już krwią posadzkę...

- A co powiesz na małą wkładkę? Alkohol na przemian z cyjankiem potasu spróbuj zaabsorbować zakało! Kontynuował niezdrowo wyglądający przywódca.

- Pociski chemiczne! Krzyknęła tępo postać.

- Radzę więc przemyśleć dokładnie następny krok ponieważ może się on skończyć równie źle jak los, przyjaciela, chociaż w sumie może to przyjaciółki... Rzekł lider patrząc na destrukcyjny wpływ środków na dany organizm. Widząc i słysząc Ovitz zareagował natychmiast. Wyciągnął z sakwy butelkę mocnego trunku (zwykle nosi przy sobie alkohol nie zważając na warunki takie jak np. obstrzał z rpg, czy walka na samym środku bitwy) po czym wlał do komory wypełnionej amunicją. Zegar

wskazywał godzinę 7:06 czyli czas w którym miał obiecany swój własny koniec.

- Czas umierać! Krzyknął Ovitz po czym wystrzelił serię pocisków w postać, która przewróciła wcześniej Morgana i jego dziewczynę.

Z działka wręcz trysnęło ołowiem i alkoholem z racji niewielkich odległości. Przeciwnik zasypywany Gradem pocisków miał uzasadnione problemy z dotarciem do celu słabnąc z każdą chwilą. Zdołał tylko umierając krzyknąć boleśnie.

- Mój duch będzie żył wiecznie!

Postać topiła się, zupełnie jakby wrzucić człowieka go świeżej lawy wulkanicznej, wydając przy tym z siebie bliżej niezidentyfikowane dźwięki. Przybysz widząc całe to zajście wyswobodził się w nagłym napływie woli walki i trzasnął kolbą karabinu w twarz rozerwanej nieco postaci odtraconej od niego o półtora metra. Tyle w zupełności wystarczyło, aby strzałki z trucizną dosięgły bezradnego celu.

Postać, która próbowała uciec nie miała szansy na przeżycie nie licząc już ilości kul wystrzelonych przez Ovitz, który z miną szaleńca naciskał raz po raz swój mały, czerwony guzik zagłady.

Morgan patrzył z nadzieją na topniejące w oczach zwłoki, gdy poczuł iż usiadła przy nim Patrycja wyglądająca na wycieńczoną..

- Tak to już chyba wszystko, co musimy tutaj zrobić.. Rzekł mechanik przechodząc z pozycji leżącej na siedzącą po czym objął swoją ukochaną sanitariuszkę.. w końcu byli razem.

- Po tylu trudach nasza akcja ratunkowa okazała się być sukcesem rzekł z radością Morgan trzymając dziewczynę w objęciach.

Dostrzegł radość na Jej twarzy, starał się teraz by ta chwila trwała jak najdłużej.

- Świetny strzał szefie! Dodał w radości Ovitz po czym zasalutował Dowódcy.

Lider stał, spojrzawszy tępym wzrokiem na Ovitz po czym, upuszczając pistolet rzekł

- Długo mam wam jeszcze tłumaczyć że powinniście ruszać? Wszyscy którzy przeżyli, jednomyślnie uznali iż to, co tutaj zobaczyli zagrażało całej (nielicznej zresztą) ludzkości która próbowała się odrodzić na ziemiach . Trzeba chronić to, co dobre a zniszczyć co złe stwierdziła Patrycja osłabionym głosem. Morgan dostrzegł na jej twarzy grymas bólu i jakby wielki wysiłek, który jest przypłacany jej zdrowiem. Nie powiedziała mi wszystkiego.. Pomyślał zaraz. Po tych słowach zebrani przytaknęli a na twarzy dowódcy pojawił się nikły uśmiech. Siedział teraz ze spuszczoną głową trzymając się mocno za bark i choć jego sylwetka nie była na pierwszy rzut

oka naruszona, to jednak coś było nie tak. Chciałem wam coś powiedzieć, zanim to się skończy.. Wszyscy skierowali swą uwagę na przemawiającego. –Nie traćcie nadziei i miejcie wiarę, bowiem nastanie czas odbudowy cywilizacji. Śmierć to tylko nieunikniona część naszego życia. Wojownicy zaczęli dostrzegać iż z miejsca, które przytrzymał dowódca zaczyna cieknąć krew oraz przeźroczysta substancja zwana żelem biomedycznym. Przestraszony tym faktem Morgan pamiętał zapisy filmowe, które ujawniły iż kapitan wraz z Patrycją zostali wniesieni na sektor medyczny w stanie, który potocznie nazywamy zgonem. Tylko nie to!! Krzyknął mechanik upadając na kolana przy opartej o ścianę ukochanej. Z pesymistycznych myśli zmieszanych teraz z rozpaczą, bólem i bezsilnością wcale nie wynikało nic dobrego. Patrząc cały czas na oszołomioną Patris dostrzegł wyraźną plamę na jej ubraniu w okolicach biodra i klatki piersiowej. Zdeterminowany mechanik postanowił ratować swą dziewczynę. Podniósł jej koszulę, i zaczął analizować Jej stan. Dostrzegł, iż z dziur po pociskach (będącymi zarówno bliznami) zaczynają wypływać nieczystości. Były to martwe komórki, które nie były w stanie przeżyć bez sztucznej regeneracji. Najwyraźniej proces regeneracji, któremu została poddana jego ukochana był dopiero w fazie testów, która zakładała poświęcenie ludzi bez wyboru(w celach oczywistej kalibracji procesów i wyeliminowania niedoskonałości).

Morgan, nie miał już wątpliwości. To, o co walczył.. O dziewczynę, która pragnęła być z nim i tworzyć przyszłość zaczynało odchodzić w przeszłość zwracając śmierci władzę, którą genialni uczeni próbowali jej odebrać.

- Nowy! Sprawdź jak uruchomić tę komorę regeneracyjną.. Musi udać się nam wskrzesić Ją ponownie! Przybysz przeanalizował dane. Niestety większość z informacji, które były w zawarte teraz na jego pip boy'u nic mu nie mówiły.. Pokaż! Rzucił w końcu Ovitza.. Oboje stali teraz nad dwójką bezsilni.

- To nie potrwa już zbyt długo ukochany.. Błagam Cię! nie zostawiaj mnie.. Zawsze będziesz w moim sercu.. Duszy..

- To usłyszawszy Morgan łkając trzymał Ją za rękę i błagał, aby nie odchodziła.. W końcu to wszystko ustało.

Nastąpiło ogólne milczenie, wszyscy spoglądali na dwie trzymające się za rękę postacie. Jedna z nich właśnie definitywnie zakończyła swój żywot a druga nie wiedziała co ma z sobą począć. Przybysz spojrział na pobojowisko. Było mu żal mechanika. Nie zasłużył na swój los.

Morgan ściągnął hełm, który odsłonił spływające łzy. Siedział przy martwej dziewczynie jakby nie zważając na upływający czas.

- Wiem stary co musisz teraz czuć... Powiedział Jerry.

- Gówno wiesz! Znowu mogłem z Nią być! Odzyskałem nadzieję a tymczasem wszystko poszło nie tak jak trzeba! Krzyczał Morgan

- Miałem podobnie, nie mówiłem Ci wszystkiego z mojej wyprawy.

- To może mi powiesz?!

- To nie czas i miejsce. Zabierajmy się stąd, zniszczymy ten statek raz na zawsze...

- Chyba tak... Powiedział przybysz z Krypty rozcierając sobie krew z rany która powstała gdy uderzył głową w kant stołu.

Mechanik zamknął oczy i okrył chustą z okropnym uczuciem ciało Patrycji. Jeszcze chwila..

- Morgan, musimy iść..

Czując bezgraniczną pustkę ból i beład Ovitza nie wiedział jak pomóc mechanikowi więc postanowił nie pogarszać i tak już złej sytuacji. Jako strażnik, uczony był nie ukazywać emocji by nie zdradzić swoich słabych punktów przeciwnikowi. Może to i surowe podejście do świata, ale widocznie Jerry miał się dobrze i przede wszystkim żył. Jak i po co.. Wiedział chyba tylko on sam. Może ludzka filozofia nakazuje kształtować przyszłość wedle własnego uznania? Można by

i nad tym pomyśleć.

- Dobra, pora opuścić to miejsce... Stwierdził Jerry grzebiąc na głównym panelu sterowania. Najwyraźniej po śmierci tych nadludzi wszystko zostało udostępnione.

- Musieli mieć potężną władzę, gdy ingerowali w działanie tej elektroniki pomyślał przybysz.
- Ustawił mechanizm autodestrukcji na 15 minut.

Morgan wziął pod rękę bezimiennego, który miał pewnego rodzaju bóle podczas przemieszczania się, natomiast Ovitiz zabrał z komputera pokładowego nowoczesną krystaliczną kosteczkę pamięciową, którą my nazwalibyśmy dyskiem twardym. Widząc iż kapitan poległ, strażnik odwrócił się twarzą do niego. Zasalutował i pośpiesznie opuścił mostek kapitański zaraz za towarzyszami. Biegli krótką chwilę po czym nowy nagle zapytał.

- A gdzie my u licha jesteśmy?
- Tu powinno być wyjście! Powiedział Ovitiz wskazując ręką na zabudowaną ścianę.
- Jakbyś nie zauważył to TU NIE MA PRZEJŚCIA! Krzyknął Morgan.
- Kurwa, myślałem, że dobrze szliśmy, Ovitiz, na ile ustawiłeś autodestrukcję?
- Zostało nam 9 minut, nie zdążymy się wrócić...

- Panowie, nie ma tutaj przejścia, przynajmniej na razie... Musimy je sobie sami zrobić bo ja nie chcę tutaj zginąć... wypowiedział z niemrawym uśmiechem na twarzy bezimienny po czym wszyscy przygotowali broń i zaczęli strzelać w ścianę która przed nimi stała. Przez chwilę wydawało się że nie ma takiej mocy która mogłaby ją zniszczyć. Ovitiz z bezimiennym ustalili, że wymierzą w to małe uwypuklenie przy pobliskim panelu, które powstało po awaryjnym lądowaniu na owej planecie. Ze ściany zwisały grube kable ciągnące się obok soczystego wgniecenia pobliskiej ścianki. To z pewnością od samego generatora stwierdził mechanik widząc iż linia nadal jest obciążona.

- Zrobimy trochę szkód i podgrzejemy to miejsce stwierdził po czym przestrzelił kabel główny a z końca posypały się potężne wyładowania elektryczne.

A co mi tam stwierdził Morgan i zaczął się kierować w stronę przestrzelonego kabla próbując go złapać. Ovitiz krzyknął

- Oszalałeś?! Chcesz się zabić?

Lecz mechanik złapał wzdrygający przewód i skierował go w kierunku wgniecenia. Nastąpiło poważne wyładowanie elektryczne, po którym metalowa ściana bardzo się nagrzała. A mechanik? Ku uciesze wszystkich nadal żył choć jego pancerz na chwilę się wyłączył. Dobra oporność stwierdził żwawo Jerry po czym dał sygnał nowemu do otwarcia ognia.

Wpierw wystrzelił bezimienny, zaraz po nim serią w ścianę uderzył Ovitiz. Ścianę zasypał grad pocisków. Ovitiz przestał strzelać, by przyjrzeć się rezultatowi. Materiał był solidny i pomimo starań nadal tworzył barierę ochronną statku.

Morgan uznał iż jest to najlepszy sposób na osłabienie bariery więc nie zważając na konsekwencję pochwycił ponownie przewód. Wielka dawka energii ponownie popłynęła po ścianie i w konsekwencji po stalowej posadzce. Mechanik wydał z siebie w końcu okrzyk bólu po czym odrzucił go resztkami sił. Rozgrzana ściana tym razem dała za wygraną. Strzelający w nią strażnik z przybyszem doprowadzili do tego iż w pewnym miejscu rozerwała się na strzępy tworząc niezgrabne przejście na zewnątrz.

Bezimienny wyskoczył pierwszy, zaraz za nim Morgan a jako trzeci próbował się przecisnąć Jerry ale utknął z powodu zbyt dużych gabarytów swojego działka do którego miał teraz specjalny plecak na amunicję zamiast standardowej komory. Morgan z bezimiennym krzykali do niego żeby to zostawił ale Jerry nie chciał nawet słyszeć o możliwości pozbycia się swojej ukochanej zabawki. W pewnym momencie ściągnął Volcano przepchnął je do przodu przez wypalony otwór w kierunku bezimiennego. Nie przewidział jednak, że ten ciężar będzie dla

niego trochę za duży... Działko padło na niego a on razem z Volcano upadł na piach. Ovitz tym razem żwawo przebrnął przez otwór i wyskoczył z ISS StarDust na gorący piasek. Podbiegł do bezimiennego leżącego zaraz przy statku i ściągnął z niego Volcano. Teraz wszyscy odbiegali od statku w kierunku swojego Humvee. Wkrótce też wojownicy zasiedli w samochodzie. Mechanik szybko uruchomił silnik i wrzucił wsteczny bieg, aby jak najbardziej oddalić się od stalowej pułapki w której się przez ostatnie kilka godzin się znajdowali. Gdy już odjechali na bezpieczną odległość Morgan zapytał się Jerrego

- Ile jeszcze zostało czasu?
- Eee... Jerry popatrzał na minutnik. Statek powinien wybuchnąć jakieś 4 minuty temu!
- Ustawieś samozniszczenie statku?
- No tak...
- A zatwierdziłeś ją?
- Eee... Czy zatwierdziłem... Słuchaj, tam nie pisało nic więcej o

W tym momencie nastąpiła potężna eksplozja, która wyrzuciła stertę żelastwa w powietrze obok kłębow czarnego dymu przypominającego atomowego grzyba.

- Albo mi się wydaje, albo oni sami zaprogramowali ten statek do pośmiertnej destrukcji..
Dodał zaniepokojony przybysz z Krypty.

- Mamy to z głowy tak czy owak skomentował Ovitz. Tylko spojrzenie Morgana wyglądało tak, jakby miało eksplodować razem z tym statkiem.

Wpatrzona w płonący statek załoga postanowiła uczcić zmarłych przebywając jednak w bezpiecznej odległości od wybuchającego kolosa. Statkiem co chwilę targały mniejsze eksplozje, które niszczyły go od zewnątrz oraz środka. W pewnym momencie potężna eksplozja oderwała od reszty kadłuba część mostku kapitańskiego w kształcie ptasiej głowy. Kawał żelastwa potoczył się z hukiem po podłożu

po czym stanął w płomieniach. Następna eksplozja rozsadziła całą oderwaną część w drobny złom. Ovitz, Morgan i bezimienny obserwowali jakieś 5 minut, jak rozpada się prawdopodobnie ostatni ze, statków floty ISS. Wrak płonący teraz w siarczystym ogniu z dodatkiem smolistego dymu nie prezentował się tak okazale jak kiedyś, właściwie to nie było jakiegokolwiek porównania gdyż pozostało po nim jedynie kilka powykrzywianych kawałków stali. Nie uchroniło się nic, co mogło by być użyte do czegośkolwiek. Jerry odpalił papierosa obok smutnie spoglądającego w stronę wraku Morgana, po czym uruchomił silnik Humvee. Zanim ruszył wyciągnął z kieszeni wewnętrznej książkę. Podał ją Morganowi mówiąc.

- Jak Ci się będzie nudzić, to przeczytaj to sobie. Ja już przeczytałem początek i powiem Ci że nawet całkiem to ciekawe

- Co to za książka? Skąd?

- Była w biurku kapitana statku więc pomyślałem, że jemu się już nie przyda a nam czemu nie! Powiedział z uśmiechem Jerry

Morgan zabrał książkę do ręki. Była ciężka, oprawiona w czarną skórę i miała jakieś 250 stron. Mechanik popatrzył na okładkę, była tam postać która niosła druga postać na rękach na tle płonącego budynku. Nad tym obrazkiem znajdował się tytuł „Potrzeba istnienia”.

Mechanik otworzył książkę. Na pierwszej stronie byli wypisani autorzy Shinigami Duo Maxwell i Johnny Roker

- Hej Ovitz, jak się nazywał ten kapitan statku?

- Johnny Roker o ile dobrze pamiętam a co?

Morgan pokazał mu autora książki na co Jerry mu odpowiedział.

- Wiem, ale zobacz sobie na kolejną stronę.

Morgan przerzucił kartkę i odczytał dedykację „Kochanemu wnuczкови dziadek Johnny, obyś

nigdy nie musiał decydować o czymś życiu”.

- No tak, to wiele wyjaśnia. Powiedział do Ovitza po czym odwrócił się do bezimiennego. A Ty w ogóle co masz teraz w planach? Jedziesz dalej z nami czy jak?

- Podrzucie mnie do najbliższej osady, potem sobie już poradzę.

Ruszyli wzburzając stertę pyłu. Brnęli tak w zupełnej ciszy może poza szalonym reporterem GNN, który znowu się wydierał do mikrofonu. Morgan i bezimieny postanowili się trochę przespać. Ovitiz pomyślał że wpadną na chwilę do Hub, miasta kupieckiego, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu ponieważ nie mieli za bardzo nawet czym zapłacić a tym bardziej czym się wymienić a

samochodu przecież nie zastawią. Jechali kilka dni, zmieniając się co jakiś czas jako kierowcy. Zatrzymali się gdy już było widać bramy

w niedalekiej odległości. Bezimiennego podwieźli w okolice Kryptopolis.

- Niestety my nie możemy tam wejść, zrobiliśmy sobie tutaj kilku, kilkunastu, no może kilkudziesięciu wrogów... Tak naprawdę to naraziliśmy się tutaj każdemu, kto żyje...

- W sumie tym, którzy nie żyją też się naraziliśmy! Powiedział Morgan osądzając świat żywych i poległych.

- Dobra, dzięki za wszystko panowie, może się jeszcze kiedyś spotkamy! Powiedział bezimieny po czym wysiadł z samochodu i poszedł w stronę bram Kryptopolis.

- A może przynajmniej powiesz nam jak masz na imię? Krzyknął Morgan.

- Lepiej nie, niech zostanie tak jak jest. Do zobaczenia!

Morgan już nie chciał namawiać bezimiennego do niczego, popatrzył tylko na Ovitza i zapytał.

- To co teraz zrobimy? Jakies plany, zamysły?

- Może zobaczymy czy coś się dzieje przy naszej Krypcie?

- Jesteś pewien że chcesz tam wrócić?

- Pewien nie jestem, ale nic lepszego teraz nie mamy do roboty, a może G.E.C.K. jest sprawny.

- No to ruszamy! Powiedział Morgan dociskając pedał gazu do maksimum nakręcając w stronę rodzinnej Krypty 16 a w tle szalony reporter Galaxy News Network darł się razem z wokalistą do refrenu piosenki „Born to be Wild”.

8. Odrodzenie

Jadąc pewien czas w pełnym słońcu dostrzegli, iż na horyzoncie widoczne już były zarysowania gór, w której mieściła się Krypta 16. W miarę zbliżania się do miejsca docelowego pojawiały się coraz bardziej złowieszczo wyglądające ruiny miasta oraz widok, rozerwanej elektrowni atomowej mieszczącej się na samym szczycie góry.

- Ciekawe czy nadal tam żerują... Powiedział Ovitiz wyrzucając kiepa przez otwarte okno.

- Myślisz o ghulach?

- Mhm... zastanawia mnie czy te parszywce jeszcze tam są...

- Cóż Ovitiz, chyba nie masz zamiaru wybrać się tam z wizytą?

- Jak nie będziemy mieli nic innego do roboty to czemu nie? Załadujemy sobie trochę amunicji ze zbrojowni, podleczymy trochę nasze pancerze i będziemy mogli odwiedzić... Starych znajomych.

- Jak uważasz, ale nie podoba mi się ten pomysł, pomyśl o promieniowaniu.. Chociaż z drugiej strony nie ma już nic co moglibyśmy tutaj robić. Nasza Krypta wymarła zanim wypełniliśmy misję, żadna z grup nie przetrwała, w Cienistych piaskach nie chcą nas widzieć, nie mówiąc już o Kryptopolis.

- Zawsze możemy zatrzymać się w Opactwie! Powiedział z uśmiechem na twarzy Ovitiz.

- Tia... Żeby Ci coś pewnego pięknego słonecznego dnia odpięrdoliło, zabijesz jakiegoś klechę i znowu nas wywałą?

- Odpuść, to chyba jedyne miejsce gdzie się ucieszą na nasz widok...

- Z pewnością jak im powiesz że auto które pożyczyłeś jest teraz kupą żelastwa to jeszcze rozłożą nam czerwony dywan.

- No dobra, dobra, odpuść sobie... Zobaczmy co się tutaj dzieje, ciekawe czy ci ludzie których wysłałem tutaj z Kryptopolis jeszcze żyją... Powiedział Ovitiz śmiejąc się ironicznie ale Morgan go zignorował i przestał się do niego odzywać.

Wjechali na drogę prowadzącą do miasta. Morgan ujrzał znajome pobojowisko i miejsce w których przyczaili się na nich napastnicy na krótko po wyjściu z Krypty. Jego twarz była coraz bledsza, w pewnym momencie Ovitiz zapytał się czy wszystko w porządku i czy go nie zmienić ale Morgan tylko kiwnął głową i jechał dalej. Po krótkiej chwili wjechali w zrujnowane miasto. Z niektórych budynków pozostały już tylko nagie szkielety. Drzewka wyrastające z popękane go asfaltu nieco się rozrosły. Morgan rozpoznawał znajome wraki samochodów

spośród których te, wbite w ściany potęgowały wrażenie zniszczenia w mieście.

- Gdybyś miał narzędzia to pewnie czułbyś się tutaj jak w raj.

- Może kiedyś uda mi się coś z tego wyciągnąć odparł Morgan patrząc pierwszy raz na Ovitza od kiedy ten wspominał o ludziach,

których wysłał tu na pewną śmierć.

- Co w ogóle będziesz robił jak uda nam się zbudować miasto przy pomocy G.E.C.K.a?

- Pewnie założę warsztat, pozbieram wszystkie wraki z okolicy, złożę coś do kupy i będę rozwiązywał wszelkie problemy techniczne...

Do tego muszę zdobyć trochę paliwa, smary, płyny.. a Ty jakie masz plany?

- Nie wiem stary, jedyne co umiem robić to walczyć, od zawsze się do tego szkoliłem... Może założę strażę i będę chronił miasto.

Jechali jeszcze z godzinę zanim dotarli do celu. Już po drodze zauważyli kilkoro ludzi ale myśleli, że to albo rabusie albo poszukiwacze zaginionych skarbów dawnej cywilizacji. Na miejscu zobaczyli dwóch podobnych do siebie mężczyzn w długich włosach, ubranych w

skórzane pancerze ze strzelbami którzy stali przy prowizorycznie odbudowanych drzwiach prowadzących do głównego wejścia Krypty.

- O co tu kurwa chodzi? Zapytał Ovitiz Morgana ale ten nie zdążył mu odpowiedzieć ponieważ jeden ze strażników już podszedł i zaczął zadawać pytania.

- Kim jesteście? Skąd wiedzieliście jak tu trafić?

- Jak to kim? Zapytał Ovitiz wysiadając z samochodu, jego pancerz oraz Volcano które trzymał w rękach musiało wyraźnie przestraszyć samozwańcych strażników bram Krypty ponieważ ten który podszedł gwałtownie się cofnął natomiast drugi przygotował broń do wystrzału. Z drugiej strony samochodu wysiadł szybko Morgan przeładowując luźno swój pistolet i krocząc z nim obok Jerrego.

- No to może teraz zmienimy nieco trajektorię pytań i to wy będziecie odpowiadać na nasze pytania... Zapowiedział Morgan a Ovitiz demonstracyjnie rozkręcił swoją obrotową. (stąd zresztą pochodzi ten skrót). Na widok gotowego do strzału Volcano strażnikowi aż upadła strzelba.

- Ovitiz, wyluzuj, widzisz że chłopaki są wystarczająco posrani i powiedzą Ci wszystko co chciałbyś wiedzieć... Rzekł Morgan wyciągając zawleczkę od swojego granatu F1.

- No, to może któryś z Was może mi powie, kto jest Waszym szefem i gdzie go znaleźć... Zapytał Ovitiz.

Człowiek, który podszedł pierwszy podniósł swoją broń po czym stanął pod drzwiami zasłaniając sobą dalsze przejście.

- No to może Ty mi powiesz to co chcę usłyszeć? Zapytał Ovitiz celując Volcano w drugiego z mężczyzn.

- S-s-s-schototten! On nami dowodzi! Powiedział strażnik jękając się.

- No, to pierwsza odpowiedź już za nami, to może teraz zdecyduje się któryś na powiedzenie zmęczonym podróżnikom gdzie możemy go znaleźć?

- Te, Ovitiz, a to nie przez przypadek ten barman z Kryptopolis?

- Nie, włosy tak szybko nie rosną... Powiedział z lekkim zrezygnowaniem Ovitiz

- Ja nie mówię o nim bucu tylko o tym całym ich szefie... Powiedział Morgan z zażenowaniem.

- Eee... No może i racja... Rozum mi lekko wysiadł i zaczynam się powoli robić nerwowy prze te ciągle podróże... Ty, prowadź nas do niego, bo chyba nie chcesz żebyśmy się sami zaprowadzili po Twoich Zwłokach... Powiedział Ovitiz ruszając do przodu.

- Wiesz, kiedyś mógłbym go powstrzymać, ale chyba nie w takiej sytuacji gdy ktoś stoi na drodze do jego domu... Wybieraj bo mnie też coś łapią skurcze akurat na tym palcu który trzymam na spuście.

Mężczyzna odruchowo zrobił krok do tyłu po czym wskazał ręką na prowizorycznie zmontowane drzwi. Gdy tylko weszli zobaczyli kilkunastu uzbrojonych ludzi, którzy stali w tunelu prowadzącym do wrót Krypty którą oświetlały pochodnie przytwierdzone do ściany, rzucające mroczne i posępne cienie na zebranych.

- Jak myślisz Ovitiz, słyszeli? Powiedział ironicznie Morgan.

- Jakby nie słyszeli to by ich chyba tutaj nie było... Ale zawsze dobrze coś zjeść przed powrotem do domu... Zarzucił cynicznym tonem Ovitiz.

- No to teraz wybierzemy z Was jednego człowieka który na ochotnika powie nam gdzie jest Schogotten, co Wy na to??

- Na Waszym miejscu bym się zgodził, no chyba że chcecie żebym podgrzał atmosferę i nieco rozerwał to miejsce...

- On nigdy nie lubił jak mu ktoś wchodził w paradę... W sumie to ja się też robię niecierpliwym...

- Oj Ovitz, nie dziwie Ci się. W końcu do tej pory nikt Cię nie zwolnił ze służby Krypcie...

Po tych słowach przez bardziej wystraszonych niż uzbrojonych ludzi przedarł się Schogotten.

- Nareszcie jesteście! Już powoli zacząłem tracić nadzieję! Opowiadajcie szybko co się działo!

Ktoś chciał coś powiedzieć ale Schogotten wszystkich odprawił aby przygotowali coś do jedzenia dla wyczekiwanych gości, choć z drugiej strony to chyba raczej gospodarzy.

Morgan zapobiegawczo przytwierdził zawleczkę na powrót do trzymanego w ręce obiektu.

- Już traciłem nadzieję, zaraz po tym jak kazaliście mi zebrać ludzi z Kryptopolis i wyruszyć w tym kierunku mieliśmy mały incydent.

Kilku ludzi nas napadło, na szczęście byliśmy uzbrojeni. Potem szliśmy już cały czas tutaj zbierając ludzi, którzy chcieli się przyłączyć. Po zejściu tutaj drzwi do przedsionka (zapewne na buty przed głównymi wrotami Krypty) były zniszczone a dookoła leżało kilka dziwnie wyglądających ciał.

Zrzuciliśmy je ze skarpy. Chcieliśmy przejść dalej, ale nikt z nas nie znał się wystarczająco na elektronice ani nie był na tyle silny żeby ruszyć te wielkie stalowe wrota...

- Za moment je otworzymy! Powiedział radośnie Jerry przeszukując kieszenie swojego pancerza w poszukiwaniu karty Nadzorcy. Kurwa, moja gdzieś przepadła.. Morgan, masz kartę?

- Moment, sprawdzę, ale wydawało mi się że to dowódcy każdej z grup je otrzymywali.

Wszyscy dookoła stali podnieceni w oczekiwaniu na to, że Morgan za chwilę wyciągnie kartę, otworzy Kryptę i zgromadzeni będą mogli rozpocząć nowe życie. Każda chwila zdawał się przeciągać w wieczność. W końcu Morgan krzyknął:

- Cholera!

- Masz? Zapytał Schogotten.

- Jack! On ją musi mieć! W końcu ich grupa rozpoznania dostała specjalny przydział.

- Kto to jest Jack? Zapytał Schogotten.

- Jack jest jednym z nas, w czasie jednej walki został poważnie ranny i musiał zostać w miejscu gdzie raczej niechętnie nas witają.

- Co teraz? Obiecałem tym wszystkim ludziom że jak się zjawicie to rozpoczniemy nowe i bezpieczne życie.

- Jeśli do tygodnia nie wróci to pójdziemy po niego choćby i pieszo... A tak w ogóle to co się stało z napisem na drzwiach? Zapytał Ovitz pokazując na drzwi do Krypty które wyglądały jakby dopiero co wyszły z odlewni

- Jaki napis? Te wrota cały czas tak wyglądały...

- Nie pierdol! Dostaliście się już do środka! Trzymacie z tymi ghulami z elektrowni! Krzyknął Ovitz łapiąc Schogottena za fraki i przystawiając go do ściany

-Ovitz kurwa! Ocipiałeś?! Zostaw go! On nic nie wie...

- Co masz na myśli? Zapytał Ovitz odwracając głowę w stronę Morgana.

- Patrz! Morgan przyłożył rękę pancerza do wrót po czym wskaźnik spójności pancerza w krótkiej chwili wzrósł do maksimum!

- Co to do ciężkiej cholery jest?! Powiedział Ovitz opuszczając Schogottena na ziemię i samemu podchodząc do wrót. Przyłożył rękę, jego pancerz też błyskawicznie się zregenerował za to na drzwiach dostrzegli ponownie różne rysy oraz ślad po kuli, którą wystrzelił przy poprzedniej wizycie Jack. Ponownie dostrzegli zarys napisu „JEŚLI KOMU ZALEŻY NA WŁASNYM ŻYCIU NIECH OMIJA TE DRZWI Z DALEKA”.

- Co to tu licha jest?! Zapytał Schogotten ale nikt nie umiał mu racjonalnie wytłumaczyć co się tutaj stało...

- To miało ładować, tyle wiem z własnych doświadczeń przy naprawie tego żelastwa.

Morgan z Ovitzem stali i patrzyli na wskaźniki swoich pancerzy w nadziei że te wkrótce

stracą przynajmniej część zyskanej przed chwilą energii ale nic takiego się nie stało.

Wszyscy milczeli jeszcze przez dłuższą chwilę.

- Myślę, że ona jest sprawna. Pytanie co będzie w środku.

- To że jest sprawna to wiemy... Zobaczę czy da się z nią połączyć przez pip boya...

Powiedział Ovitiz po czym stanął przy wrotach i uruchomił wbudowany w pancerz PDA. Stał nieruchomo przez chwilę, coś do siebie mamrotał, wszyscy patrzyli na niego jakby za chwile miał się dokonać cud.

- Działa w środku, ale nie uda mi się dostać do mechanizmu bramy.. Jedyne co udało mi się dowiedzieć wskazuje na to, że jest regeneratorem i w przypadku najazdu, oparci o nią żołnierze mieli być praktycznie niezniszczalni. To musi być coś, o czym nas nie poinformowano.. zapewne dowiedzielibyśmy się o tym od nadzorca w sytuacji oblężenia czy czegoś podobnego.. Jerry czytał dalej

system nie stwierdził obecności promieniowania czy innego skażenia więc sam nie wiem..

- W sumie to możliwe, to w końcu technologia przedwojenna, a te pancerze... Skoro były na wyposażeniu Krypty to na pewno mają jakieś... zaraz, jak to nie ma tam promieniowania?! Przecież jak ruszaliśmy z misją to na naszych oczach mutowali ludzie!

-no ale teraz system się upiera że promieniowanie na tym obszarze nie występuje...

- Może się zepsuło? Sprawdził Morgan sprawdzając licznikiem Geigera stan.. wszystko wskazywało na to iż jest zdatny.

- Co teraz zrobimy? Zapytał Schogotten.

- Teraz to potrzebujemy coś zjeść i musimy wypocząć... mamy dosyć przygód na następne kilka lat...

Schogotten klasnął rękami po czym po chwili przybiegł mały chłopiec w poźółklej, wytartej, lekko poszarpanej koszuli oraz przykrótkich spodniach, które kiedyś pewnie były brązowe. Chłopiec spojrział na nich z dołu po czym wykonał ruch ręką i pobiegł w inną część jaskini odwracając się co chwilę, aby upewnić się, że Jerry i Morgan na pewno za nim idą.

Po krótkiej chwili doszli do czegoś co przypominało miejsce spotkań a jednocześnie służyło jako sypialnia. Było to duże i przestronne pomieszczenie w którym znajdowało się kilka prowizorycznie zrobionych stołów oraz krzeseł, a przy ścianach ze skór zwierząt znajdowały się materace. W pomieszczeniu znajdowało się kilku ludzi, którzy natychmiast wyszli gdy ich tylko zobaczyli. Chłopiec czekał na nich przy stole. Podeszli, ściągnęli hełmy. Nie zdążyli nawet się do siebie odezwać kiedy do ich stolika podeszła seksowna barmanka z Kryptopolis, która podobała się Jackowi.

- Jednak wróciliście... Nikt już nie wierzył Schogottenowi, że się pojawicie...

- Dotrzymujemy słowa. Dodał Morgan

- A gdzie jest z Wami... Ten trzeci? Zapytała kelnerka nie ukrywając zmieszania, że nie zna imienia Jacka.

- On, on nie mógł teraz przyjechać z nami... Mamy nadzieję że wkrótce się zjawi bo ma pewną rzecz bez której nie dostaniemy się do środka...

Na te słowa mina kelnerki mocno się zasmuciła, chciała jeszcze coś powiedzieć ale nie była w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa. Cicho zaszlochała po czym odeszła z pustą tacą. Jerry i Morgan popatrzyli na swoje talerze na których było trochę przypieczonego mięsa, jakieś jarzyny i coś co najprawdopodobniej było papką z kukurydzy z dodatkiem jakiś paprochów które najprawdopodobniej pochodziły z brudnych naczyń.

- No to zabieramy się do uczy! Powiedział Morgan.

- Nie tak szybko, masz jakieś antidotum? Zapytał półgłosem Ovitiz.

- Kilka mi jeszcze zostało... A po co Ci to? Odparł zdziwiony prośbą Ovitza Morgan.

- Nie podoba mi się to... Są zbyt mili... Coś się tu święci.

- Wyluzuj, są mili bo wiedzą że otworzymy Kryptę.

- Oni tylko na to czekają, potem prawdopodobnie się nas pozbędą...

- Chłopie, wiem że dużo się działo od momentu kiedy opuściliśmy Kryptę ale nie wszyscy są tacy że wbijają nóż w plecy...

- Mimo wszystko, daj mi jedną ampułkę antidotum, w razie czego będę mógł im się odplacić...

- Niech Cię szlag... Powiedział Morgan po czym podał mu małą kapsułkę z antidotum. Morgan patrzył jak Ovitz ukradkiem wypija całą zawartość na raz. Po chwili Morgan profilaktycznie jednak zrobił to samo. Po tym fakcie Ovitz tylko się uśmiechnął i zabrali się za spożywanie. Posilali się w milczeniu a w międzyczasie kelnerka przyniosła im po zimnym piwie.

- No, to się nazywa perfekcyjna obsługa! Ucieszył się Ovitz na widok zimnej butelki.

- Jeszcze przed chwilą byłeś zdania że chcą nas otruć...

- Bo chcą, widzisz tych ludzi chowających się za ścianą? Morgan przytaknął głową. Myślisz, że na co oni czają? Jak tylko się przewrócimy wezmą naszą broń i pancerz a zaraz potem będą chcieli dobrać się do Krypty i ją splądrować...

- Ovitz... Ty i Twoje problemy... Jedz, nie pierdol. Powiedział z niedowierzaniem Morgan po czym zabrał się za pochłanianie papki kury dzianej.

Ovitz zjadł i zabrał się za butelkę pełną zimnego piwa. Morgan kończył dojadać ostatnie resztki papki gdy podszedł do nich Schogotten.

- Co zamierzacie teraz zrobić? Zapytał łagodnym głosem składając ręce i zginając się tak jak kiedy po raz pierwszy gościł ich w sowim barze w Kryptopolis.

- Musimy chwilę odpocząć, jesteśmy wykończeni podróżą, poczekamy siedem dni dopóki nie wróci Jack. Jeśli się tutaj nie zjawi to pójdziemy po niego nawet na piechotę.

- Dobrze. Wasze posłania, niestety o łózkach teraz nie ma mowy, już czekają. Powiedział Schogotten pokazując ręką w stronę w której stał ponownie mały chłopiec.

- A co tym razem zobaczymy wycelowanego w siebie jak się obudzimy? Zapytał oczywiście profilaktycznie Morgan.

- Nie musicie się niczego obawiać, chcemy tylko spokojnie żyć.

- Ok, ale dla pewności wyłączymy nasz sprzęt więc nikt poza nami nie będzie w stanie go tknąć, rozumiesz?

Schogotten ponownie zgiął się w pół po czym odszedł. Ovitz z Morganem skończyli dopijać piwo. Wstali od stolika do którego błyskawicznie podeszła kelnerka i zabrała pozostałości po nich do pojemnika. Poszli w stronę małego chłopca, który chyba się ich bał bo nie pozwalał im się do siebie zbliżyć na kilka kroków.

Gdy doszli już na miejsce chłopiec wybiegł. Morgan i Jerry odłożyli swoje hełmy i broń na ziemię po czym ściągnęli pancerze.

- Nawet wygodny ten materac.. Powiedział Morgan niemrawo.

- Lepsze to niż spanie w tym samochodzie. Chyba się co do nich pomyliłem.

- Co masz na myśli?

- Myślałem, że będą chcieli nas zabić. Jednak nie zamierzali, potem myślałem, że będą chcieli nas otruć..

Też nic z tego. Możliwe, że będą chcieli nas zabić przez sen, ale co gdy przyjdzie Jack?

- Myślisz że on w ogóle żyje?

- Myślę że tak, ale raczej nie wróci... A to że powiedziałem im, że jeśli nie przyjdzie w ciągu siedmiu dni to po niego pójdziemy to tylko po to, żeby nie musieć brać odpowiedzialności za nich wszystkich...

- Nie, znowu to zrobiłeś! Znowu dałeś im wszystkim złudną nadzieję! obietnice bez pokrycia!
- Sam widzisz że sobie radzą, nie dzieje im się żadna krzywda...
- Pierdol się! Dobranoc.

Morgan odwrócił się plecami do Ovitza, po czym sen go zmorzył i zaczął głośno chrapać.

Ovitz usiadł na łóżku, wyciągnął z kieszeni papierosa po czym zapalił go. Siedział w milczeniu i patrzył czy zza ściany nie wychyla się lufa karabinu maszynowego który zmieni ich w sita jednak nic takiego się nie stało... Jerry dopalił spokojnie papierosa, zgasił kiepa na ziemi po czym położył się spać.

- Żyjesz? Zaczął dopytywać się jakiś głos i Ovitz mógł poczuć jak ktoś szarpie go za rękę
- Tia... Żyję... Po co budzicie mnie tak wcześniej? Tyle co się położyłem...
- Tyle co? Spałeś trzy dni! Wszyscy myśleli że już się nie obudzisz, nawet Twój kumpel nie wiedział co robić...
- Jakie trzy dni? Ovitz odwrócił się w stronę swojego pancerza i popatrzył na datę.
- Dobrze się czujesz? Zapytał go Morgan który właśnie ubierał hełm z pancerza wspomaganego.

- Trochę się nie wyspałem, ale poza tym wszystko gra, odpowiedział Ovitz ziewając.

- Dobra, dobra, zbieraj się, mamy robotę do wykonania.

Ovitz podniósł się na równe nogi i zaczął ubierać pancerz. Gdy ubrał już cały i zamknął wszystkie klamry sięgnął po Volcano.

Spojrzał do plecaka amunicyjnego i uruchomił program diagnostyczny. Nie brakowało ani jednego naboju. Wszystko było dokładnie tak jak zostawił to zanim poszedł spać. Morgan kiwnął mu głową po czym wyszli ze swojej prowizorycznej sypialni.

- Co to za jaskinia? Zapytał Ovitz.
- Jak spałeś to Schogotten opowiadał mi, że znaleźli to przez przypadek, ktoś zobaczył cień i się przestraszył, wystrzelił w kierunku skały i zamiast odprysnąć zrobiła się dziura. No to rozgrzebali trochę tego i znaleźli duże pomieszczenie...
- faktycznie spałem trzy dni? Morgan pokiwał głową. Działo się coś szczególnego?
- Nie, ghule chyba już wymarły albo się wyniosły bo w elektrowni nie ma już żadnych śladów życia...

- To może się tam wybierzemy? Może zostawili coś ciekawego po sobie?

- Lepiej nie, nie masz za dużo amunicji. Ich ruchu nie możemy przewidzieć i nie ma nam też kto pomóc... Nawet jakby Jack z nami był to było by to ryzykowne...

- Dalej nie wrócił albo dał jakiś znak życia? Morgan zaprzeczył ruchem głowy. To co teraz robimy? Musimy znaleźć sobie jakieś zajęcie na te kilka dni...

- Zajęcie mamy, idziemy do miasta szukać rzeczy przydatnych, które można naprawić albo przydadzą się przy naprawieniu czegoś innego... Czyli zbieramy mechanizmy, ocalałą elektronikę i wszystko inne, co znajdziemy. Niezależnie od tego, czy znajdziemy to na ulicy, domach albo jakiś innych gruzach.

- A jest na to jakiś skład? Chyba nie taszczyliście tego tutaj ręcznie?

- Spokojnie, nie chodzę sam, poza tym udało nam się przerobić część alkoholu na paliwo, ile dajemy radę to zwozimy tutaj naszym Humvee.

Ovitz wyszedł z jaskini na plac przed tunelem prowadzącym do Krypty. Jego oczom ukazał się widok kilku na wpół skorodowanych samochodów przy których kręcili się ludzie z prowizorycznie zmontowanymi narzędziami z powykręcanych blach i prętów. Na widok Ovitza zaczęli się do niego uśmiechać a kilku z nich pomachało mu nawet ręką jakby witali się ze starym przyjacielem, którego nie widzieli przez kilka lat. Jerry chodził między ludźmi i samochodami. W końcu znalazł duży blat wykrojony ze sporej blachy. Na tym blacie znajdowało

się dużo różnego rodzaju broni i amunicji. W większości były już bardzo zardzewiałe i nie nadające się w takim stanie do dalszego użytkowania, ale Morgan zawsze był maniakiem jeśli chodzi o tego typu sprawy i wiedział, że jeśli nie uda mu się tego wszystkiego naprawić to zrobi to przynajmniej częściowo lub z kilku gratów poskłada jeden sprawny sprzęt.

- Wiedziałem że jesteś świrem, ale nie wiedziałem, że aż takim! Powiedział Ovitiz uśmiechając się w stronę Morgana.

-to jeszcze nie wszystko, znalazłem coś ciekawszego. Coś, co może Ci się spodobać. Powiedział uśmiechnięty Morgan.

- No to prowadź! Powiedział pełen entuzjazmu Ovitiz.

- Nie tak prędko, to jest jeszcze w mieście i musimy się po to wybrać większą ekipą, ale nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości że Ci się spodoba. Ovitiz poszedł za Morganem jednak ten poprosił go, żeby czekał na niego przy samochodzie. Ovitiz wykorzystał ten moment na zapalenie papierosa. Morgan tymczasem poszedł po kilku ludzi którzy już po chwili podeszli do Humvee i zajęli miejsca w środku. Ovitiz też już chciał wsiadać ale Morgan poprosił go jeszcze o zamontowanie lawety do samochodu. Laweta wyglądała jakby ktoś uciął górną część innego auta, a środek wyłożył blachą i materiałem.

Po doczepieniu lawety zapakowali się do samochodu. Jechali w sześć osób, ale wszyscy siedzieli cicho, choć wyraźnie każdy z nowo jadących był mocno podekscytowany zaistniałą sytuacją. Jechali kilka minut zanim dotarli na obrzeże miasta. Tym razem jednak nie było już wszechobecnego brudu i pyłu jak wcześniej. Na ulicach nie było wraków samochodów a część gruzów z okolicy budynków też zostało uprzątniętych.

- Co się tu stało i gdzie my konkretnie jedziemy? Zapytał coraz bardziej podekscytowany Ovitiz.

- Nieźle co? Wszyscy wzięli się do roboty i zaczęliśmy tutaj sprzątać. Skoro mamy zbudować w okolicy miasto to dlaczego by nie uporządkować starego i nie wykorzystać tego co już jest? W sumie to nawet nie jest aż tak bardzo zniszczone w tych mniejszych domach wystarczy zrobić mały remont żeby były zdatne do zamieszkania. Gorzej jest z wieżowcami, niektóre pewnie będzie trzeba kiedyś rozebrać... trafiliśmy wczoraj wieczorem na absolutną rewelację!

- To znaczy? Możesz coś więcej powiedzieć na ten temat? Dopytywał się Ovitiz z ciekawością.

- Jedna z grup przeszukujących weszła do jednego z wieżowców i znalazła... Albo nie, nie powiem Ci, sam się przekonasz na miejscu. Powiedział Morgan z przekąsem.

- Menda... odrzekł Jerry śmiejąc się.

Jechali jeszcze kilka minut, miasto w tych rejonach było nieco mniej odgruzowane ale oddziałowi sprawnych ludzi oczyszczenie zajęło by nie więcej niż kilkanaście godzin. W końcu zatrzymali się przed wysokim na jakieś 7 piętrowym budynkiem i wszyscy wyszli z samochodu. Pierwszy przez zniszczone i pozbawione szyb drzwi budynku przeszedł Morgan, za nim szedł Jerry a na końcu pozostali ludzie.

Weszli do przestronnego holu, gdzieś tam było widać kawały żelbetonu i innych materiałów budowlanych od sypiących się ścian jednak sam budynek był w dobrej kondycji fizycznej. Po środku pomieszczenia znajdowały się dwa filary podtrzymujące sufit i kilka popękanych doniczek z uschniętymi kwitami. Po lewej stronie od wejścia znajdowało się biurko z dużym piętrowym blatem na którym stał komputer.

- Zobacz na to! Powiedział Morgan po czym podszedł do monitora i go odwrócił.

Jerremu ukazał się już dobrze znany interfejs systemu operacyjnego. Podszedł bliżej do komputera i zaczął coś przy nim grzebać.

- To co chcieliśmy Ci pokazać jest w istocie zawarte pobieżnie w plikach z danymi. Trafiliśmy na trochę ciekawych danych technicznych oraz jakieś oprogramowanie para militarne.

Myśleliśmy, że sam będziesz chciał zobaczyć czy coś się da z tym zrobić. Powiedział zadowolony Morgan.

- Ovitiz nic nie odpowiadał, tylko porozumiewawczo kiwał głową grzebiąc w systemie operacyjnym komputera.

W pewnej chwili wyprostował się i powiedział do wszystkich:

- Hej, ten budynek to dawny ratusz miejski!

- No tyle to przeczytaliśmy z tabliczki nad drzwiami jak wchodziliśmy geniuszu! powiedział złośliwie Morgan zaraz dodając

- Tak, ale to nie wszystko, ten budynek to nie tylko ratusz, tu był na krótko po wojnie mały skład amunicji oraz siedziba jakiejś firmy komputerowej. Na samej górze była podobno jakaś sala koncertowa ale teraz jej już na pewno nie ma bo była potem przerobiona na archiwum papierowe. A teraz będzie mała niespodzianka! Powiedział Morgan podchodząc do lekko wygiętych drzwi windy i powiedział: jedzie ktoś na górę? W tym momencie drzwi się otworzyły.

Szeroko otwarte usta i oczy Ovitza zdawały się prześwitywać przez pancerz. Podeszedł do windy, wszedł do kabiny, zaraz za nim wszedł Morgan a reszta musiała czekać na swoją kolej gdyż obciążenie maksymalne miało swoje granice. Morgan nacisnął przycisk 7 piętra a

winda lekko ruszyła i już po chwili byli na 7 piętrze. Weszli do dużo większego pomieszczenia pełnego porzucanych papierów. Dużo szaf z aktami było przewróconych, jednak pozostałe stały w nienaruszonym stanie. Ovitiz podeszedł do okna, a właściwie do tego co powinno tam być. Dookoła tego co było szybą widniały poszarpane kawałki szkła.

- Nie patrz w dół! Krzyknął Morgan, ale Ovitiz odruchowo popatrzył. Zakręciło mu się w głowie i przewrócił się na podłogę. Po chwilę pozbierał się i znowu popatrzył jednak tym razem nie w dół tylko przed siebie. Ujrzał miasto, zrujnowane miasto, pełne gruzów, gdzieś tam można było zauważyć jakieś ruchy jednak postać tak szybko, jak tylko się pojawiła to zniknęła. Chociaż z tej wysokości wszystko mogło się wydawać.

- Z drugiej strony jest dużo lepszy widok! Zawołał jeden z ludzi który przyjechał w kolejnej turze windy. Ovitiz podeszedł do okna po drugiej stronie. Człowiek ów miał rację, z tej strony miasto prezentowało się zdecydowanie lepiej, gdyż w większości było odgruzowane, a prace naprawcze trwały, ludzie Schogottena nosili kamienie, narzędzia, pomagali sobie a miasto zaczynało nowy rozdział w swojej historii.

Morgan z Ovitzem zabrali się za przeszukiwanie stojących szafek na akta jednak był w nich tylko pożółkły papier i ledwo widoczne litery. Nagle jeden z ludzi krzyknął:

- Coś znalazłem! To drzwi ale są zablokowane, pomoże mi ktoś?

Morgan podeszedł do człowieka który stał przy drzwiach bez klamki. Solidnym kopniakiem wyrwał je. Ze środka wyleciały horrendalne ilości kurzu. Morgan uruchomił latarkę przymocowaną do hełmu pancerza po czym wszedł do środka, to samo uczynił Jerry wchodząc za nim. Weszli do małego pomieszczenia pełnego poukładanych krzesel. W pomieszczeniu nie było żadnych okien, więc jedynym źródłem światła które mogło tu istnieć była pęknięta żarówka pod sufitem. Rozejrzeli się w pomieszczeniu, po czym Jerry zawołał Morgana.

- Patrz co znalazłem!

Morgan podbiegł do Jerrego, na miejscu zobaczył kilka gitar, perkusję i mikrofon, wszystko z jakimś czarno białym, złowieszczym logiem kapeli z której nagraniami spotkał się już w Opactwie.

Wziął pałki perkusyjne w dłoń, Morgan zabrał gitarę. Jerry chciał usiąść na stołku przed perkusją ale to się złamało więc wyszli na zewnątrz zostawiając czarnego BC Rich Warlocka i dwucentralowego Pearlą obiecując sobie, że wrócą po to gdy nadejdzie chwila. W końcu w krypcie istniał przedmiot taki jak muzyka więc czemu by nie pograć. Weszli ponownie do

archiwum. Czwórka ludzi ciągle na nich czekała. Wyszli z pomieszczenia i klatką schodową zeszli piętro niżej, ale nie było tam nic ciekawego, co mogło by się do czegośkolwiek przydać. Było tam za to pełno porozwalanych biurek, komputerów, krzeseł. To samo było w całej reszcie budynku, nie zachowało się nic innego poza znaleźnym.

- Przecież skądś pochodzić musi prąd. Zamierzamy dzisiaj przeszukać piętra poniżej parteru, z tego co wiemy to są trzy takie poziomy, ale w żadnym nie byliśmy przez te zatrzaśnięte drzwi. Nie daliśmy rady ich ruszyć.

- Może wysadzimy je dynamitem? Powiedział jeden z towarzyszy szczerząc zęby i wyciągając zza kurki kilka lasek dynamitu.

- Tia, od razu możesz mi strzelić w tył głowy... Wolę zginąć z miejsca niż zdychać pod gruzami budynku... Ironizował Ovitz. Na te słowa chyba musiało się piromanowi amatorowi zrobić głupio bo szybko schował dynamit za kurtkę i więcej się nie odzywał.

Zeszli na trzeci poziom poniżej parteru, i dochodząc do drzwi, Jerry pchnął je mocno. Drzwi jednak ani drgnęły. Chciał otworzyć je kopniakiem ale się odbił. Choć tym razem drzwi się minimalnie przesunęły.

- Morgan. Pomożesz mi, może je wykopimy. Powiedział Ovitz a Morgan od razu stanął obok niego i zaczęli kopać w drzwi na raz.

Kopali tak chyba z dziesięć minut zanim nie pojawiła się szpara na tyle szeroka, że mogli się wszyscy przecisnąć.

Weszli do środka. Było tam całkiem ciemno a jedyne światło padało z latarek przy pancierzach. Pomieszczenie było sporych rozmiarów i

nie było podzielone przez ściany. Sklepienie podtrzymywały stalowe słupy szkieletu budynku. Nagle dało się słyszeć głucho uderzenie czegoś o podłogę. Wszyscy odwrócili się w kierunku z którego dobiegł hałas. Po krótkiej chwili okazało się że to jeden z ludzi przewrócił się o coś. Ovitz z Morganem skierowali światło w kierunku człowieka i możliwej przeszkody ale nie znaleźli nic co mogło by być powodem kolizji mobilnej.

Po chwili usłyszeli z niedalekiej odległości ciche: „psssst!” Szukali czegoś, co mogło wydać ten odgłos ale nie znaleźli. Po chwili znowu dało się słyszeć ten sam odgłos. Morgan ruszył do przodu a zaraz za nim podążał Ovitz. Tym razem usłyszeli „tutaj!”. Lekko się przestraszyli, ale podążali za tajemniczym głosem aż doszli do dziury w ziemi.

- Jest tu ktoś? Zakrzyczał Morgan.

- Jest, ale nie chceć się pokazać! Odpowiedział głos z dobiegający z dziury.

- Wyłaż! Pomożemy Ci! Powiedział Ovitz ale postać była nadal uparta.

- Dobra, to czego chcesz? Zapytał zniecierpliwiony Morgan.

- Weźcie to i pokazać każdemu ghulowi którego spotkacie! Ich to szybko zabić a na ludzi nie dziać, to tylko odwrócić proces starzenia! Powiedziała postać z dziury.

- A niby skąd mamy widzieć, że to zabije wszystkie ghule? Zapytał Ovitz.

- Kiedyś w okolicy być ghule, jeszcze w sumie do niedawna, one chceć mnie zabić. Dałem im to, byli przekonani że to pozwolić im cofnąć skutki promieniowania... Chceć mnie zabić! Mnie! kretoszcz... Ale plama... Teraz już widzieć kim jestem, mogę się Wam pokazać.

Powiedziała postać po czym z dziury w ziemi najpierw wyszedł wielki ogon a potem wyłoniła się reszta cielska kretoszczura.

Przestraszony Ovitz przygotował Volcano do strzału, ale kretoszczur przestraszył się bardziej i znowu schował się do dziury.

- Wiedziałem, wszyscy tak reagują, odejdźcie!

- Ej! Poczekaj! Nie chciałem! Ovitz krzyczał ale nie było już żadnej odpowiedzi.

- Odpuść, już go tu dawno nie ma, chyba się przekopał i uciekł. Niepotrzebnie go

przestraszyłeś...

Na potwierdzenia swoich słów Morgan wrzucił flarę do dziury która swoim jasnym światłem pokazała że kretoszczur właśnie się wykopał z budynku. Światło z flary było na tyle mocne że oświetlało też część pomieszczenia. Wszyscy mogliby przysiąc, że widzą rury. W końcu odnaleźli włącznik światła. Z sufitu padł blask jarzeniówek rozświetlając całe pomieszczenie. Pod ścianami stały zamknięte skrzynie, natomiast to, co wydawało im się rurami w rzeczywistości było wielkimi kablami podłączonymi do ogromnej stacji komputerowej. Wszyscy nie mogli uwierzyć w to co zobaczyli. Ovitz podszedł do komputera. Trochę po nim pogrzebał po czym powiedział do reszty: sprawdźcie co jest w tych skrzyniach, trochę mi zajmie dobranie się do tego komputera. Morgan podszedł do pierwszej skrzyni, po otwarciu stwierdził że są tam same instrukcje. Nic przydatnego, reszta stwierdziła dokładnie to samo. Nie było tam nic co było by chociaż w połowie tak przydatne jak papier toaletowy.

- Hakier, możemy już iść? Zapytał Morgan.

- Nie jeszcze, została mi jedna rzecz.

- To może przynajmniej powiesz nam skąd tu w ogóle jest prąd?

- To jasne, powiedział Jerry ciągle wgapiony w monitor. Na dachu są kolektory słoneczne, magazynują prąd i dostarczają je do reszty budynku. Dobra aparatura. W tym mieście jest jeszcze kilka takich obiektów.

- A możesz powiedzieć gdzie? Może się do nich dobierzemy.

-Zaraz będę miał obraz tego... A tak poza tym to weźcie te wszystkie skrzynie do samochodu.

- Po jaką cholere? Tam są tylko papiery...

-nie, to nie tylko papiery, to instrukcje zbudowania kolektorów słonecznych różnych typów i o różnych mocach przechwytywania.

Morgan dał znać pozostałym mężczyznom żeby zabrali skrzynie do samochodu. Każdy wziął po jednej i wyszli, po jakiejś pół godzinie wrócili.

- Jak jest na zewnątrz? Zapytał Morgan.

- Zaczyna się robić jasno! Odpowiedział jeden z nich.

- Aha, no to trochę się tu zasiedzieliśmy.

- Ale dookoła cisza i spokój?

- Dokładnie, nic się nie dzieje.

- Ovitz nagle się poderwał i ruszył przez drzwi wyjściowe mówiąc w biegu do reszty żeby szli za nim. Nikt nie zdążył go zapytać po co. Słysząc było tylko jak Ovitz wbiega na drugi poziom pod parterem. Wbiegli za nim.

- O co chodzi? Zapytał zmieszonym głosem Morgan.

- Patrz i podziwiaj! Odezwał się Jerry po czym otworzył drzwi ledwo je dotykając.

- Jak Ty to zrobiłeś? Przez dwa dni męczyliśmy się jak je ruszyć przynajmniej o milimetr!

- Komputer zablokował drzwi do... Uchylił szerzej drzwi – do magazynu amunicji!

Wszyscy weszli do środka. A ich serca wzdrygnęły radośnie. Było tam pełno szaf, na których spoczywała dumnie różnego rodzaju broń długa czyli karabiny szturmowe, snajperskie, Obok natomiast na nieco większych gabarytowo stojakach oczekiwała swojego wyzwolenia broń dużo lepsza typu Bozar, długie ciężkie CKMy, wielkie bazooki. Hej Ovitz! Przyczepimy sobie na dach Humvee Browinga? Wreszcie trochę amunicji do pistoletu dodał z radością w głosie Morgan.

- Jasna dupa!.. Dodał Ovitz widząc karabin który produkowano już za czasów I wojny światowej. Wiecie ile to ma lat?

Hehehe widzę, że w tego typie broni zmienili tylko amunicję na bardziej cywilizowaną (czytaj bardziej zabójczą). Mam nadzieję, że te pociski nadal nadają się do użycia, kto by pomyślał.. M2

i taśmy pocisków z uranowym rdzeniem miały chyba trzymać setkami lat..

Przy drugiej ścianie znajdowały się regały z amunicją, natomiast przy trzeciej spoczywały ciemnozielone pancerze bojowe. Czwórka mężczyzn z największą chyba w ich życiu zdobyczą od razu ubrała się w pancerze oraz dobiła lepszego ekwipunku. Wyglądali teraz jak żołnierze pełną gębą.. No może poza faktem iż ich gęby nie były ogolone. Trochę żalowali, tego iż nie znaleźli takich pancerzy, jakich używają Morgan i Ovitz, ale zawsze to lepsze niż większość standardowych kamizelek kuloodpornych czy zbroi tworzonych przez mieszkańców pustkowi. Zabrali tyle, ile tylko mogli i znosili wszystko na lawetę do samochodu. Broń krótka była oczywiście również rozchwytywana z racji swojej poręczności jednak Morgan nie dostrzegł pistoletu, który byłby dla niego lepszy czy bardziej śmiertelny niż jego wielko kalibrowy Desert Eagle. Poraczył się jednak prostym miotaczem płomieni.

- Świetnie.. Mamy mały arsenał na odparcie wszelkiego ścierwa nadciągającego na nasze miasto.. Rzekł Morgan. Pewnie Ovitz przejmie opiekę nad tymi zabawkami i stworzy strażników dla tego miasta.. Szkolenie, dozbrojenie, taktyka. Wreszcie jakaś dobra wizja. Skończył swe wywody Morgan.

Zabierali prawie cały zapas sprzętu, wciąż biegając do samochodu i pakując część arsenału do skrzyń, w których było miejsce. Laweta już prawie nie mieściła rzeczy. W końcu nakryli ją płócienną narzutą tak, aby nic nie wypadło i nie wzbudzało po drodze zawiści. W końcu postanowiono, iż nie trzeba tylu ludzi do ładowania ostatnich więc powrócili we trzech po ostatnią partię sprzętu do budynku. Zostało tam już tylko kilka pancerzy i ze cztery ośmiopaki rakiet do rakiety. Na zakończenie Morgan wymontował panele słoneczne, trochę kabli i sprzęt od tego ustrojstwa a Ovitz jeszcze na wszelki wypadek wyłączył co trzeba oraz zablokował drzwi wejściowe. Wychodzili z budynku i już podchodzili do samochodu, gdy wyskoczyło zza niego kilku uzbrojonych ludzi i stanęli przy lawecie załadowanej bronią i amunicją. Diabli sami wiedzą skąd wydzierżyli ładunek wybuchowy, który po odpaleniu zrobił by z załadowanej pociskami lawety i wszystkiego dookoła pewnie coś w rodzaju małego krateru.

- Dawać kluczyki, albo nie odjedzie stąd nikt żywy! Krzyknął jeden z napastników. Był to wysoki i bardzo szczupły człowiek z kilkudniowym zarostem i chyba nigdy niemytymi włosami. Miał na sobie wytarte spodnie i jeansową kurtkę z urwanymi rękawami. Jego kompani wyglądali podobnie, różnili się tylko długością włosów.

- Chyba nie strzelisz z tego działka w przyczepę, co jak co, ale rozrzut to ma to wielki... A Ty kolego chyba tym miotaczem też nie zaryzykujesz... tutaj ja mam przewagę! Powiedział bandzior strzelając z pistoletu w głowę człowieka który stał między Jerrym a Morganem Nagle padł strzał, po którym głowa przywódcy gangu eksplodowała. Reszta bandziorów zaczęła się rozglądać skąd strzelano lecz zanim zdążyli się zorientować spotkał ich podobny los.

Morgan podniósł oszołomionego kolegę na ręce po czym zaniósł go na lawetę. Nikt nic nie powiedział. Jerry rozglądał się po okolicy w celu odnalezienia snajpera jednak nic nie zauważył.. Do tego słońce oślepiało mu oczy. Nagle kamienie z pobliskiego, częściowo zawałonego budynku się poruszyły a zza nich wyłoniła się sylwetka pewnej postaci, która zaczynała powoli podchodzić.

- Dotychczas widziałem tylko jedną broń która robiła takie dziury... Powiedział cicho Jerry.

- Ja też, myślisz że on wrócił? Zapytał Morgan.

- Wrócił! Odezwał się głos za nimi.

- JACK! Krzyknęli równocześnie Jerry z Morganem.

- Opowiadaj! Co się z Tobą działo? Jak się tu znalazłeś?

-za długo by zrobić to w kilku słowach. Zabierajmy się do domu... powiedział Jack patrząc na zwłoki bandziorów. Heh, widzę że dalej jeździecie tym sprzętem rzekł widząc obładowanego

sprzętem Humvee.

Wszyscy zapakowali się do samochodu, tym razem było trochę ciasniej bo mieli nadprogramowego pasażera, ale wszyscy mieli dobre humory. Po niecałej godzinie jazdy znaleźli się pod wjazdem do Krypty. Wszyscy byli zadowoleni gdy tylko ich zobaczyli, ale gdy tylko wyszli z samochodu zaczęły się prawdziwe wiwaty. Ludzie widzieli, że Jack wrócił i mieli nadzieję, że ma kartę która otworzy drzwi do nowego domu.

- Jack, masz może kartę dostępową do wrót? Zapytał Morgan.

- Nie mam, a czemu pytasz?

- Jak to kurwa nie masz karty?! Krzyknął Ovitz po czym entuzjazm ludzi mocno osłabł.

- No nie mam jej, przed walką której mało co nie przypląciłem życiem zostawiłem ją w schowku w samochodzie, mówiłem Wam przecież o tym...

- Noo, nie mówiłeś.. Dobył z siebie odkrywco Morgan.

Jerry w tym czasie poszedł do samochodu, otworzył schowek przy siedzeniu pasażera i wyciągnął z niego upragnioną kartę. Podeszedł do terminala, przejechał kartą. Nagle zaczęły się pojawiać światła, rozległa się syrena alarmowa po czym z przenikliwym metalicznym jazgotem otworzyły się drzwi. Wszyscy stali przed otwartym schronem który miał być ich nowym domem.

- Nie wchodźcie tam jeszcze, muszę wyłączyć mechanizmy obronne. Powiedział Ovitz po czym wszedł do środka i dezaktywował działka.

-Sprawdźmy jeszcze poziom skażenia dodał Morgan.. Czysto! Droga wolna, zapraszamy!

Wszyscy chcieli wejść jako pierwsi, deptali się, przepychali ale obyło się bez rozlewu krwi. Po chwili ludzie znaleźli się w Sali, z której kilka miesięcy wcześniej wyruszyły trzy grupy w celu ratowania tych, co pozostali. Teraz wiedzieli że ich misja została ukończona, uchronili kilkadziesiąt żyć ludzkich. w ich oczach pojawiły się łzy. Jack, Morgan i Jerry ściągnęły hełmy. Jack szturchnął Jerrego mówiąc: idź i przemów do nich, niech wiedzą że wreszcie są bezpieczni.

- Jak to bezpieczni? A promieniowanie? Zapytał szeptem Jack Morgana na ucho.

- Promieniowanie ustąpiło, ale zupełnie nie wiemy jak. Ovitz podłączył się do komputerów Krypty i sprawdził wszystko, nie pytaj mnie o szczegóły bo ich nie znam, słuchajmy teraz nowego Nadzorcy.

Jerry przeszedł między ludźmi, wszedł na piedestał w którym zawsze przemawiał nadzorca. Położył swój hełm na oparciu, oparł na nim rękę i zaczął przemawiać:

- Po wielu miesiącach się nam udało! wyruszyliśmy stąd ze swoimi ludźmi w trzech grupach aby uratować pozostałych. Tych, co tutaj żyli. została nas trójka. Długo nie mogliśmy dojść do siebie po tym co miało miejsce. Nasi bliscy zmarli. Błądziliśmy po kraju siejąc śmierć i zniszczenie, a w głębi serca cały czas byliśmy źli na samych siebie, że nie umieliśmy uratować tych na których nam najbardziej zależało.

Teraz jesteśmy wszyscy z powrotem! W domu, jesteśmy bezpieczni, ale będąc tu będziemy mieli też całkiem nowe problemy i zadania. Jeśli zdecydujecie się zostać w Krypcie będziecie bezpieczni, ale już nigdy nie zobaczycie słońca, nie doświadczycie powiewów wiatru, deszcz i inne zmiany pogody też odejdą w zapomnienie. Kiedyś rolą Nadzorcy było decydowanie, co będzie dobre dla mieszkańców. Wielokrotnie powtarzałem sobie że mi się to nie podoba. Od teraz tak nie będzie, od teraz będą głosowania, wszystko się zmieni! Do wieczora musicie zadecydować co postanowiliście. Do tego czasu zostańcie tutaj. My idziemy udać się też na naradę. Spotkamy się tutaj za 3 godziny, Jerry pokazał ręką na cyfrowy zegar który wskazywał godzinę 15:24, po czym zszedł z piedestału i poszedł razem z Jackiem i Morganem do swojej kwatery. Podeszli do windy. W środku nadal znajdowały się zwłoki Mike, kryptowego barmana. Mieli go wynieść poprzednim razem, ale już nie mieli czasu. Zjechali na drugi poziom gdzie znajdowała się kwatera Ovitz. Podeszli do zniszczonych drzwi a Ovitz przystawił oko do

skanera. Drzwi się otworzyły i wszyscy wchodząc do środka rozsiedli się na tym co było czyli na łóżku i krześle.

- Niezła mowa... Powiedział Jack potrząsając głową.
- Nie wiedziałem co im powiedzieć... Nie wiem nawet co chcę robić...
- Przez ostatnie kilka dni zastanawiałem się nad tym samym... Stwierdził Jack.
- Co się w ogóle z Tobą działo? Zapytał Morgan.

- Miałem kilka operacji, przez jakiś czas dochodziłem do zdrowia, jak tylko mogłem i gdy tylko byłem w stanie dojść do kibla, to ta suka Tandi powiedziała mi że mam już opuścić miasto. A że tego dnia wychodziła karawana do Kryptopolis to w zamian za ochronę zabrali mnie.

- Skąd wiedziałeś gdzie będziemy? Skąd w ogóle wiedziałeś że wrócimy do domu?

- A gdzie indziej moglibyście zejść? Nie mamy pewności czy inne miejsca w ogóle istnieją a tam gdzie byliśmy to nie chcą nas widzieć... Rachunek prosty... A skąd wiedziałem że będziecie w mieście to proste. Jak jechałem z karawaną to w oddali zobaczyłem duże żółte auto, zupełnie jak to którym się ostatnio poruszaliśmy, stwierdziłem że zobaczę co, gdzie i jak. Szedłem tam gdzie w powietrze unosił się pył, dotarłem do kilku budynków, akurat udało mi się podsłuchać rozmowę kilku oprychów jak mówili o tym, że w okolicy jest taki samochód i mają zamiar go obrobić bo jakieś skarby czy coś takiego tam noszą... Postanowiłem się za nimi wybrać no i chyba zdążyłem

- Gdyby nie Ty, to pewnie już bylibyśmy martwi... Dzięki stary. Odezwał się Ovitz

- Te debile nie przewidziały tego, iż jakby to wybuchło to również nie byli by martwi dodał Morgan.

- A co w ogóle zamierzacie teraz robić? Przez ostatnie lata chciałem żeby życie wróciło tu kiedyś do normy.. kiedy już mi się to udało to nie jestem pewien czy chcę tu w ogóle zostać...

- Cholera, mam to samo... Nie widzę tu dla siebie miejsca, mają tu wszystko co pozwoli im zbudować całkiem nowe miasto, wszystkie systemy w Krypcie są sprawne, wodę mają, jedzenie też, dostaną za chwilę G.E.C.K.a, będą mogli zacząć wszystko od początku...

- To co robimy panowie? Odezwał się Morgan któremu jednak ten aspekt nie dawał spokoju.. Z jednej strony chciał się osiedlić lecz z

drugiej jego życie i dalsze cele straciły ten blask, śmierć jego dziewczyny przekreśliła jego zdawać by się mogło poukładane życie.

- Nie ma tu dla nas miejsca, byliśmy potrzebni do otwarcia Krypty, zabierzmy to, co nam może być potrzebne. Uzupełnijmy amunicję, weźmiemy paliwo i odejdzmy... To już nie jest nasza Krypta, ludzie z którymi tu żyliśmy już nie żyją... To już nie to samo... Znajdziemy sobie miejsce, ale nie tu... nie mogę już patrzeć na te ściany.

- Musimy przygotować więc pliki instruktażowe, aby ludzie ci się zorganizowali.. Mam na PipBoyu więc wrzucimy im dane na kompa i gotowe.. Dalej będą szkoleni przez system, zdobędą wiedzę, umiejętności itd.

Wstali z siedzeń. Ovitz po raz ostatni popatrzył na swoją kwaterę po czym zwolnił zabezpieczenia. Poszli w stronę maszynowni, Morgan zabrał ze sobą mały zestaw narzędzi. Wyszli z pomieszczenia i skierowali się do zbrojowni. Zabrali zapasy amunicji oraz G.E.C.K. po czym skierowali się w stronę wind. Wkrótce wchodząc do środka, zabrali ciało Mike. Przeszli między ludźmi w głównej sali po czym

wyszli na zewnątrz aby pochować szczątki zmarłego. Wchodząc ponownie do środka. Jerry odszukał Schogottena po czym podszedł do niego i opowiedział mu o swoich zamiarach. Schogotten próbował go przekonać aby zmienił zdanie, ale Jerry i jego kompani podjęli decyzję już wcześniej.

Zbliżała się godzina ustalonego spotkania. Jerry wyszedł na postument, zaraz za nim wszedł

Schogotten. Był mocno podenerwowany stojąc przed ludźmi.

- Co zdecydowaliście? Zapytał donośnym głosem Ovitz.

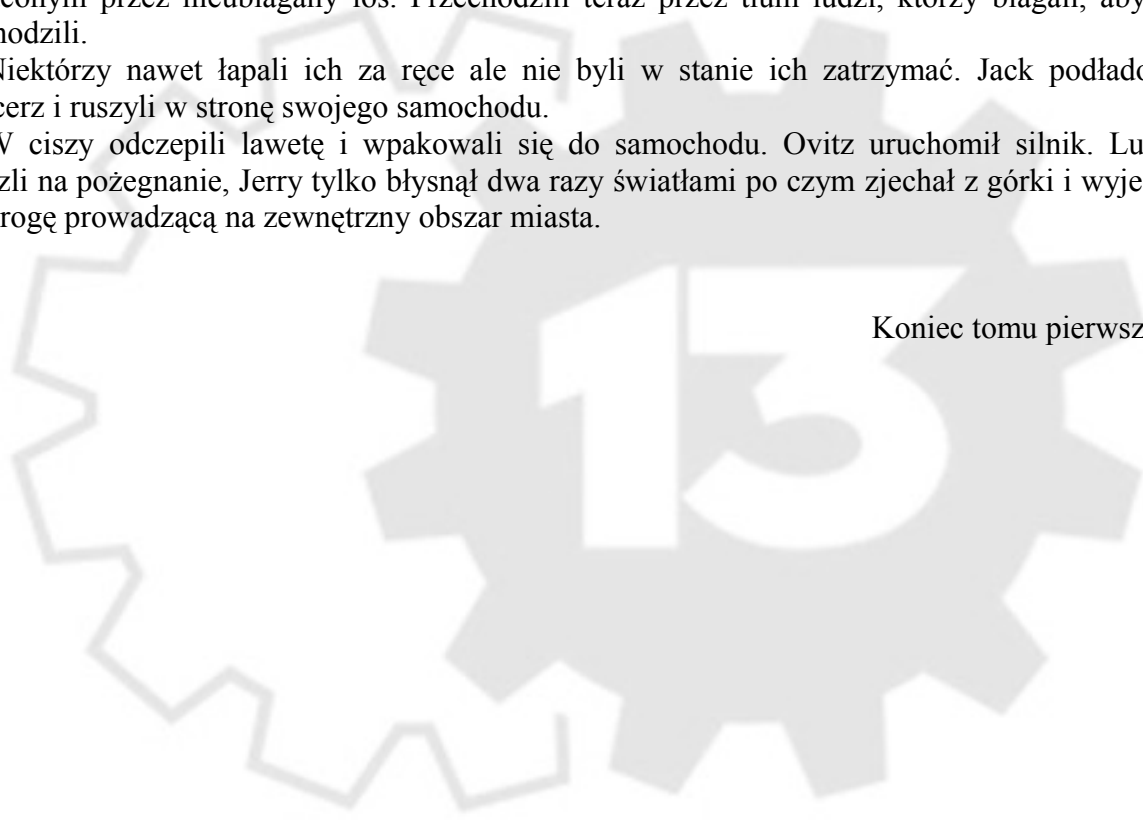
- Wychodzimy na powierzchnię i założymy miasto! Odpowiedział przedstawiciel ludzi.

- Skoro taka jest Wasza decyzja, przekazuję G.E.C.K. nowemu Nadzorcy, Schogottenowi. Po naradzie stwierdziliśmy że nie możemy tu zostać, to już nie jest miejsce dla nas. Teraz to jest Wasz dom, my należymy do zupełnie innego świata. Chciałbym żebyśmy się jeszcze mogli kiedyś spotkać w pokoju. Tymczasem, żegnajcie. Po tych słowach ludzie zaczęli krzyczeć żeby zostali, że są ważni ale odchodząca trójka już ich nie słuchała. Morgan przekazał Schogottenowi ostatnie instrukcje, jak zacząć funkcjonować w krypcie i planować swoje dalsze ruchy przy uzgodnieniu z naczelnym komputerem. Odchodzący wojownicy nie pozostawiali złudzeń, to miejsce raziło ich wspomnieniami tak bardzo, iż dostrzegali właściciela każdego przedmiotu oraz pamiętali po kilka sytuacji z jego udziałem. To miejsce było dla nich jakby przekleństwem zrzuconym przez nieubłagany los. Przechodzili teraz przez tłum ludzi, którzy błagali, aby nie odchodzili.

Niektórzy nawet łapali ich za ręce ale nie byli w stanie ich zatrzymać. Jack podładował pancierz i ruszyli w stronę swojego samochodu.

W ciszy odczepili lawetę i wpakowali się do samochodu. Ovitz uruchomił silnik. Ludzie wyszli na pożegnanie, Jerry tylko błysnął dwa razy światłami po czym zjechał z górki i wyjechał na drogę prowadzącą na zewnętrzny obszar miasta.

Koniec tomu pierwszego.



Spis treści

I.	Prolog	4
1.	Raiders on the storm	5
2.	Raz na wozie raz pod wozem	15
3.	Daleka droga do domu	35
4.	Krypta na Wieki!	48
5.	Z wizytą w Nowym Reno	58
6.	Tandi u władzy	69
7.	Na tropie grupy pierwszej	84
8.	Odrodzenie	104

